



KAROLINA
WILCZYŃSKA

Zima zasypie
miłością



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LILLO13

Zima zasypie
miłością



KAROLINA
WILCZYŃSKA

Zima zasypie
miłością



 CZW-
ARTA
STRO-
NA

Copyright © Karolina Wilczyńska, 2024

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2024

Redaktorka prowadząca: Joanna Jeziorna-Kramarz

Marketing i promocja: Judyta Kąkol

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Magdalena Owczarzak, Katarzyna Dragan

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Elementy graficzne layoutu: Magda Bloch

Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch

Fotografia na okładce: © sara_winter | iStock

Fotografia autorki na skrzydełku: Katarzyna Bezak

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Wszystkie wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

eISBN 978-83-67974-17-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



Diana pomachała raz jeszcze dzieciakom, które wciąż wykrzykiwały wesołe pożegnania, odchodząc w kierunku autokaru. Z radością w sercu i poczuciem dobrze wykonanej pracy zamknęła drewnianą bramę i uśmiechnęła się do siebie. Rozejrzała się dookoła.

Zima na dobre zagościła we Wrzosowej Polanie. Chociaż był dopiero początek grudnia, to mróz od kilku dni nie odpuszczał. Co prawda, nie spadł jeszcze śnieg, ale i tak chłód dawał się we znaki.

Dobrze, że mam jeszcze tylko dwie grupy — pomyślała Diana, nasuwając na uszy czapkę z pomponem. — Dzisiaj ledwie udało się ogrzać stodołę, choć i tak widziałam, że dzieciakom marzną ręce.

Cóż, nic nie mogła na to poradzić. Miała nadzieję, że w przyszłym roku uda jej się ocieplić drewniany budynek i znaleźć lepszy sposób na jego ogrzewanie. Na razie musiała się pogodzić z zimową przerwą w warsztatach.

Wróciła do stodoły, posprzątała, sprawdziła, czy wyłączyła grzejniki. Uznała, że wszystko jest, jak należy, więc przełożyła pierwszą część dziecięcych prac na dużą tacę i ruszyła z nią w kierunku domu.

Muszę to jak najszybciej wypalić — planowała w drodze do domowej pracowni. — Większość dzieci mówiła, że chce swoje dzieła podarować najbliższemu pod choinkę, więc nie mogę ich zawieść.

Z rozczuleniem zerknęła na figurki reniferów i mikołajów, niektóre niezbyt kształtne, często mało przypominające zamysł twórcy, ale wszystkie

zrobione z sercem i myślą o tych, dla których powstawały.

I o to chodzi! — Radość po raz kolejny wypełniła serce Diany. — O to chodzi! W sztuce liczy się kreatywność i intencja, a tego tutaj nie brakuje.

Powtórzyła to Wandzie, gdy tylko weszła do domu.

— To znaczy, że udało ci się im przekazać to, co chciałaś — odparła kobieta. — W co zresztą nigdy nie wątpiłam.

— Dziękuję — odparła z uśmiechem Diana. — Jeżeli to choć w części moja zasługa, to tym bardziej się cieszę.

— I słusznie. Masz prawo się radować. — Wanda skinęła głową. — Ale teraz zanieś tę tacę do pracowni, myj ręce i siadaj do stołu. Na pewno zgłodniałaś.

— Jeszcze jak! — przyznała młoda kobieta. — A co dzisiaj jemy? — Pociągnęła nosem i pokiwała z uznaniem głową. — Już czuję, że będzie pysznie...

— Ocenisz, jak spróbujesz. No, szybciotko! — popędzała ją Wanda. — Siadaj do stołu, bo już nalewam.

Diana nie dała się dwa razy prosić. Szybko odstawiła gliniane figurki, zdjęła ciepłą kamizelkę i czapkę, grzecznie umyła ręce i usiadła nad talerzem pełnym parującej zupy.

— O rany! Jak dawno nie jadłam kapuśniaku! — Aż klasnęła w ręce z radości. — A muszę powiedzieć, że go uwielbiam. — Głośno przełknęła ślinę.

Wanda usiadła naprzeciwko.

— Cieszę się, że trafiłam. — Sięgnęła po łyżkę.

— A jest w nim boczuś? — dopytywała Diana.

— Sprawdź.

Sprawdziła. Był.

— Pycha! — pochwaliła pomiędzy jedną a drugą łyżką. — Prawdę mówiąc, nigdy nie jadłam lepszego! Serio.

Wanda spojrzała na nią spod oka.

— Nie przesadzaj. Po prostu jesteś głodna...

— Poważnie! — Diana pokiwała głową. — Inne kapuśniaki się do niego nie umywają.

— Moja mama uważała, że wychodzi mi za kwaśny — mruknęła emerytowana lekarka.

— Dla mnie jest idealny — upierała się przy swoim zdaniu Diana. — I chętnie zjadłabym dolewkę. — Spojrzała prosząco. — O ile jeszcze jest...

— Oczywiście, że jest. — Wanda sięgnęła po talerz Lisowskiej ze słowami: — Skoro już wszystko zjadłaś, to chyba mówisz szczerze.

— No raczej! I jeszcze dodam, że mogłabym go jeść przez cały tydzień.

— A to akurat dobrze — odparła Wanda. — Bo chyba nie będziesz miała innego wyjścia.

Diana spojrzała na nią pytająco.

— Muszę wyjechać do Kielc. Na dzień albo dwa.

— Coś się stało? — zaniepokoiła się projektantka.

— Nie, nic specjalnego — uspokoiła ją lekarka. — Zapomniałaś? Dziś ukazało się ogłoszenie o moim mieszkaniu...

— Zupełnie zapomniałam! — Diana uderzyła się w czoło otwartą dłonią.

Rzeczywiście, w zeszłym tygodniu pomagała Wandzie je napisać i umieścić na kilku portalach ogłoszeniowych. Diana uważała, że ludzie w weekend mają więcej czasu na przeglądanie ofert, lecz Wanda się upierała, że wolne dni to wolne dni, i nie dawała się przekonać. W tej sytuacji Diana musiała ustąpić, choć w głębi duszy uważała upór Wandy za pozbawiony sensu. Ustaliły, że ogłoszenie powinno ukazać się dopiero w poniedziałek.

— Już ktoś się odezwał? — zapytała z zainteresowaniem.

— Tak, nawet jestem zaskoczona, że tak szybko.

— Mówiłam, że nie powinno być problemu. Tym bardziej że cenę ustaliła pani bardzo atrakcyjną — przypomniała lekko ironicznie.

— Ja się nie zamierzam na tym dorabiać — powtórzyła Wanda to samo, co podczas dyskusji o tym, że rynkowe ceny wynajmu podobnych mieszkań są sporo wyższe. — Poza tym to żaden apartament, więc nie mogę żądać zbyt wiele.

— Ale chętni jakoś są — zauważyła Diana.

— Owszem. Umówiłam się z kilkoma osobami na jutro i pojutrze — wyjaśniła starsza pani. — Chciałabym ich zobaczyć, porozmawiać, a dopiero potem zdecydować.

— Czyli będzie casting na lokatorów — roześmiała się Diana.

— Bez przesady — oburzyła się nieco lekarka. — Ale nie chcę wynająć pierwszej z brzegu osobie. Wolałabym, żeby to był ktoś sympatyczny...

Sama decyzja o wynajęciu mieszkania nie przyszła Wandzie łatwo. Z jednej strony wiedziała, że powinna to zrobić, bo skoro zdecydowała się zamieszkać u Diany, to płacenie za puste mieszkanie nie miało sensu. Po wynajęciu, oprócz oszczędności na czynszu i mediach, miałyby dodatkowy dochód. Może nie potrzebowała go aż tak bardzo, ale skoro mogłaby odłożyć co miesiąc niewielką sumę, to dlaczego z tego nie skorzystać. Z drugiej strony trudno jej było pogodzić się z myślą, że w mieszkaniu, gdzie przeżyła kilkadziesiąt lat, będzie żył ktoś inny. Przystawi meble, wstawi swoje, zawiesi w szafach inne ubrania...

W końcu jednak podjęła decyzję. I tak na razie nie chciała tam wracać. Bo co robiłaby sama w pustych pokojach? Czułaby się jak stary, zbędny mebel. A tu, we Wrzosowej Polanie, była potrzebna, miała z kim porozmawiać.

— W takim razie pojedziemy wieczorem. — Głos Diany wyrwał ją z zamyślenia.

— Pojadę bussem — zaprotestowała.

— Mowy nie ma. — Projektantka pokręciła głową. — Jest zimno, wcześniej robi się ciemno, a wieczorem może być ślisko na chodnikach. Poza tym od czasu do czasu powinnam odpalić autko, żeby się akumulator

nie rozładował. No i żebym nie zapomniała, jak się jeździ. — Mrugnęła z uśmiechem.

— Skoro tak, to chętnie skorzystam z podwózki. — Wanda się uśmiechnęła.

Miło było usłyszeć, że ktoś się troszczy o to, żeby się nie poślizgnęła i żeby była bezpieczna.



— Ale zimno!

Tobiasz stanął w drzwiach kuchni i zaczął rozcierać dłońmi zmarznięte policzki. Martyna odwróciła głowę i zmierzyła go spojrzeniem pełnym politowania.

— Bo kto z własnej woli wychodzi z domu w taki mroźny poranek? — skomentowała. — No chyba że dopiero wracasz po jakiejś całonocnej imprezie. Kiedy się wczoraj kładłam, jeszcze cię nie było...

Tobiasz uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po filiżankę.

— Nawet nie przysłałeś wieczorem esemesa — dodała Martyna.

Mężczyzna wcisnął przycisk ekspresu. Mielone ziarna zachrobotwały i po chwili do naczynia zaczął spływać aromatyczny napój.

— Widzę, że jakiś tryb kontroli ci się włączył — odezwał się wreszcie.

— To żadna kontrola — zaprzeczyła. — Po prostu się martwiłam.

— Okej, w porządku. — Podniósł dłonie w uspokajającym geście, po czym z kawą usiadł obok Martyny. — Już się tłumaczę. — Uśmiechnął się do niej.

— Nie musisz — mruknęła z obrażoną miną.

— Wiem, że nie muszę. Ale chcę.

Wrońska zerknęła na niego spod oka.

— Wczoraj miałem tyle roboty, że naprawdę nie było chwili nawet na wiadomość — wyjaśnił Tobiasz. — Przyszła grupa znajomych, dwanaście osób, i siedzieli do pierwszej w nocy. O północy puściłem kelnerki do

domu, bo żal mi ich było, i zostałem sam. Ale dałem radę i goście byli zadowoleni — zakończył z dumą.

— Mam nadzieję, że chociaż napiwek ci zostawili.

— Jak najbardziej. — Pokiwał głową. — Całkiem spory.

— Trzydzieści złotych? — zapytała ironicznie.

— Prawie sześćdziesiąt. I nie musisz być złośliwa.

— Nie jestem. Po prostu chciałabym wiedzieć, jaka kwota wystarczy, żebyś był gotów harować do późnych godzin.

— Wiesz dobrze, że nie o pieniądze tu chodzi.

— A o co? — Popatrzyła mu w oczy.

— No o pieniądze też — poprawił się Tobiasz. — Ale nie tylko. Bo najważniejsza jest satysfakcja i zadowolenie z tego, co się robi. Zresztą tobie tego chyba nie muszę tłumaczyć.

— Nie musisz — zgodziła się Martyna. — Ale za to mógłbyś mi powiedzieć, jak to możliwe, że wolisz tyrać w pizzerii, zamiast pracować ze mną?

Tobiasz nie odpowiedział. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde wpatrzone w swoją filiżankę.

— A dzisiaj rano wyszedłem pobiegać — odezwał się wreszcie mężczyzna. — Bo zauważyłem, że na brzuchu czegoś mi przybyło. I nie są to mięśnie, niestety — zażartował, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

— To pewnie dlatego, że wciąż jesz tę pizzę — zauważyła Martyna.

— Co robić? — Wzruszył ramionami. — Taka praca.

— A mógłbyś mieć inną. Nie rósłby ci brzuch i nie musiałbyś biegać po mrozie o szóstej rano.

Mężczyzna gwałtownie odstawił filiżankę.

— Martyna, ja zaczynam mieć tego dość! — nie krył zdenerwowania.

— Czego? — udała, że nie wie, o co mu chodzi.

— Tych twoich aluzji i ciągłego krytykowania tego, co robię.

— Krytykowania? Przecież ja tylko zestawiam fakty. Żadnych ocen. A że wychodzi, jak wychodzi, to nie moja wina.

— Jak niby wychodzi?!

— Przecież nie jesteś głupi i sam to widzisz — odparła Martyna. — Wszystko wskazuje na to, że praca przy programie jest lepsza. Pod każdym względem.

— Rozmawialiśmy o tym już tyle razy...

— Tak — zgodziła się. — A ty jesteś uparty jak osioł. Nic do ciebie nie dociera. — Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. — Rozumiałam, kiedy wzięłeś tę robotę, nawet byłam ci wdzięczna i dumna z ciebie. Mieliśmy trudny czas, a ty nie wybrzydzałeś. To się ceni — perorowała z przekonaniem. — Ale teraz, kiedy sytuacja się zmieniła, możesz rzucić robienie placków i zająć się czymś konkretnym.

— Zajmuję się czymś konkretnym.

— Błagam cię! Przecież to zajęcie dla studenta, który chce sobie dorobić! A my mamy już finansowanie na najbliższy rok — przypomniała. — I sporo reklam, a do tego coraz większą oglądalność — wyliczała z zapalem. — Jesteśmy zabezpieczeni finansowo. Nie musisz już pracować w pizzerii, rozumiesz?

— Rozumiem. Ale po raz kolejny ci powtarzam: podoba mi się ta praca i nie zamierzam z niej zrezygnować. Rozumiesz? — powtórzył ironicznie jej pytanie.

Martyna przystanęła i przez chwilę wpatrywała się w mężczyznę.

— Tobiasz, ja muszę robić kolejne odcinki — powiedziała w końcu. — Wiesz doskonale, że sama nie dam rady. Potrzebuję cię.

Poczuła, że mężczyzna się waha.

— Nie możesz mnie tak zostawić — postanowiła nie odpuszczać. — Są terminy, zobowiązania... Sam wiesz.

Z nadzieją czekała na odpowiedź.

Tobiasz potarł dłonią policzek tak mocno, że słychać było, jak trzeszczy zarost.

— Mógłbym ci pomagać — powiedział po namyśle. — Ale nie poświęcę się całkowicie programowi, nie odejdę z pizzerii.

— Tak się nie da! — Martyna była rozczarowana jego odpowiedzią. — Wiesz, że ta praca wymaga czasu.

Milczał.

— To co ja mam zrobić?! — zdenerwowała się kobieta.

— Uważam, że powinnaś poszukać sobie kogoś do stałej współpracy. — Tobiasz był nieugięty. — Ja mogę doraźnie coś podziałać, wesprzeć tego kogoś w montażu, doradzić. Kiedy będę miał wolne, to chętnie pojedę też na zdjęcia...

— Nie miałeś ostatnio zbyt wiele wolnego — wtrąciła z przekąsem Martyna.

— Sama widzisz. — Rozłożył ręce. — Nie da się tego pogodzić. Dlatego skorzystaj z mojej rady. Na pewno jest wielu, którzy z radością przyjmą twoją propozycję.

— Ale nie ty — podsumowała z żalem.

— Nie ja. Nie w tej chwili.

Kobieta musiała uznać swoją porażkę. Zrozumiała, że nic nie wskóra, pokiwała głową i wbiła wzrok w resztkę kawy na dnie filiżanki.



Ogień zaczynał przygasać, więc Greta dorzuciła do kominka dwa duże kawałki drewna. Stach uniósł się na łóżku i oznajmił:

— Zostaw, sam to zrobię.

— Uspokój się, nie szalej. — Powstrzymała go, unosząc rękę.

Podeszła do łóżka, przysiadła na brzegu i położyła dłoń na żylastej ręce mężczyzny.

— Stachu, niedawno wyszedłeś ze szpitala. Jesteś jeszcze słaby, wiesz o tym. Musisz odpoczywać, nabierać sił...

— Ileż ja mogę nabierać sił! — zirytował się starzec.

— Tyle, ile trzeba — odparła łagodnie.

— Greta, ty nie mów do mnie jak do dziecka. — Skrzywił się. — Jestem dorosłym mężczyzną i mam rozum.

— Czasami się nad tym zastanawiam... — Uśmiechnęła się, mrużąc oczy. — I nad tym, czy czasami mgła przeżytych lat nie przysłania rozsądku.

— Coś mi się wydaje, że próbujesz zasugerować mi, że mam początki demencji. — Zerknął spod oka na kobietę.

— Cóż... — westchnęła nieco teatralnie. — Upierasz się przy niezbyt mądrych pomysłach, złośliwy się robisz — wyliczała. — Cierpliwości ci brakuje...

— Tobie też by brakowało, gdybyś nie mogła samodzielnie nawet iść do łazienki — odparował Stach. — Trzeba mnie niańczyć, a przecież miało

być dobrze! Tak mi obiecywałyście!

Greta nie wyglądała na przejętą jego wyrzutami.

— Będzie, Stachu, będzie. — Poklepała go po dłoni. — Tylko musisz się pogodzić z tym, że w naszym wieku trzeba na to więcej czasu. Nie jesteśmy już młodzi i nie ma co udawać, że jest inaczej. Zresztą co ja mam ci tłumaczyć. Pół życia w lesie spędzasz, to wiesz, że młode drzewo szybciej odbija, gdy je zając ogryzie. A gdy wiatr wieje, to młode drzewko się ugnie i przetrwa, a stare już nie takie elastyczne, więc się łamie — mówiła powoli i spokojnie.

— A powalone już nigdy się nie zazieleni — dodał Stach i odwrócił głowę.

Greta spojrzała na smutne oczy, okolone siateczką zmarszczek, na ogorzałą twarz i białą brodę, na sękatą dłoń pokrytą grubymi niebieskimi żyłami.

— Powalone nie — potwierdziła. — Ale póki korzenie ma silne, to prędzej czy później nowe listki wypuści. Bo takie drzewo wiele wichur przetrwało i choć na zewnątrz gałęzie połamane, to najważniejsze jest zdrowe wnętrze, rdzeń, który chęć życia z korzeni do reszty rośliny przenosi.

Stach milczał. Zielarka znowu pogładziła jego dłoń.

— Zaparzę ci zioła — powiedziała.

— Tylko nie te, po których ciągle śpię — zastrzegł.

— To ty wiesz? — Kobieta była zaskoczona.

— Greta, przecież już ci powiedziałem, że mam rozum — przypomniał starzec. — Poisz mnie tym, żebym spokojnie leżał.

— No tak, masz rację — westchnęła. — Ale nie gniewaj się na mnie — poprosiła. — Niewiele ci tego daję, tyle tylko, żeby nerwy uspokoić.

Stach machnął ręką.

— Mam nadzieję. — Uśmiechnął się lekko, widząc zawstydzoną minę zielarki. — Bo chyba otruć mnie nie chcesz?

— Co ty mówisz! — oburzyła się.

— Teraz to raczej ty powinnaś się tych ziółek napić — zauważył złośliwie Stach.

— Chyba tak zrobię — zgodziła się kobieta.

Stach patrzył, jak sypie susz do rondelka i zalewa wrzątkiem.

— Greta, żebyś się nie martwiła — powiedział w końcu. — Ja do ciebie pretensji nie mam, wiem, że zawsze chcesz pomagać i ulżyć w cierpieniu. Tylko ja już nie chcę tak wegetować. Muszę zacząć wstawać, chodzić... A po tych ziołach zebrać się nie mogę i złość mnie bierze na samego siebie.

Kobieta pokiwała głową na znak, że rozumie.

— Będzie, jak chcesz, Stachu — obiecała. — Tylko boję się, że zaczniesz robić to wszystko za szybko, za wcześnie. I że sobie zaszkodzisz.

Stach popatrzył z niesmakiem na swoją nogę.

— Bardziej to już się chyba nie da — mruknął.

Zielarka przelała napar do glinianego kubka i podeszła z naczyniem do łóżka.

— Przecież ci Wanda tłumaczyła, że uruchamiać się trzeba stopniowo — przypomniała. — Już wstajesz, nawet kilka kroków zrobiłeś...

— Kilka kroków! — prychnął.

— Lepsze to niż żaden — zwróciła mu uwagę Greta. — Stachu, przecież dobrze wiesz, że gdyby nie ta operacja, to niedługo nie chodziłbyś wcale.

Starzec znowu odwrócił głowę.

Zielarka postawiła kubek na stoliku przy łóżku. Nie miała zamiaru zmuszać Stacha do dalszej rozmowy. Znała go od lat i wiedziała, że jest dumnym, niezależnym człowiekiem. Wiele wymagał od siebie, nie potrafił ani nie chciał prosić o pomoc. Rozumiała, że jest mu trudno pogodzić się z sytuacją, w której się znalazł: zdany na opiekę innych, bezradny i niesamodzielny. Doskonale wiedziała, że ta pozorna oschłość, złośliwość i brak uprzejmości to reakcja na brak kontroli nad swoim życiem. I że pod nią kryje się po prostu zwyczajny ludzki lęk. Była jednak pewna, że

mężczyzna się nie podda i będzie walczył o powrót do sprawności. Obawiała się jedynie, że może w tej walce przesadzić, że nie będzie umiał zatrzymać się w odpowiedniej chwili. Zawsze, gdy podjął jakiś zamiar, poświęcał mu się w pełni, nie uznając półśrodków. Greta to rozumiała, ale czuła, że w tym wypadku może to nie być najlepsza strategia.

Tylko jak to wytłumaczyć mężczyźnie, który przez całe życie sam o sobie decydował — rozmyślała, wpatrując się w ogień. — Jak sprawić, żeby zrozumiał, że nie jest dla nikogo ciężarem i że może pozwolić sobie na słabość...

— Greta, opowiesz mi, co tam słychać w lesie?

Odwróciła głowę w jego stronę. Odkąd wrócił ze szpitala, codziennie zadawał jej to pytanie. Mówiła więc, co widziała, gdy chodziła po puszczańskich ścieżkach, opowiadała o napotkanych zwierzętach, o zimie, która brała już las we władanie. Rozumiała tęsknotę Stacha za naturą, za wyjściem na zewnątrz, za samotną wędrówką wśród jodeł.

Muszę porozmawiać z Wandą — zdecydowała. — Może ona przemówi mu do rozumu. Żeby z tej niecierpliwości nie zrobił jakiejś głupoty.



Nacisnęła guzik domofonu.
— Kto tam? — usłyszała.

— Byłam umówiona na oglądanie mieszkania.

Nerwowe chrząknięcie w głośniku.

— Proszę.

Zabrzączał zamek i uchwyciła odgłos otwieranych drzwi. Miała jeszcze chwilę, więc zerknęła w lustro. Poprawiła włosy, obciągnęła bluzkę i odetchnęła głęboko.

Denerwuję się — pomyślała. — Nie podejrzewałam, że to będzie aż tak...

Usłyszawszy lekkie pukanie, Wanda poczuła, że poca jej się dłonie, więc wytarła je szybko o spódnice.

Kto by pomyślał? — przeszło jej przez głowę. — Nawet przed najtrudniejszymi operacjami tak się nie czułam.

Pukanie powtórzyło się, nie mogła dłużej zwlekać. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Przez ułamek sekundy mierzyły się wzrokiem, ale lekarka nie chciała wyjść na niegrzeczną, więc cofnęła się o krok i zrobiła zapraszający gest.

— Niech pani wejdzie.

Młoda kobieta przekroczyła próg i dyskretnie obrzuciła spojrzeniem przedpokój. Nie wyglądała na zbyt pewną siebie.

— Proszę śmiało oglądać — zachęciła ją Wanda. — Przecież musi pani się przekonać, czy chce tutaj mieszkać.

Kobieta uśmiechnęła się lekko i lekarka pomyślała, że wygląda na sympatyczną.

— To może ja panią oprowadzę — zaproponowała.

— Tak, to chyba dobry pomysł — zgodziła się kandydatka na lokatorkę.

— W takim razie zaczniemy od kuchni — zdecydowała starsza kobieta. — Proszę, tam prosto i na lewo.

Kobieta posłusznie poszła we wskazanym kierunku, a to dało Wandzie okazję do lepszego przyjrzenia się gościowi.

Ile ona może mieć lat? Chyba nie ma jeszcze trzydziestu. Chociaż w dzisiejszych czasach coraz trudniej określić wiek kobiety. Tak samo wyglądają osiemnastolatki, trzydziestolatki, a nawet czterdziestolatki.

Dziewczyna była niewysoka, szczupła, a długie blond włosy miała związane w kucyk różową gumką. Ubrana w niebieski sweter i jasne dżinsy nie wyglądała na typ imprezowiczki, przed którym ostrzegła ją Diana.

Żadnej biżuterii, na nogach czarne botki — rejestrowała Wanda. — Makijaż delikatny, chociaż rzęsy chyba sztuczne.

Chciała jak najwięcej zapamiętać, żeby wieczorem zdać Dianie jak najbardziej szczegółową relację. Liczyła, że Lisowska pomoże jej wybrać najlepszego lokatora i uniknąć ewentualnych problemów.

— Bardzo ładnie tutaj. — Głos dziewczyny wyrwał ją z zamyślenia. — Lubię taki styl: drewniane szafki i te pojemniczki w niebieskie kwiatuszki. — Uśmiechnęła się. — U mojej babci takie były.

— To tak zwane włocławki — wyjaśniła Wanda. — Ja też je lubię, choć dziś są już raczej niemodne.

— A ja myślę, że w domu od mody ważniejsza jest przytulność — odparła dziewczyna. — I żeby wszyscy się w nim dobrze czuli. Dobrze i bezpiecznie.

Wandzie spodobały się te słowa. Starła się jednak tego nie okazywać, bo tak zalecała jej Diana. Powiedziała, że jeśli ktoś wyczuje, że przypadł jej do gustu, będzie chciał negocjować cenę.

— To może teraz chodźmy do łazienki — powiedziała pospiesznie. — Od razu mówię, że tam też nie jest nowocześnie. Ale zaznaczałam to w ogłoszeniu.

— Czy pralka zostanie? — zainteresowała się dziewczyna, gdy obejrzała łazienkę i toaletę.

— Tak, oczywiście — zapewniła Wanda. — Tak samo jak lodówka i telewizor. Jeżeli chodzi o meble, to większość mogę usunąć, ale część chciałabym zostawić w piwnicy. Podobnie jak niektóre rzeczy...

— Właściwie to mogłyby zostać — wtrąciła dziewczyna. — O ile oczywiście zdecyduje się pani na moją ofertę — dodała szybko. — Chodzi o to, że nie mamy zbyt wielu własnych, więc...

— To oczywiście będziemy ustalać przy ewentualnym podpisaniu umowy. — Wanda próbowała zachowywać się tak, jak jej sugerowała Diana. — Ale i tak osobiste rzeczy i pamiątki zniosę do piwnicy.

— To znaczy, że piwnica nie będzie dostępna?

— Niestety nie.

— Szkoda, bo przydałaby nam się — odparła dziewczyna. — Ale rozumiem. Jakoś sobie poradzimy.

— Z tego, co pani mówi, wynika, że nie będzie tu pani mieszkała sama. — Wanda postanowiła trochę przepytac kandydatkę. — Czy mogę wiedzieć z kim? Z koleżanką? Z narzeczonym?

Dziewczyna głośno westchnęła. Widać było, że spodziewała się tego pytania.

— Powiem szczerze. — Podniosła na Wandę niebieskie oczy. — Mam zamiar zamieszkać tu z moją siostrą, jej chłopakiem i... — zawahała się — ...z moją pięcioletnią córką — zakończyła szybko.

Lekarka znieruchomiała.

Jaka szkoda — pomyślała. — Wydała mi się całkiem dobrą kandydatką. Ale w tej sytuacji nic z tego.

Dziewczyna od razu pojęła znaczenie wymownego milczenia, jakie zapadło po jej wyznaniu.

— Domyślam się, że mi pani nie wynajmie. — Uśmiechnęła się smutno. — To już chyba szóste mieszkanie, które oglądam, i wszędzie to samo. Nikt nie chce kobiety z dzieckiem. Wiadomo dlaczego. Wprowadzi się, przestanie płacić i nie będzie można jej wyrzucić — mówiła ironicznie, ale w jej oczach Wanda nie dostrzegła złości, raczej coś w rodzaju rezygnacji.

— Proszę się nie dziwić — uznała za stosowne jakoś się usprawiedliwić. — To dla mnie duże ryzyko. Jestem emerytką, nie chcę problemów... To spore mieszkanie, wolę mieć pewność, że lokator będzie w stanie płacić.

— Co ja mogę pani powiedzieć? Pracuję jako opiekunka osób starszych. To ciężka praca, ale mogę ją tak ułożyć, żeby opiekować się Anią, to znaczy moją córką. Mogę też brać nadgodziny albo nocki, wtedy z małą zostaje moja siostra — mówiła spokojnie i cicho. — Siostra studiuje zaocznie i pracuje w sklepie, więc ma stały dochód. Jej chłopak też ma pracę, jest mechanikiem samochodowym. W dotychczasowym mieszkaniu nigdy nie zalegaliśmy z opłatami. Mogę podać telefon do właściciela, to sama pani sprawdzi. Chociaż pewnie nie będzie pani chciała. — Wyjęła z kieszeni kurtki szarą czapkę z futerkowym pomponem i założyła ją. — Nie będę pani zajmować więcej czasu, dziękuję.

— Chwileczkę — zatrzymała ją Wanda. — To dlaczego wyprowadzacie się z dotychczasowego lokum?

— Syn właścicielki się żeni i chcą zamieszkać sami — wyjaśniła.

— Rozumiem. Chyba wiem wszystko, czego potrzebuję. Dziś jeszcze spotykam się z kilkoma osobami i wieczorem podejmę decyzję. Dam pani znać.

— Dziękuję, ale raczej obie wiemy, że jeśli o mnie chodzi, to już jest podjęta — westchnęła dziewczyna. — Do widzenia.

Ruszyła w stronę drzwi. Była drobna, lecz Wanda poczuła, że emanuje z niej jakaś wewnętrzna siła.

— Chwileczkę! — zatrzymała dziewczynę.

Ta stanęła i odwróciła głowę.

— Tak?

— Jak pani ma na imię? Mam zapisane, ale zapomniałam...

— Marta.

— Pani Marto, mogła mnie pani przecież okłamać...

— Mogłam — potwierdziła dziewczyna. — Ale wtedy byłoby tak, jakbym sama uważała, że samotna matka to ktoś gorszy, nieuczciwy czy coś... A ja taka nie jestem. Tak się złożyło, że jestem sama z Anią, ale nie zamierzam się tego wstydzić.

Wanda spojrzała na nią z uwagą.

— Dziękuję za szczerość — powiedziała.

Odprowadziła Martę do drzwi i pożegnała uśmiechem. Polubiła tę dziewczynę i przykro jej było, że nie może jej pomóc.

Cóż, w tak ważnych sprawach trzeba się kierować rozsądkiem — pomyślała.



Martyna zdjęła kurtkę, powiesiła ją starannie na wieszaku przy drzwiach i weszła do kuchni.

— Przepraszam, że ja tak bez zapowiedzi...

— Daj spokój! — Diana nie pozwoliła jej dokończyć. — Ty nie musisz się zapowiadać, jesteś tu zawsze mile widziana.

Objęła przyjaciółkę serdecznie.

— Miło słyszeć, ale kulturalnie byłoby jednak uprzedzić o wizycie.

— A odkąd ty tak przestrzegasz zasad savoir-vivre'u? — roześmiała się Diana. — Zawsze mi się wydawało, że dziennikarki, zwłaszcza te z pierwszej linii, nie bawią się w takie ceregiele.

— Ale ja tu przyjeżdżam prywatnie, nie zawodowo — zauważyła Martyna. — Poza tym pani Wanda budzi taki respekt, że nie chciałabym jej podpaść.

Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu tej, o której mówiła.

— Nie musisz się podlizywać, pani Wandy nie ma — poinformowała ją Diana.

— O! A gdzie jest?

— Pojechała do Kielc. Postanowiła wynająć swoje mieszkanie i ma dzisiaj casting na lokatora. Jest bardzo przejęta. Staralam się ją jakoś przygotować, mam nadzieję, że skorzysta z moich rad. — Wskazała Martynie miejsce przy stole. — Chodź, usiądźmy.

— Szkoda, że jej nie ma. — Dziennikarka była wyraźnie rozczarowana.

— Masz do niej jakąś sprawę?

— Nie, po prostu liczyłam na coś pysznego — przyznała szczerze Martyna. — Wiesz, ja ostatnio jadam głównie pizzę albo jakieś szybkie dania na mieście. Dlatego każda okazja zjedzenia czegoś naprawdę dobrego i domowego to dla mnie prawdziwe święto.

— Widzę, że nie wierzysz, że ja mogłabym coś dobrego ugotować. — Diana zrobiła urażoną minę.

— Wierzę, ale tak pysznie jak pani Wanda, to na pewno nie. Bez urazy. — Martyna jak zawsze była szczerą. — Skoro jednak jej nie ma, to zrób mi herbatę, dobrze? Zimno dzisiaj strasznie.

— Na herbatę możesz liczyć. Ale mam coś jeszcze. — Diana pauzą zbudowała odpowiednie napięcie. — Co powiesz na pyszny, kwaśny kapuśniak ze skwarkami z boczku?

Martyna głośno przełknęła ślinę i popatrzyła pytająco na przyjaciółkę.

— Tak, pani Wanda gotowała — potwierdziła Diana. — Zostawiła go tyle, że mogłabym wykarmić połowę Świętej Katarzyny.

— No to dawaj ten kapuśniak! — zawołała ucieszona Martyna. — Tylko dużo skwarków mi nałóż — zastrzegła.

Zjadły z apetytem. Martyna odsunęła talerz i poklepała się po brzuchu.

— Jestem pełna. I coś mi się wydaje, że gdybym mieszkała z panią Wandą, to bardzo szybko przybyłoby mi kilogramów.

— Sugerujesz, że przytyłam? — Diana zmarszczyła brwi.

— Absolutnie nie! — Wrońska zmierzyła koleżankę krytycznym spojrzeniem. — Chociaż, prawdę mówiąc, wcale by ci to nie zaszkodziło. Mam wrażenie, że odkąd cię poznałam, ciągle chudniesz...

— Fakt — przyznała niechętnie Diana. — Ale doskonale wiesz, że to ze stresu.

— Wiem, oczywiście. Tylko niedobrze byłoby, gdybyś to jeszcze przypłaciła zdrowiem. Może powinnaś zrobić jakieś badania, tak na wszelki wypadek. — Popatrzyła z troską na Dianę.

— Też o tym myślałam. Mam jeszcze jedno warsztaty, a potem zajmę się tym. Chociaż uważam, że będzie w porządku. Wiesz, ostatnio jest spokój, więc z czasem i moja waga się unormuje.

— Z pomocą pani Wandy. — Martyna mrugnęła porozumiewawczo. Nie chciała, żeby Diana znowu pogrążyła się we wspomnianiu przeszłości. — A kiedy wróci nasza pani doktor?

Pogłaskała Kocia, który — gdy tylko dojrzał, że skończyły jeść — natychmiast wskoczył na kolana gościa.

— Mówiła, że zajmie jej to kilka dni. Jak już zdecyduje, komu wynajmie mieszkanie, będzie chciała posprzątać, pewnie pozbyć się jakichś rzeczy. Gdy zadzwoni, to wszystko z nią ustalę.

— Ale to znaczy, że zostanie z tobą na dłużej, prawda?

— Tak — potwierdziła Diana. — I bardzo się z tego cieszę. Naprawdę bardzo... — Zamilkła, by ukryć wzruszenie.

Martyna pomyślała, że ją rozumie i nawet trochę zazdrości jej takiego dojrzałego wsparcia i opieki. Wiedziała doskonale, jak trudno jest samej radzić sobie z życiem.

— Trafiliście na siebie w odpowiedniej chwili — powiedziała z przekonaniem.

— Dokładnie tak samo jak my dwie — dodała z uśmiechem Diana.

— No ty to masz szczęście, dziewczyno, do fajnych babek! — Wrońska starała się obrócić jej słowa w żart.

Poczuła bowiem, że robi się poważnie i sentymentalnie, a nie chciała tego. Bała się, że nie zdoła ukryć swoich emocji.

— Ty też chyba nie możesz narzekać — zauważyła Lisowska. — Poradziłaś sobie świetnie. Masz własny program, zdobyłaś na niego środki, nie musisz już przejmować się żadnymi układami i możecie z Tobiaszem robić to, co kochacie. To chyba sukces, co?

Martyna nagle przestała się uśmiechać.

— Tak, możemy robić to, co kochamy. Zwłaszcza Tobiasz...

Diana zerknęła na nią czujnie.

— Coś między wami nie tak? Pokłóciliście się?

Dziennikarka wzruszyła ramionami.

— Gdybyśmy się pokłócili, to nie byłby problem. Zawsze można się pogodzić, prawda?

— W takim razie co się dzieje?

— Sama nie wiem, co ci powiedzieć. Niby nic złego. Bo czy mogę mieć pretensje, że Tobiasz chce zająć się tym, co go zafascynowało? Powinnam się przecież cieszyć razem z nim. Ale nie mogę.

— To może ja ziółek od Grety zaparzę? — zaproponowała Diana.

— Wolałabym kieliszek koniaku, ale muszę jakoś wrócić do domu — westchnęła Martyna. — Niech więc będą te ziółka.

— Możesz zostać, miejsce jest — zaproponowała Diana. — Ale koniaku i tak nie mam.

— Dzięki, ale rano jadę przygotowywać kolejny odcinek programu, a mam jeszcze kilka rzeczy do przejrzenia. Mimo to jeszcze trochę posiedzę, dobrze?

— Jasne! Pogadamy, poczekamy na telefon od pani Wandy i dowiemy się, jakie są wyniki castingu.

Diana postawiła na stole kubki z naparem. Dziennikarka poprawiła się na krześle, co nie spodobało się kotu, który rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

— Uważasz, że naprawdę można lubić robienie placka z pomidorowym sosem? — zapytała Martyna.

— Myślę, że można.

— Ale on nigdy wcześniej nie interesował się gotowaniem. Jest świetnym operatorem i montażystą, może na tym zarabiać naprawdę nieźle. A nagle coś mu odbija, odrzuca moją propozycję i całe dni spędza w dusznej kuchni, wyrabiając ciasto i ciesząc się z napiwków. Przecież to chore!

Diana popatrzyła przyjaciółce w oczy.

— Nie obraź się, ale mam wrażenie, że najbardziej wkurza cię to, że ci odmówił. Nie lubisz, gdy ktoś ci się sprzeciwia, prawda?

To nie były zbyt miłe słowa, ale dziennikarka musiała docenić szczerść Diany.

— Może coś w tym jest... — westchnęła. — Naprawdę jestem taka okropna?

— Nie jesteś okropna. Nic takiego nie powiedziałam — zaznaczyła Lisowska. — Po prostu taki masz charakter. A Tobiasz jest inny. — Zawahała się, ale uznała, że skoro zaczęła, to powinna powiedzieć Martynie wszystko, co myśli. — Wiesz, ja go rozumiem. Też nagle zmieniłam swoje życie, zrezygnowałam z możliwości większych zarobków na rzecz robienia tego, co lubię, i też nieoczekiwanie odnalazłam swoją pasję. Widzisz, to czasami jest ważniejsze od pieniędzy i od sławy...

Martyna się zamyśliła. Wzięła kubek i podeszła z nim do okna. Popatrzyła w dal, w ciemność lasu, której nie rozjaśniało nawet najmniejsze światełko. Po chwili poczuła, że Diana stanęła przy niej, i usłyszała ciepły głos przyjaciółki:

— Jestem pewna, że ty też to rozumiesz. Bo czujesz tak samo. Tylko musisz na chwilę zapomnieć o chęci zwyciężania za wszelką cenę. To dobra cecha w życiu zawodowym, ale sama wspomniałaś o życiu prywatnym. Popatrz na Tobiasza nie jak na operatora czy montażystę, ale jak na człowieka. — Lisowska objęła Martynę ramieniem. — Jak człowiek na człowieka — powtórzyła.

Za szybą zawirował duży płatek śniegu. Po nim drugi i trzeci. Opadały powoli, niespiesznie na parapet.

— No to mamy zimę — stwierdziła Martyna i upiła duży łyk ziołowego naparu.

Kocio, który wskoczył na parapet, przyjął to z zupełną obojętnością.



Wanda z ulgą zamknęła drzwi i poczuła, że jest naprawdę zmęczona. Spotkała się z pięcioma osobami, które obejrzały mieszkanie. Nie wiedziała, czy to dużo, czy mało, nie miała doświadczenia w takich sprawach, ale dla niej te wizyty okazały się dużym wyzwaniem.

Obcy ludzie chodzili po pokojach, zaglądali w każdy kąt, większość otwarcie krytykowała stan mieszkania i sposób jego urządzenia. Bez ogródek wytykali niemodne kafelki czy armaturę, narzekali na kolor ścian, wskazywali nawet najmniejsze przybrudzenie czy pękniętą płytkę na kuchennej podłodze.

Wanda miała świadomość, że robią to, aby wynegocjować niższą cenę wynajmu, ale i tak każde słowo krytyki bolało. To był przecież jej dom. Każda z tych drobnych usterek wiązała się z jakimś wspomnieniem. Płytką pękła, gdy upuściła patelnię, bo matka niespodziewanie krzyknęła, zaciek na parkiecie powstał na skutek przelania ulubionej paprotki. Lekarka myśli miała wówczas zajęte skomplikowaną operacją, którą miała przeprowadzać następnego dnia. Pacjent przeżył i wrócił do zdrowia, ale kwiatka nie udało się uratować, a parkiet do dziś nosi ślady.

Westchnęła. Nie sądziła, że to będzie aż takie trudne. Jakby wystawiła do oceny całe swoje dotychczasowe życie, a ono na dodatek nie dostało zbyt dobrej noty.

Poszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie. Czowała, że gorąca i mocna kawa jest tym, czego teraz potrzebuje. Tak, był już wieczór i wiedziała, że

nie powinna jej pić, ale miała przecież podjąć ważną decyzję, a przy szklance kawy zawsze wychodziło jej to najlepiej. Zalała zmielone ziarna wrzątkiem i usiadła przy stole, czekając, aż się zaparzą.

W myślach przywoływała każdą osobę, z którą dziś rozmawiała. Próbowała sobie wyobrazić, jak ci ludzie chodzą po przedpokoju, myją się w łazience, jedzą obiad przy stole, przy którym teraz siedziała...

A może nie będą go chcieli — pomyślała, gładząc drewniany blat, z którego w wielu miejscach starł się już lakier. — Może zdecydują, że trzeba go wyrzucić? — Zrobiło jej się smutno i zaczęła się wahać. — Czy na pewno podjęłam dobrą decyzję? Mam trochę oszczędności, a emerytura wystarczy na opłaty i utrzymanie. Czy powinnam oddawać w obce ręce miejsce, w którym spędziłam większość życia? Sprzęty, które stanowiły moją codzienność?

Sięgnęła po szklankę i ostrożnie upiła łyk mocnego naparu. Sparzyła usta, ale lubiła to uczucie. Jej zdaniem zimna kawa nie nadawała się do picia, choć wiele razy między jedną a drugą operacją musiała się taką zadowolić.

Tak, wciąż w życiu byłam zmuszona zadowalać się namiastkami i godzić na coś, co mi nie odpowiadało — pomyślała gorzko. — Zimna kawa to i tak drobiazg. Myślałam o wszystkich, tylko nie o sobie. Robiłam to, czego wymagali ode mnie inni, spełniałam ich oczekiwania, żeby zasłużyć na uznanie, pochwałę, miłość...

Stanowczym ruchem odstawiła szklankę na spodeczek. Zrobiła to trochę zbyt mocno i kilka kropel czarnej jak smoła kawy rozprysnęło się na drewnianym stole. Wanda nawet nie zwróciła na to uwagi. Miała ważniejszą rzecz do zrobienia. Odnalazła wzrokiem telefon, który odłożyła na blat jednej z szafek.

Muszę zadzwonić — stwierdziła. — Nie, nie tak — poprawiła w myślach samą siebie. — Chcę. Chcę zadzwonić.



— Trochę się niepokoję — westchnęła Diana. — Pani Wanda powinna się już odezwać...

— Może jeszcze ktoś ogląda mieszkanie — starała się ją uspokoić Martyna.

— O tej porze? — Diana zerknęła na zegar. — Jest już prawie dziewięta.

— Kochana, ludzie pracują — zwróciła jej uwagę dziennikarka. — Czasami nawet do osiemnastej. Zanim wrócą do domu, coś zjedzą, to jest dwudziesta. I dopiero wtedy mają czas.

— Sama nie wiem... — Tłumaczenia przyjaciółki nie do końca przekonywały Dianę. — Nie wydaje mi się, żeby pani Wanda chciała umawiać się tak późno. Wiesz, to starsza kobieta. Na dodatek jest tam sama...

— Skoro się martwisz, to sama zadzwoń. — Wrońska wzruszyła ramionami. — Po co wymyślać czarne scenariusze i tracić nerwy?

— Masz rację, idiotka ze mnie! — stwierdziła samokrytycznie zawstydzona Diana.

— Bez przesady. — Dziennikarka uśmiechnęła się pobłaźliwie. — Po prostu w stresujących sytuacjach czasami tracisz głowę.

Przyjaciółka uśmiechnęła się lekko.

— Na szczęście mam ciebie — odparła. — Nie znam nikogo, kto lepiej niż ty radzi sobie w trudnych chwilach.

— Aż tak dobrze to nie jest. — Martyna pokręciła głową. — Pamiętasz, w jakim stanie byłam, gdy się poznałyśmy? Trudno to nazwać opanowaniem i samokontrolą.

— Ej, to była sytuacja ekstremalna! Ale ogólnie jesteś naprawdę bardzo dzielną babką.

— Dobra, starczy już tych komplementów. Chyba miałaś do kogoś zadzwonić?

— No tak! Już dzwonię.

Nie zdążyła, w tej samej chwili rozbrzmiał sygnał przychodzącego połączenia.

— Pani Wanda! — ucieszyła się Diana, patrząc na wyświetlacz.

— A widzisz! Mówiłam!

Lisowska odebrała.

— Dobry wieczór! Właśnie miałam do pani dzwonić. Już zaczynałam się martwić...

— Niepotrzebnie, wszystko w porządku — zapewniła lekarka.

— No to kamień spadł mi z serca! Martyna od początku mówiła, że nic złego się nie stało.

— Jest z tobą Martyna? Pozdrów ją ode mnie.

— Niech pani sama to zrobi, włączę tryb głośnomówiący. — Diana kliknęła ikonkę głośnika.

— Dobry wieczór, pani Wando! — przywitała się dziennikarka.

— Dobry wieczór!

— I jak tam casting? Jacyś kandydaci przypadli pani do gustu?

Młode kobiety usiadły przy stole, a telefon położyły na środku.

— Niech pani nam opowie, jacy ludzie przyszli — zachęciła Diana. — Może coś doradzimy? Albo pomożemy wybrać?

— Nie trzeba — usłyszały w odpowiedzi. — Już się zdecydowałam. I wynajęłam mieszkanie.

— Tak?! — Lisowska była zaskoczona. — To szybko poszło...

— A kto jest szczęśliwym zwycięzcą? — zainteresowała się Martyna.

— Bardzo sympatyczna dziewczyna.

— Studentka?

— Nie. Pracuje.

— To chyba jakaś bizneswoman, skoro będzie sama wynajmowała takie duże mieszkanie — zauważyła Diana.

— Nie sama — sprostowała Wanda. — Będzie mieszkała z siostrą, jej narzeczoną i swoją córeczką.

— Córeczką?! — Dianie nie spodobało się to, co usłyszała. — Ale, pani Wando... Rozmawialiśmy o tym, że dziecko to ogromny problem, gdyby wynajmująca okazała się nieuczciwa i...

— Pamiętam, co mówiłaś — przerwała jej lekarka. — Ale już zdecydowałam — dodała z przekonaniem. — I zdania nie zmienię.

— Może jednak jeszcze to pani przemyśli? — zasugerowała delikatnie Martyna.

— Przemyślałam — ucięła Wanda. — Zostanę w Kielcach jeszcze kilka dni. Muszę przenieść część rzeczy do piwnicy, wyrzucić co nieco i przygotować mieszkanie.

Przyjaciółki wymieniły spojrzenia ponad telefonem.

— Pani Wando... — zaczęła Diana.

— Zjedzcie kapuśniak i nie martwcie się o mnie. Wiem, co robię.

— Jak pani uważa...

— Tak właśnie uważam. Dobranoc, dziewczynki!



Ułożyła ostatniego glinianego mikołaja na tacy i podniosła wzrok na grupę dzieciaków stojących przy warsztatowych stołach.

— Bardzo wam dziękuję za wspaniałą pracę — powiedziała z uśmiechem. — Jesteście fantastyczni! Podziwiam wasze kreatywność i zaangażowanie. Postaram się wypalić prace jak najszybciej i przywiozę je do szkoły.

Jedna z nauczycielek podeszła bliżej.

— Wy też powinniście coś powiedzieć pani Dianie — podpowiedziała uczniom.

— Dzię-ku-je-my! — W stodole zabrzmiał nieco nierówny chór dziecięcych głosów.

— Praca z takimi fajnymi ludźmi to sama przyjemność — odparła szczerze.

Z uśmiechem przyglądała się, jak na polecenie nauczycielki dzieci próbują ustawić się równo i dobierają się w dwójki.

Druga opiekunka podeszła do Diany.

— Ja też chciałabym pani podziękować. Warsztaty były naprawdę inspirujące i ciekawe — dodała. — Przyznam, że sama się zaangażowałam. Tak ciekawie pani mówi, że chyba sama miałabym ochotę spróbować. Prowadzi pani może zajęcia indywidualne? Albo jakąś grupę dla dorosłych?

— Niestety nie. — Lisowska pokręciła głową. — Prawdę mówiąc, dopiero zaczęłam się tym zajmować. Wcześniej to było tylko hobby...

— W takim razie powinna pani pomyśleć o rozszerzeniu oferty — odpowiedziała nauczycielka. — Myślę, że bez problemu znalazłaby pani chętnych.

— Może to rzeczywiście jest jakiś pomysł — stwierdziła Diana po krótkim namyśle. — Ale raczej dopiero na wiosnę. Jak pani widzi, tutaj nie mam na razie warunków na zimowe zajęcia. — Wskazała głową na gazowe grzejniki i niezbyt szczelne ściany stodoły. — Jesteście ostatnią grupą w tym roku. Mam nadzieję, że w przyszłym uda mi się coś tu zmienić. A wtedy, kto wie, może rzeczywiście zaproponuję zajęcia dla dorosłych. — Uśmiechnęła się.

— Świetnie! W takim razie będę zaglądać na pani stronę — obiecała nauczycielka. — A za dziś jeszcze raz bardzo dziękuję.

Diana odprowadziła grupę do bramy. Swoim zwyczajem poczekała, aż dzieci znikną za rogiem, i dopiero wtedy zamknęła drewniane skrzydła. Tego dnia nie było to łatwe, ponieważ śnieg padał przez całą noc i ciężko było przepchnąć bramę przez zmrożone koleiny.

O tym nie pomyślałam, gdy postanowiłam się tu przeprowadzić — westchnęła w myślach.

Już rano zrozumiała, jakim wyzwaniem może być zima we własnym domu.

W bloku nie musiałam się martwić odśnieżaniem chodnika — rozmyślała, odrzucając łopata śnieg, żeby zrobić ścieżkę od domu do stodoły. Zwykłą łopata. — Zima zaskoczyła nie tylko drogowców — stwierdziła samokrytycznie. — Muszę kupić taką specjalną, szeroką łopatę. Czy ona ma jakąś nazwę?

Gdy wreszcie zasunęła metalowy skobel i założyła kłódkę, zdecydowała, że pora na kubek kawy i ciepły kocyk. Jednak okazało się, że nie dane jej będzie tak szybko odpocząć. Kiedy bowiem się odwróciła, zobaczyła, że na sąsiedniej posesji, przed drewnianą willą, starsza kobieta powoli i z wyraźnym wysiłkiem stara się odśnieżyć schody.

Lisowska po raz pierwszy miała okazję zobaczyć swoją sąsiadkę. Nigdy wcześniej się nie spotkały i Diana nawet nie wiedziała, kto mieszka w domu za płotem. A że jej dotychczasowe kontakty z miejscowymi nie należały do szczególnie udanych, to nie odważyła się iść z sąsiadką wizytą. Nie wiedziała, jak zostanie przyjęta, a nie miała ochoty na kolejne aluzje dotyczące jej domu.

Teraz jednak nie potrafiła obojętnie przejść obok tego, co zobaczyła.

— Dzień dobry! — krzyknęła w stronę kobiety.

Ta podniosła głowę i spojrzała na nią.

— Dzień dobry! — odkrzyknęła. — Wygląda na to, że przyszła zima!

Chyba nie ma nic przeciwko mnie — stwierdziła Diana. — Skoro odpowiedziała... I jeszcze zagadnęła...

Nie zastanawiając się dłużej, podeszła do płotu.

— Rzeczywiście, wszystko zasypane — powiedziała do sąsiadki. — Ledwie udało mi się otworzyć bramę.

— Właśnie próbuję odkopać sobie drogę do furtki. Miałam zamiar iść do sklepu...

Wyprostowała się i rozmasowała dłonią plecy.

— Może ja pani pomogę? — zaproponowała Diana i nie czekając na odpowiedź, poszła szybko w stronę swojej bramy, a po chwili była już na podwórku sąsiadki. — Proszę mi to dać. — Wyciągnęła rękę po szufłę.

Sąsiadka zawahała się, ale w końcu podała narzędzie.

— Jeśli pani jest tak miła... Mój kręgosłup z roku na rok coraz gorzej znosi taki wysiłek — usprawiedliwiła się.

— Nie ma problemu — zapewniła Lisowska.

Miała już trochę wprawy, a odpowiednia łopata także ułatwiła pracę. Szybko odśnieżyła resztę schodów, a potem ścieżkę do furtki.

— Jestem pani bardzo wdzięczna. — Sąsiadka się uśmiechnęła.

Diana nie widziała dokładnie jej twarzy, kobieta miała na szyi wysoko zamotaną chustę, a na głowie czapkę naciągniętą głęboko na czoło. W jej

oczach dostrzegła jednak coś, co wzbudzało sympatię.

— Proszę to potraktować jak zwyczajną sąsiedzką pomoc —
odpowiedziała. — Miłego dnia!

— Wszystkiego dobrego!

Kiedy Diana wchodziła do swojego domu, dostrzegła jeszcze, że sąsiadka idzie ulicą z dużą płócienną torbą w dłoni.

Wygląda na miłą osobę — pomyślała. — Chyba mieszka sama, skoro nie miał jej kto pomóc...



W takich chwilach dociera do mnie, ile naprawdę mam lat — pomyślała Wanda i popatrzyła na duży foliowy worek wypakowany ubraniami. Wyniosła już trzy takie do kontenera na używaną odzież, a w domu czekały kolejne.

Poprzedniego wieczora długo siedziała w pokoju matki i wpatrywała się w otwartą na oścież szafę. Zastanawiała się, co powinna zrobić z tymi wszystkimi rzeczami. Zostawić? Ale po co? Na pamiątkę? Wydało jej się to pozbawione sensu. Wyrzucić? Na myśl o tym czuła jakiś opór, jakby matka patrzyła na nią groźnie, gotowa protestować przeciwko pozbywaniu się jej sukienek i butów.

Kilka razy była nawet bliska rezygnacji z planów, odwołania wynajmu i pozostawienia wszystkiego tak, jak jest. W końcu jednak zrozumiała, że musi dokonać ostatecznego wyboru, od którego zależy to, jak będzie wyglądało jej dalsze życie.

Nie wiadomo, ile czasu mi zostało, przecież mam już swoje lata — musiała być szczerą z samą sobą. — Mogę go przeżyć w pięknym miejscu, w gronie życzliwych osób, z uśmiechem na twarzy, albo zostać tu, stworzyć muzeum pamięci mojej matki i płatać się samotnie niczym jeden z eksponatów, wyblakła i smutna. Tak, taki mam wybór!

I właśnie ta świadomość ostatecznie wpłynęła na decyzję Wandy Kowal.

Kilka godzin później w pokoju matki zostały już tylko meble. Resztę rzeczy: ubrania, drobiazgi, bezwartościowe bibeloty Wanda posegregowała

do worków i pudeł. Część przeznaczona była do wyrzucenia, kilka fotografii i dwa złote pierścionki powędrowały do szkatułki z pamiątkami, a reszta trafi do potrzebujących.

Dwa pierwsze worki z ubraniami Wanda zaniosiła całkiem sprawnie, choć wchodzenie po schodach nie było tak bezproblemowe jak kiedyś. Trzeci worek wydawał się ważyć dużo więcej niż poprzednie i podczas wędrówki do kontenera starsza pani dwa razy musiała przystanąć i odpocząć chwilę. Teraz miała zmierzyć się z czwartym.

— Po tym kursie zrobię przerwę — powiedziała półgłosem do siebie. — Odpocznę, napiję się herbaty...

Ta obietnica miała zadziałać motywacyjnie, choć to nie chęci brakowało lekarce, a sił.

Jeżeli tak to będzie szło, to nie uda mi się zdążyć w umówionym czasie — rozmyślała z niepokojem, taszcząc worek po schodach. — A przecież jeszcze muszę zorganizować kogoś, kto wyniesie i wywiezie łóżka i drobniejsze meble, których nowa lokatorka nie potrzebowała. Chyba przeceniłam swoje możliwości — przyznała niechętnie.

Przystanęła na półpiętrze, żeby rozprostować plecy i uspokoić oddech.

— Dzień dobry, pani Wando!

Popatrzyła w górę i zobaczyła sąsiadkę, która w szlafroku wychylała się zza drzwi swojego mieszkania.

— Dzień dobry — odpowiedziała.

— Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas, więc wyjrzałam — wyjaśniła kobieta. — Wie pani, w dzisiejszych czasach trzeba być czujnym. Nigdy nic nie wiadomo. Nawet w biały dzień potrafią się włamywać.

Akurat! — pomyślała Wanda. — Nie robiłam żadnego hałasu. Jak zwykle musiała nasłuchiwać i patrzeć przez wizjer, a niepohamowana ciekawość skłoniła ją do otwarcia drzwi.

Tymczasem sąsiadka perorowała dalej:

— Powiem pani, że podobno trzy bloki dalej to przed południem przyszli złodzieje i wynieśli z mieszkania wszystko, łącznie z meblami. Wyobraża sobie pani?! Nawet któryś z sąsiadów widział, ale tamci powiedzieli, że są zamówieni z firmy przeprowadzkowej. Tak to właśnie jest, jak ludzie mieszkają obok, a nic o sobie nie wiedzą. Niech pani sama powie, czy nie mam racji?! — Nawet nie czekając, czy Wanda się z nią zgodzi, ciągnęła z zapałem: — Co innego u nas. Ja na przykład wiem, że pani nie ma, więc zwracam uwagę na pani mieszkanie. Czy się ktoś obcy tu nie kręci, rozumie pani? Wczoraj nawet widziałam, że ktoś obcy wchodził, i wyrzałam, żeby wypytać. No ale usłyszałam pani głos, więc uznałam, że wszystko w porządku — powiedziała z dumą, jakby czekała na podziękowania i uznanie.

Wanda jednak milczała.

— Miała pani gości? — Sąsiadka postanowiła zapytać wprost, skoro nie udało jej się niczego dowiedzieć podstępem. — Jakaś uroczystość? Bo chyba więcej osób było?

Lekarka zrozumiała, że nie uniknie odpowiedzi. Wścibstwo sąsiadki było silniejsze niż zasady dobrego wychowania.

— Owszem, było u mnie kilka osób — odparła. — Ale to żadna uroczystość. Po prostu załatwiam pewne sprawy po śmierci mamy.

Jeżeli miała nadzieję, że to sąsiadce wystarczy, to się myliła.

— Ach, czyli to rodzina, tak? Jacyś krewni? Składali kondolencje? — Kobieta na moment zrobiła smutną minę i popatrzyła na Wandę z udawanym współczuciem. — Szkoda, że jakoś ich nie widywałam, gdy pani tak się męczyła przy opiece nad mamą...

Wanda miała dość tej obłudy. Chwyciła worek i pociągnęła go w stronę schodów.

— A teraz co? Generalne porządki? Wróciła już pani z wojaży? — Sąsiadka nie dawała za wygraną. Podeszła do poręczy i wychyliła się, żeby nadal widzieć lekarkę. — Pewnie, pewnie. Przyda się mały remoncik, bo

u was to chyba z trzydzieści lat nic nie było robione... Tylko niech pani pamięta, że robotników trzeba pilnować. Potrafią do wieczora stukać i pukać, a potem skargi są do administracji. Wiem, bo mówiła mi...

— Nie robię remontu — przerwała jej emerytowana lekarka.

— A, to dobrze. Czyli porządki. Ale po co się tak męczyć? Powolutku trzeba. Skoro pani już wróciła, to ma pani czas...

Wanda postanowiła zakończyć wreszcie to sąsiedzkie przesłuchanie.

— Będę tu tylko kilka dni, a potem wyjeżdżam na długo — oznajmiła.

— Tak? A dokąd? — Sąsiadka jeszcze bardziej wychyliła się przez poręcz.

— Do rodziny.

Co ciekawe, Wanda Kowal poczuła, że wcale nie kłamie. Uzmysłowała sobie, że tak właśnie myśli o Dianie. Dziewczyna stała się jej tak bliska, jakby naprawdę były spokrewnione.

— To dobrze, że mi pani mówi. Dalej będę miała na oku mieszkanie.

— Nie ma potrzeby. Wynajęłam je, więc nie będzie puste.

— Co też pani mówi! Mam nadzieję, że nie studentom? — Wścibską kobietę aż zatchnęło.

— Nie. Będzie tu mieszkać troje młodych ludzi i dziecko. — Wanda uznała, że nie będzie niczego ukrywać.

— To chyba jeszcze gorzej. — Sąsiadka się skrzywiła. — Dziecko na pewno będzie tupać, biegać po schodach, płakać... Oj, pani Wando, powiem szczerze, że nie podoba mi się to. — Pokręciła głową z dezaprobatą. — Do tej pory było na naszej klatce cicho i spokojnie. A teraz to nie wiem...

Lekarka popatrzyła w górę. Słowa sąsiadki i jej krytyczny ton zezłościły ją. Nigdy nie lubiła tej wścibskiej i fałszywej baby, ale dotychczas starała się tego nie okazywać w imię dobrosąsiedzkich stosunków. Może nareszcie pora utrzyć jej trochę nosa?

— Prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzi, czy to się pani podoba, czy nie — odpowiedziała szczerze i odważnie. — To moje mieszkanie i mogę z nim robić, co zechcę. Nie jestem od zadowalania pani czy kogokolwiek innego. Mam nadzieję, że wystarczająco zaspokołam pani ciekawość, a teraz żegnam.

Szarpnęła worek i zaczęła schodzić po schodach. Po chwili usłyszała głośne trzaśnięcie drzwiami i zrozumiała, że w ten sposób sąsiadka okazała swoją złość.

I dobrze! — pomyślała z satysfakcją. — Należało jej się!



Diana miała zamiar spędzić leniwe popołudnie. Przygotowała sobie dzbanek owocowej herbaty, ciepły koc i książkę. Kocio od razu ułożył się w nogach łóżka, a gdy tylko Diana otuliła się kocem, natychmiast wsunął się pod miękki materiał i zaczął cicho mrużyć. Kobieta gładziła ciepłe futerko, a miarowy odgłos kociego zadowolenia sprawił, że poczuła się rozluźniona i spokojna. Próbowwała walczyć z sennością, ale szybko przegrała. Ciepło ogarnęło całe jej ciało, powieki zrobiły się ciężkie i zapadła w drzemkę.

Obudziło ją pukanie do okna.

Zerwała się szybko, zaniepokojona i nieco zdezorientowana. Kto to może być? Popatrzyła w ciemność za oknem, ale nie dostrzegła niczego, bo w pokoju paliło się światło.

Martyna pukałaby do drzwi albo dzwoniła — starała się zebrać myśli. — Zresztą była wczoraj. Pani Wanda ma klucze, poza tym umówiliśmy się, że po nią pojedę. Greta? Może coś stało się panu Stachowi?

Pukanie powtórzyło się, tym razem jednak niezapowiedziany gość stał przed drzwiami, więc Diana wyszła na werandę.

— Kto tam? — Starła się, żeby jej głos brzmiał pewnie.

Była sama i w takich chwilach natychmiast na nowo budził się w niej lęk. Chociaż ostatnie tygodnie były spokojne, to wspomnienia trudnych wydarzeń nadal były żywe.

— Kto tam? — powtórzyła głośniejszym głosem.

— Sąsiadka — usłyszała zza drewnianego skrzydła.

Odetchnęła z ulgą i otworzyła. Na progu stała starsza kobieta i uśmiechała się przyjaźnie.

— Dobry wieczór! Przepraszam, że tak długo nie otwierałam, ale zasnęłam przy książce i nie słyszałam...

— Oj, to znaczy, że panią obudziłam — zmartwiła się sąsiadka. — Zajrzałam przez okno i zobaczyłam, że pani leży, ale głaskała pani kota, więc pomyślałam, że po prostu pukam zbyt cicho — tłumaczyła się z przepaszającym uśmiechem.

— Głaskałam kota? — zdziwiła się Diana. — W takim razie musiałam robić to przez sen. — Gdy poczuła zimny powiew, oprzytomniała i zawołała: — Ale ze mnie gospodyni! Wciąż stoimy w drzwiach — roześmiała się i cofnęła o kilka kroków. — Zapraszam do środka.

Kobieta weszła i rozejrzała się po werandzie.

— Widzę, że spodobał się pani rustykalny styl.

— Tak, bardzo mi odpowiadają takie klimaty. Uważam, że wnętrze powinno pasować do miejsca, w którym jest dom. A tutaj, wśród lasu, nic innego nie komponuje się lepiej — wyjaśniła z uśmiechem Diana. — Proszę dać płaszcz i wejdziemy dalej, bo tu, na werandzie, nie ma ogrzewania.

Kobieta zdjęła okrycie i podała dziewczynie. Była drobniejsza, niż wcześniej wydawało się Lisowskiej.

— To dla pani — powiedziała, podając gospodyni pakunek.

— A co to takiego?

— Nic wielkiego, ciasto. Chciałam podziękować za dzisiejszą pomoc.

— Ależ nie trzeba było! Mówiłam, że to zwykła sąsiedzka życzliwość.

— Gdyby nie pani, trudziłabym się zapewne jeszcze długo. Poza tym przyznam się, że bardzo nie lubię zimna. — Znowu się uśmiechnęła.

— Rozumiem, ale żeby aż ciasto...

— Bardzo lubię piec.

Co za pozytywna osoba — pomyślała Diana. — A kiedy się uśmiecha, to jakby całą sobą. I chyba często to robi, bo ma takie sympatyczne zmarszczki w kącikach oczu.

— Skoro pani przyniosła ciasto, to ja zaparzę nam herbatę — zaproponowała. Zdecydowała, że chciałyby lepiej poznać sąsiadkę. — Wejdźmy wreszcie dalej, bo obie się przeziębimy.

W środku wskazała gościowi miejsce przy stole i wstawiła wodę.

— Lubi pani owocową czy woli czarną? — zapytała. — Mam bardzo dobrą mieszankę owoców. Żadnej chemii, sama natura, ze sprawdzonego źródła.

— Od Grety?

Lisowska odwróciła się zaskoczona.

— Cóż, mieszkam tutaj wiele lat... — wyjaśniła uśmiechnięta sąsiadka.

Diana nie wiedziała, jak zareagować. Może za dużo powiedziałam? — zastanawiała się. — Ale lepiej od razu mieć jasność. Jeżeli nie akceptuje Grety, to raczej się nie polubimy.

Na szczęście nowa znajoma szybko rozwiązała jej wątpliwości.

— Skoro pani tak zachwała, to poproszę owocową — powiedziała, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko zielarce.

Diana odetchnęła z ulgą. Zaparzyła herbatę, pokroiła ciasto i przełożyła na półmisek. Wypiek okazał się keksem.

— Bardzo lubię — wyznała Diana.

— Cieszę się, że trafiłam. W ramach autoreklamy mogę dodać, że owoce i skórka pomarańczowa też są naturalne, mojej roboty.

— No to mamy bardzo zdrowy podwieczorek — podsumowała projektantka. — Ale naprawdę jestem trochę zawstydzona, bo nie zasłużyłam na takie dowody wdzięczności.

— Z przyjemnością go upiekłam, więc proszę nie mieć żadnych oporów. Poza tym dla mnie to też był pretekst, żeby nie spędzać kolejnego wieczoru

samotnie. Gdy nie ma z kim porozmawiać, to nawet najlepszy keks nie smakuje.

Tym razem za lekkim uśmiechem starszej kobiety Diana dostrzegła cień smutku.

— No tak, w towarzystwie zawsze różniej. Lepsze to niż siedzenie samotnie po dwóch stronach płotu — zażartowała.

— Rzeczywiście. Poza tym chyba najwyższa pora się poznać. Jest tu pani już od kilku miesięcy, prawda?

— Tak, od czerwca.

— Widziałam panią kilka razy przez okno. I nawet się zastanawiałam, co taką młodą kobietę tu sprowadza. Większość młodych ucieka do wielkich miast... — Zamilkła na moment, głowiąc się nad czymś. W końcu machnęła ręką, jakby odganiała nieprzyjemną myśl i uśmiechnęła się. — Skoro los nas w końcu zetknął, to wypadaloby się poznać, prawda? Nazywam się Maria Łapińska. Mieszkam w Świętej Katarzynie od prawie pół wieku.

— Diana Lisowska, jestem tu pół roku, ale czuję, że chciałabym zostać na zawsze — odpowiedziała gospodyni.

— No to formalności mamy za sobą. Teraz czas na pogawędkę przy herbacie — rzuciła z uśmiechem Maria. — Nie ukrywam, że chętnie dowiedziałabym się czegoś o tym, co pani robi. Proszę mnie tylko nie posądzać o wścibstwo. Po prostu widziałam grupy dzieci, a że jestem emerytowaną nauczycielką, to zaintrygowało mnie to. Pani też uczy?

W głosie sąsiadki Diana wyczuła życzliwość i szczerze zainteresowanie.

— Nie jestem nauczycielką — odparła. — Ale w pewnym sensie uczę. Zaraz pani wszystko opowiem, tylko najpierw muszę chociaż spróbować tego keksu, bo pachnie tak zachęcająco...



Rozmowa z Marią trochę się przeciągnęła. Kiedy sąsiadka zorientowała się, że rozmawiają ponad dwie godziny, nie dała się dłużej zatrzymać.

— Już dawno przekroczyłam czas pierwszej wizyty — stwierdziła. — I nadużyłam pani gościnności.

— Ależ skąd! Bardzo miło mi się z panią rozmawia — zapewniła Diana. — Dała mi pani tyle cennych rad. Z pewnością wykorzystam je podczas kolejnych warsztatów. I nie ukrywam, że chętnie zapytałabym panią o jeszcze kilka spraw.

— To może innym razem. — Maria się uśmiechnęła. — O tej porze powinnam już wziąć leki. Cóż, wiek ma swoje prawa... i związane z tym obowiązki.

— Skoro tak, to nie zatrzymuję — odpowiedziała pogodnie Diana. — Z takim argumentem nie można dyskutować. Ale naprawdę się cieszę, że mogłam panią poznać.

Pożegnały się i Maria poszła do siebie. Młoda kobieta popatrzyła na talerzyki z okruszkami i puste kubki po herbacie i poczuła tęsknotę za wieczorami spędzonymi z Wandą. Zdała sobie też sprawę, że lekarka tego dnia nie dzwoniła. Owszem, Diana wiedziała, że miała zająć się sprzątaniami, ale założyła, że Wanda odezwie się, żeby zdać relację z postępu prac. Teraz zdecydowała, że sama to zrobi.

Nie będę przecież się denerwować tak jak wczoraj.

Nie czekając dłużej, wybrała numer.

— Dobry wieczór, pani Wando.

— Sama nie wiem, czy dobry, czy zły — odpowiedziała lekarka.

— Coś się stało?

— Nic poza tym, że jestem stara.

— Bez przesady!

— Wiem, co mówię. Miałam takie ambitne plany na dziś, a tymczasem zrobiłam niewiele ponad połowę tego, co zamierzałam. I mimo że tak się oszczędzałam, mój kręgosłup nie jest zadowolony — westchnęła.

— Może plan był zbyt ambitny? — zasugerowała Diana.

— Może i był — zgodziła się Wanda. — Ale przecież trzeba to wszystko zrobić, prawda? Nie chcę tu siedzieć przez kolejne tygodnie. Wolałabym mieć to już za sobą.

— Wszystko będzie dobrze, pani Wando — pocieszyła ją Diana.

— Dziękuję, że we mnie wierzysz, ale jakoś nie jestem tego tak pewna jak ty. — W głosie lekarki słychać było rezygnację. — Siedzę, patrzę na ten cały bałagan i zaczynam wątpić...

— Niech się pani położy, odpocznie — doradziła młoda kobieta. — Jutro będzie nowy dzień i inaczej pani spojrzysz na wszystko.

— No nie wiem... Ale chyba rzeczywiście pójdę spać — zdecydowała lekarka. — Bo i tak dziś już nic nie zrobię.

— W takim razie dobrej nocy!

— A co tam u ciebie? Wszystko w porządku? Nie chodzisz głodna?

Kochana pani Wanda — pomyślała Diana. — Jest zmęczona, zniechęcona, a i tak bardziej przejmuję się mną niż sobą.

Popatrzyła na keks leżący na stole.

— Proszę się nie martwić, jestem najedzona i wszystko jest w porządku — zapewniła.

— To dobrze. W takim razie dobranoc, Dianko!

Młoda kobieta rozłączyła się, ale nie odłożyła telefonu. Musiała jeszcze zadzwonić.



Następnego dnia Wanda zaskoczona patrzyła na wchodzących do jej mieszkania nieoczekiwanych gości.

— Wita ekipa porządkowo-przeprowadzkowa! — krzyknęła Martyna od progu. — Jesteśmy silni, zwarci i gotowi! Proszę wydawać rozkazy!

Dziennikarka niosła w ręku rulon plastikowych worków, a pod pachą rolkę czarnej folii do pakowania. Za nią weszli Diana i Tobiasz, starający się stłumić ziewanie.

— A skąd wy tutaj?

— Z potrzeby serca — odparła wesoło Lisowska. — Zrozumiałam, że potrzebuje pani rąk do pomocy, ale oczywiście nigdy się pani do tego nie przyzna. No to sama zdecydowałam, wezwałam posiłki i oto jesteśmy.

— Trzeba to wszystko szybko ogarnąć — dodała Martyna. — Za trzy godziny będzie przed klatką bus, który wywiezie niepotrzebne graty na wysypisko.

— Skąd bus? — Wanda wciąż nie do końca rozumiała, co się wokół niej dzieje. — Przecież ja nie zamawiałam...

— Woliński podeśle ze swojej firmy — wyjaśniła Martyna. — Wraz z dwoma sympatycznymi panami, którzy razem z Tobiaszem zniosą wszystko, co trzeba. W końcu to męska robota, czyż nie? — zwróciła się do Tobiasza.

— Tak, tak, oczywiście. — Pokiwał głową. — Tylko musimy się z tym uwinąć, nie mogę spóźnić się do pracy.

— Oczywiście, jak najbardziej — uspokoiła go Diana. — Wszystko jest zaplanowane. Teraz pakujemy, owijamy folią i przestawiamy — przypominała ustalenia, które poczynili poprzedniego wieczora. — Potem wy wynosicie i możecie jechać, a my z Martyną zajmiemy się sprzątaniami. Na koniec ładujemy walizki do auta Martyny i zabieramy panią — spojrzała na Wandę — do domu.

Lekarka słuchała tego wszystkiego i nadal nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Młodzi nie dali jej jednak czasu na wątpliwości ani protesty.

Została usadzona na fotelu, obok niej stanął stolik z filiżanką kawy i kilkoma kawałkami keksu, który przywiozła Diana. Tobiasz jasno określił rolę starszej kobiety w całym przedsięwzięciu:

— Pani teraz tu króluje i wydaje rozkazy.

Tak też się stało. Wanda pokazywała palcem, mówiła co zapakować, a co wynieść, decydowała o losie kolejnych przedmiotów, a resztą zajmowali się jej pomocnicy. Ku jej radości wszystko poszło bardzo sprawnie. Zgodnie z zapowiedzią pojawili się pracownicy Krzysztofa Wolińskiego i wraz z Tobiaszem wynieśli wszystko, co trzeba: część do piwnicy, część do kontenerów i do śmietnika.

— To my już zmykamy. — Po pewnym czasie jeden z mężczyzn zajrzał do pokoju. — Wszystko zrobione tak, jak pani chciała.

— Panowie, poczekajcie — poprosiła Wanda, sięgnęła do torebki i wyjęła z portfela dwa banknoty.

— Nie trzeba. — Pracownik Krzysztofa pokręcił głową. — My to w ramach pracy, pan Woliński nam płaci.

— Ja tam panu Wolińskiemu mówić o tym nie zamierzam. — Lekarka porozumiewawczo mrugnęła. — A panowie się namęczyli, napocili. Kupicie sobie coś do picia i może jakąś pizzę czy co tam młodzi lubią.

Nie protestowali dłużej i wyszli zadowoleni. Tobiasz pożegnał się i zniknął wraz z nimi.

— On poza tą pizzerią to już świata nie widzi — westchnęła Martyna.

— To przecież jego praca — przypomniała Diana. — Gdybyście mieli robić program, to też nie chciałabyś, żeby się spóźnił, prawda? No chodź, mamy jeszcze trochę do roboty.

Ze sprzątnieniem uporały się w niespełna dwie godziny.

— Melduję wykonanie zadania. — Martyna stanęła przed Wandą wyprostowana niczym żołnierz podczas musztry. — Prosimy o odbiór prac.

— Nawet nie będę sprawdzać. Jestem przekonana, że sama lepiej bym tego nie zrobiła. Nie mówiąc o tym, że zajęłoby mi to pewnie ze dwa tygodnie. Aż mi wstyd, że tak siedziałam, kiedy wy pracowaliście.

— Pani to się już chyba w życiu napracowała — zauważyła Diana, która właśnie weszła do pokoju. — A nam się przyda trochę ruchu, żeby w tłuszcz nie obrastać.

— Tak, wy i tłuszcz! — obruszyła się lekarka. — Nawet mi nie mówcie o tej modzie na przesadną szczupłość! Przecież to prosta droga do anemii i innych chorób! — Wstała z fotela i rozejrzała się dookoła, po czym oceniła: — To chyba już wszystko.

— Chyba tak — zgodziła się Diana, która zdjęła żółte rękawice i otarła spocone czoło. — Tak czy inaczej, to było lepsze niż trening w fitness klubie. Ale szczęśliwie skończyliśmy i możemy jechać.

— Zaraz, zaraz — powstrzymała ją Martyna. — A co z kluczami? Chyba trzeba je przekazać nowej lokatorce? Mogliśmy wcześniej pomyśleć, Tobiasz skoczyłby do galerii, tam jest punkt, w którym je dorabiają...

— Już przekazałam — uspokoiła ją Wanda. — Była tu wczoraj wieczorem. Miałam drugi komplet po... — Urwała nagle.

— Czyli nie ma problemu. — Diana zrozumiała, kogo lekarka miała na myśli, i przyszła jej z pomocą. — W takim razie bierzemy te dwie torby z przedpokoju i schodzimy.

— A walizki? — zaniepokoiła się Wanda.

— Wszystko pod kontrolą — roześmiała się Martyna. — Są już w samochodzie, Tobiasz zaniósł. Nie wiem, co tam pani spakowała, ale sporo waży.

— Cały swój dobytek spakowałam — odparła poważnie Wanda. — Wszystko, co dla mnie ważne. Resztę zostawiam.

Młode kobiety popatrzyły na siebie.

— To my bierzemy bagaże i czekamy na dole — zdecydowała Diana.

Zrozumiały, że lekarka chce na chwilę zostać sama.

Gdy wyszły, starsza kobieta rozejrzała się raz jeszcze po mieszkaniu. Przeżyła w nim tyle lat, ale teraz wydawało się jej zupełnie inne. Obce. I ku swojemu zdziwieniu nie czuła żadnego smutku z powodu, że je opuszcza. Przeciwnie, w sercu miała jakąś lekkość, ulgę...

Pomyślała o tych młodych ludziach, którzy bezinteresownie przyjechali, żeby jej pomóc. Zrobili to dla niej, niczego za to nie chcieli.

To moi bliscy. — Uśmiechnęła się do tej myśli. — Dobrze, że udało mi się ich spotkać.

Wyszła z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Bez żalu. Zaczęła schodzić po schodach, nie oglądając się za siebie.



Diana i Martyna wspólnymi siłami wtaszczyły walizki do domu.
— Uff, to już koniec. — Dziennikarka opadła na krzesło.

— Tak, to był bardzo intensywny dzień — zgodziła się Diana, siadając obok niej.

Wanda już zdążyła zakrzętać się w kuchni.

— Za wiele wam nie zaoferuję, bo ktoś tu oczywiście zapomniał o zakupach. — Spojrzała karcąco na Dianę. — Ale przygotuję jajecznicę na boczku i kanapki z żółtym serem. A do tego herbatę z sokiem malinowym.

— Mamy sok malinowy? — zainteresowała się Lisowska.

— Greta dała mi butelkę.

— Ja tam raczej poproszę dużo boczusiu — stwierdziła Martyna.

— Już, już, wszystko będzie. — Wanda posłała im uśmiech. — Przynajmniej tak mogę się wam odwdzięczyć.

— Jeżeli będzie mnie pani karmić, to mogę codziennie tak pracować — zadeklarowała Wrońska.

Wanda postawiła na stole drewnianą deskę i talerz z kanapkami. Po chwili na desce wylądowała wielka patelnia pełna jajecznicy z dużymi kawałkami przysmażonego boczku.

— Ale wyzerka! — zachwyciła się dziennikarka.

I obie z Dianą z zapalem zabrały się do jedzenia.

— Pycha! — pochwaliła Lisowska z pełnymi ustami.

— Tak, jak się nie je cały dzień, to wszystko smakuje — mruknęła z uśmiechem Wanda. — Mam wyrzuty sumienia, że nawet o tym nie pomyślałam. Mogłam wam zamówić chociaż jakąś pizzę...

— Niech mi pani nie wspomina o pizzy — zaprotestowała Martyna. — Już patrzeć na nią nie mogę.

— Miała pani inne rzeczy na głowie — dodała Diana. — Ważniejsze.

— Skoro już wspomniiałś o rzeczach ważnych, to mam do was pewną prośbę — odezwała się cicho Wanda, gdy przyniosła kubki z herbatą i zajęła miejsce przy stole.

Młode kobiety spojrzały na nią wyczekująco.

— Skoro już mam tu zamieszkać i skoro tyle dla mnie zrobiliście... — zaczęła lekko drżącym głosem. — Jeśli tak to się wszystko ułożyło... a ja jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa...

Mówiła powoli, a Diana i Martyna przerwały jedzenie. Obie poczuły, że lekarka chce powiedzieć coś ważnego.

— Nie wiem, jak to wyjaśnić, żebyście mnie dobrze zrozumiwały... Oczywiście nie zamierzam wam niczego narzucać, ale... byłoby mi niezwykle miło, gdybyście przestały się zwracać do mnie tak oficjalnie. Może mogłybyście nazywać mnie ciocią? — Zerknęła pytająco na dziewczyny. — Wiem, że nie jesteśmy spokrewnione, ale...

— Jak dla mnie to nie ma problemu! — zareagowała natychmiast Martyna.

— Pewnie! Bardzo się cieszę... ciociu — zawtórowała jej Diana.

I obie jak na komendę zerwały się z miejsc, podeszły do lekarki i przytuliły ją serdecznie.

Wanda miała łzy w oczach.

— O, baby się całują. To znak, że będzie deszcz!

Greta stanęła w progu kuchni i zdjęła z ramion grubą wełnianą chustę, którą narzuciła na ciemnobrązowy kozuch.

— Deszcz? W grudniu? — roześmiała się Martyna. — Raczej śnieg! Coś te ludowe przysłowia chyba nie zawsze się sprawdzają.

— A jednak — odparła Greta. — Co powiesz na to, które mówi, że jak nie zamkasz drzwi, to każdy może wejść?

— Nie ma takiego przysłowia — zaproponowała Diana.

— To, że o czymś nie wiesz, nie oznacza, że nie istnieje. — Zielarka uśmiechnęła się lekko.

— Nie przejmuj się, młodość bywa przekonana o swojej wszechwiedzy i nieomyślności — odezwała się Wanda, podeszła do zielarki i uścisnęła ją serdecznie. — Miło cię widzieć. Siadaj z nami, naleję ci herbaty — zaprosiła.

— Właściwie nie przyszedłam na pogaduszki — odparła Greta. — Pomyślałam, że skoro już wróciłaś, to przyjdę od razu, żeby nie tracić czasu.

Skąd ona wiedziała, że Wanda już jest? — zastanawiała się Diana. — Przecież wróciliśmy niespełna godzinę temu.

Nie ośmieliłaby się jednak wypytywać, a zielarka nie zamierzała się tłumaczyć. Ona po prostu zawsze wiedziała o tym, o czym wiedzieć chciała i pojawiała się tam, gdzie uznała za stosowne.

— Czy coś się stało? — zaniepokoiła się Wanda. — Może jednak usiądziesz i spokojnie wyjaśnisz, co cię sprowadza?

Greta rozpięła kozuch i przysiadła na brzegu krzesła. Widać było, że nie planuje się gościć.

— Chciałabym, żebyśmy odwiedziły Stacha. — Nie bawiła się w zbędne wstępy.

— Oczywiście, miałam taki zamiar. — Lekarka pokiwała głową. — Jutro upiekę bułeczki drożdżowe i pójdziemy do niego z wizytą.

— Wolałabym, żebyśmy poszły dziś.

— Teraz? Wieczorem?

— Im szybciej, tym lepiej. Nie wiem, co ten stary głupiec wymyśli, i wolałabym, żeby nie zdążył narobić sobie kłopotów.

Dianę zaniepokoiły słowa zielarki.

— Czy pan Stach źle się czuje?

Greta spojrzała na nią poważnie.

— Taki mężczyzna jak Stach nigdy nie będzie czuł się dobrze, jeżeli jest zależny od innych — odparła.

— Przecież to tylko chwilowe. Z czasem dojdzie do sprawności. — Projektantka powiedziała to, o czym wszyscy doskonale przecież wiedzieli.

— Właśnie o ten czas chodzi — odpowiedziała krótko zielarka. — Stach zapomina, że nie da się go wyprzedzić.

Wanda wstała bez słowa i ruszyła w stronę wyjścia. Greta podniosła się i podążyła za nią.

— To może ja was podwożę? — zaproponowała Martyna. — Mam napęd na cztery koła, dam radę nawet tam, gdzie nieodśnieżone.

— Znam drogę na skróty, przez las — odparła zielarka.

— Tak, przejdziemy się — zdecydowała Wanda, wkładając ortalionowy płaszcz.

Diana zauważyła, jak w jednej chwili z ciepłej kobiety smażącej boczek Wanda przeobraziła się w skoncentrowaną lekarkę, która doskonale panuje nad emocjami. Zrozumiała, że chodzi o coś ważnego i nie ma w tym miejsca dla niej i dla Martyny. Wstała od stołu i podeszła do Wandy.

— Zapomniałaś telefonu, ciciu — powiedziała spokojnie, podając lekarce komórkę. — Będę na ciebie czekała, ale jakby co, to dzwoń.

Wanda skinęła głową.

— Chodźmy — zwróciła się do zielarki.

I obie kobiety wyszły w zimową ciemność.



O budziło ją delikatne muśnięcie w policzek. Było to bardzo miłe, ale i bardzo nieoczekiwane. W pierwszej chwili nie wiedziała, czy to jeszcze sen, czy już jawa. Drugie dotknięcie było mniej delikatne: stanowcze i okraszone cichym miauknięciem. I wszystko stało się jasne.

— Kociu... — mruknęła nieco zirytowana Diana i odwróciła się na drugi bok.

Jej niezadowolenie wcale nie obeszło kocura. Po prostu przeszedł po niej i pacnął łapką w jej drugi policzek.

— Kociu! Daj mi pospać!

Jak wiadomo, koty są istotami niezależnymi i konsekwentnymi, a jeśli coś postanowią, to nic nie powstrzyma ich przed osiągnięciem celu. Kocio nie był w tym względzie wyjątkiem i udowodnił to dobitnie kolejnym uderzeniem.

— Są chwile, kiedy cię nie lubię — oznajmiła Diana.

Co oczywiście nie było prawdą i Kocio doskonale o tym wiedział.

Kobieta usiadła na posłaniu i szeroko ziewnęła.

— Skoro już mnie obudziłeś, to mógłbyś chociaż przynieść mi kawę do łóżka. — Spojrzała na kocura z niesmakiem. — Jesteś typowym facetem, nie ma co!

Kocio miauknął krótko i przenikliwie.

— Tak, tak, pewnie jesteś głodny i ja, twoja służąca, mam natychmiast napęlić miseczkę. — Pokręciła z dezaprobatą głową. — Dobra, już wstaję.

Nie mam wyjścia, przecież nie dasz mi spokoju.

Niechętnie się podniosła, narzuciła szlafrok na piżamę, wsunęła stopy w ciepłe kapcie i szurając, powłokła się do kuchni. Zobaczyła, że lekarka zakłada płaszcz.

— Gdzie się wybierasz tak rano, ciociu?

Poprzedniego wieczora rozmawiały do późna, więc sądziła, że Wanda także wstanie później. Zwłaszcza że miała za sobą kilka trudnych i pełnych emocji dni.

— Jak to gdzie? Do sklepu. Jeżeli mamy coś zjeść na obiad, to trzeba zrobić zakupy. W lodówce nie ma już właściwie niczego.

Nie wyraziła głośno żadnych pretensji, jednak Diana poczuła, że nie spisała się najlepiej.

— Zostaw ten płaszcz, ciociu — powiedziała skruszona. — Zaraz się ubiorę i pojadę do marketu. Powiesz, czego potrzebujesz, i wszystko przywiozę. Tylko wcześniej napiję się kawy, dobrze?

Lekarka przystała na tę propozycję.

— Najpierw musisz chyba odkopać samochód. — Wskazała palcem na okno. — Popatrz, co się dzieje na zewnątrz. Całą noc padał śnieg, wszystko zasypane.

Rzeczywiście, biały puch pokrył wszystko kilkunastocentymetrową warstwą. Młoda kobieta podeszła do okna i aż westchnęła z zachwyty.

— Ale pięknie! Jak w bajce!

Po kilkunastu minutach zmieniła nieco zdanie. Owszem, krajobraz wyglądał niczym z baśniowej pocztówki: ośnieżone jodły, białe, niczym nieskażone połacie ciągnęły się aż do granicy lasu, a na tych puchowych dywanach iskrzyły drobinki mrozu. Jednak konieczność odśnieżenia nie tylko dróżki do stodoły, ale i wyjazdu dla samochodu mocno ostudziła zachwyty.

Niczym w tej opowieści o domku w Karkonoszach. — Diana przypomniała sobie popularny filmik krążący w sieci, który opisuje

perypetie mieszcucha mierzącego się z kontrastem między wyobrażeniami o życiu na wsi a rzeczywistością. — Bezwzględnie muszę kupić łopatę do śniegu. Przynajmniej droga jest odśnieżona i nie muszę walczyć z kierowcą pługą.

— Udało się! — oznajmiła po pewnym czasie z triumfem, otrzepując buty ze śniegu.

— Nie mogłaś tego zrobić przed drzwiami? — zwróciła jej uwagę Wanda. — Teraz będziemy miały kałużę na werandzie.

— Przepraszam, nie pomyślałam — zawstydziała się. — Zaraz to posprzątam.

— Dobrze już, zajmę się tym. Chodź, napij się herbaty, bo zmarzłaś na pewno.

— Raczej się spociłam — roześmiała się Diana. — Namachałam się łopata jak nigdy wcześniej. Dobrze, że mam trochę wprawy w ogrodach, bo inaczej pewnie miałabym odciski na dłoniach.

— Ale nos masz czerwony — zauważyła Wanda. — Herbata z sokiem malinowym nie zaszkodzi. Nie możesz się przecież przeziębic.

Dianie zrobiło się miło, bo znowu poczuła, że ktoś się o nią troszczy, więc bez dalszych protestów wypila ciepły napój. Kocio wskoczył jej na kolana i podstawił łepkę pod rękę, domagając się głaskania.

— Dobra, przepraszam — wyszeptała do kocura. — Już wiem, dlaczego mnie obudziłeś. Masz rację, to byłoby słabe, gdyby ciocia szła przez te zasy do sklepu. Jakiś podział obowiązków musi być.

Pogładziła rude futerko i podrapała Kocia za uchem. Prychnął i potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się ta ostatnia pieszczota.

— Okej, okej, już tak nie będę — obiecała. — I w ogóle na razie koniec czułości. Muszę w końcu zrobić zakupy, bo zostaniemy bez obiadu.

— Nie chciałam tego mówić, ale masz rację. — Wanda się uśmiechnęła, po czym położyła przed Dianą karteczkę zapisaną drobnym pismem. —

Lista zakupów — poinformowała.

— Ziemniaki, kurczak, pomidory w puszcze — zaczęła czytać Lisowska.
— A tutaj co jest napisane?

Wanda zerknęła jej przez ramię.

— Makaron nitki.

— Ojej! Nigdy bym się nie domyśliła! Trzeba przyznać, że od razu po charakterze pisma widać, kim jesteś z zawodu — roześmiała się.

— Staralam się pisać wyraźnie — zapewniła lekarka. — I byłam pewna, że mi się udało.

— Nie jest tak źle. Część odczytałam.

— Dobrze, to może sprawdzimy resztę, zanim okaże się, że zamiast pietruszki przywiozłaś ananasa.

Szybko ustaliły wszystkie pozycje i Lisowska mogła ruszać w drogę.

— Gdyby czegoś nie było, to zadzwonię — powiedziała.

Wanda podała jej dwie duże torby.

— W to zapakuj — powiedziała. — Przywozisz tyle tych małych foliowych torebek, że już nie wiem, co z nimi robić.

— O, widzę, że ciocia jest ekologiczna.

— Jestem rozsądna — poprawiła ją Wanda. — A jeśli można produkować mniej śmieci, to dlaczego nie?

— Jasne, jasne, jestem jak najbardziej za — zapewniła Diana. — Ale jak ciocia zacznie gotować tylko wege, to Martyna będzie zmartwiona.

— Może być spokojna. Na temat jedzenia mięsa mam własny, lekarski pogląd. Ale nie wiem, czy to dobry moment na takie dyskusje. — Starsza kobieta zerknęła na zegarek. — No chyba że pójdziemy na całość i zdecydujemy się na oczyszczającą głodówkę.

— Nie można cioci odmówić daru przekonywania. — Diana mrugnęła porozumiewawczo. — Zrozumiałam i już lecę!



Odsnieżenie samochodu poszło dość gładko, za to zdarcie warstwy lodu z szyb wymagało już nieco więcej zachodu.

Nie wiem, czy przyzwyczaję się do tego mniej malowniczego oblicza zimy — westchnęła Diana. — Trudno o romantyzm, gdy masz przemoczone rękawiczki, a to dziadostwo nadal się trzyma.

Dobrze, że chociaż udało się jej dostać do auta i wyciągnąć skrobaczkę, którą poprzedni właściciel zostawił w bocznej kieszeni na drzwiach.

Gubi mnie brak doświadczenia — stwierdziła. — Muszę się wyedukować w tym zakresie. Może zapytam Martynę, jak sobie radzi z autem zimą?

Jej pojazd wreszcie nadawał się do jazdy i z ulgą popatrzyła na swoje dzieło. Może nie było idealnie, ale uznała, że reszta spłynie, gdy samochód się nagrzej. Zdjęła mokre rękawiczki i rzuciła je na siedzenie pasażera.

— Dzień dobry! — usłyszała i odwróciła głowę.

Zobaczyła sąsiadkę stojącą u szczytu schodków swojego domu.

— Dobry, ale mroźny! — odkrzyknęła.

Maria pokiwała głową. Diana dostrzegła, że sąsiadka trzyma w ręku torbę, tę samą, z którą ostatnio szła do sklepu.

— Wybiera się pani na zakupy?

— Tak, uznałam, że lepiej załatwić to dzisiaj. Boję się, że jeśli dalej śnieg będzie tak padał, to jutro mogę mieć problem z wyjściem. — Podeszła do ogrodzenia, z trudem brnąc w głębokim śniegu. — Niby to niewielkie góry,

ale mamy tu taki mikroklimat, że czasami zima nas zaskakuje. W Kielcach jest cieplej i mniej opadów, a tu potrafi solidnie dosypać.

Diana popatrzyła na zaśnieżony ogród za płotem. Najwyraźniej odśnieżanie przerosło możliwości starszej kobiety.

— Właśnie jadę do marketu w Ciekotach, mogę zabrać panią ze sobą — zaproponowała.

— Naprawdę? — ucieszyła się Maria. — Ale nie chciałabym robić kłopotu...

— Jakiego kłopotu? Proszę dojechać do ulicy, zaraz podjadę.

Lisowska szybko otworzyła bramę i wyjechała na ulicę. Cofnęła auto pod furtkę sąsiedniego domu. Pani Maria już tam stała i zaraz wsiadła do samochodu.

— Proszę uważać, położyłam tu mokre rękawiczki — przypomniała sobie Diana. — Niech je pani wyjmie, bo przemoknie pani płaszcz.

Powoli ruszyły w kierunku głównej drogi.

— Ślisko — stwierdziła Diana. — Chyba żadnej piaskarki tu nie było...

— Dobrze, że chociaż inni już wyjeżdżili koleiny — odparła Maria. — Cóż, to boczna uliczka, po takich opadach pług i piaskarka docierają tu na końcu. Ale dalej powinno być już dobrze — pocieszyła młodą kobietę.

— Mam nadzieję, bo nie jestem wytrawnym kierowcą, a to moja pierwsza zima za kółkiem. Właściwie powinnam panią wcześniej o tym uprzedzić...

— Nic nie szkodzi, w moim wieku już się człowiek tak bardzo nie boi — zażartowała sąsiadka. — Swoje przeżyłam, więc mogę ryzykować.

Diana zerknęła na nią z sympatią. Podobało jej się takie podejście do życia, ten optymizm, z jakim Maria wszystko przyjmowała.

Zakupy zrobiły szybko, o tej porze w markecie nie było zbyt wielu klientów. Na szczęście Diana znalazła na półkach wszystko, co Wanda zapisała na liście, do tego dojrzała szuflę do śniegu i oczywiście natychmiast ją złapała. Maria też nie potrzebowała długo się namyślać,

sprawnie wybierała potrzebne produkty. Po zakupach Diana odwiozła sąsiadkę pod furtkę i zaniósła jej torbę pod drzwi.

— Dziękuję pani bardzo. Mój kręgosłup również — dodała z uśmiechem starsza pani. — Jesteśmy bardzo wdzięczni.

— W takim razie mogę panią o coś poprosić?

— Oczywiście!

— Proszę do mnie mówić po imieniu.

— Jeżeli pani... jeżeli tak chcesz, to nie widzę problemu. Ale w takim razie i ja o coś jeszcze poproszę.

— Nie ma sprawy, odśnieżę pani chodnik — zadeklarowała Diana. — Tylko pójdę po drugie rękawiczki.

— Nie, nie — zaprotestowała Maria. — Nie o to mi chodziło. Ścieżka już wydeptana, więcej mi nie trzeba.

— W takim razie w czym mogę pomóc?

— Właściwie to nie chodzi o pomoc. Po prostu chciałam cię zaprosić dziś na popołudniową herbatę. Wspominałaś, że chciałabyś mnie o coś zapytać, więc pomyślałam, że to byłaby dobra okazja.

— Świetnie! Chętnie przyjdę.

— Zapraszam oczywiście także twoją mamę — dodała Maria.

— Mamę? — Diana w pierwszej chwili nie zrozumiała.

— Widziałam, jak ją przywiozłaś. Akurat byłam w kuchni — wyjaśniła sąsiadka. — Na pewno nie chciałabyś, żeby została sama, a mnie będzie miło ją poznać.

Ach, ma na myśli ciocię Wandę! — zrozumiała Diana.

— Dobrze, przyjdziemy obie, dziękuję.

Uznała, że później wyjaśni jej łączące je relacje.

— W takim razie czekam o siedemnastej — pożegnała się z uśmiechem Maria.

— Do zobaczenia!

Diana zbiegła po schodach. Przy furtce odwróciła się jeszcze i pomachała sąsiadce zmarzniętą dłonią.

Oj, teraz to chyba będę musiała z godzinę siedzieć przy kuchennych kaflach, żeby się rozgrzać — pomyślała.

Szybko wypakowała zakupy i wniosła je do domu.

Mam nadzieję, że nie dostanę bury za to, że nie było mnie zbyt długo — zastanawiała się, karnie otrzepując buty przed drzwiami. — W końcu pomagałam sąsiadce, więc ciocia Wanda chyba mi wybaczy.



Martyna popatrzyła na swoje dzieło z zadowoleniem. Stół wyglądał bardzo elegancko. Na szklanym blacie rozłożyła czarne podkładki, na nich jasnoszare talerze i klasyczne w formie sztucce, które błyszcząły w świetle lampy zawieszanej pod sufitem. Nieco z boku stał bukiet białych róż w wazonie z przezroczystego szkła, a z jego obu stron świece w prostych metalowych lichtarzach.

Elegancko — podsumowała w myślach.

Dawno tak bardzo nie przyłożyła się do przygotowania posiłku dla siebie i Tobiasza. Owszem, wcześniej, gdy razem zamieszkali, chciała mu pokazać, jak dobrze może być, gdy wreszcie ma się stały dom, i często robiła takie kolacje. Sądziła, że mężczyzna, który tyle lat spędził, podróżując, potrzebuje odmiany i taką właśnie wydawało się jej celebrowanie wspólnych posiłków. Tobiasz chwalił i doceniał jej starania, ale zawsze podkreślał, że nie chce, aby dla niego robiła coś specjalnego, a już na pewno nie wbrew swoim zwyczajom. I tak się jakoś ułożyło, że z czasem te kolacje przy świecach stały się coraz rzadsze, a kiedy zaczęli razem pracować, to ten zwyczaj odszedł całkiem w niepamięć. Jadali szybko, wciąż zagonieni, spóźnieni albo zmęczeni. Zamawiali chińszczyznę, kupowali po drodze pierogi albo zadowalali się kanapkami.

Jednak dziś Martyna postanowiła przypomnieć dawne czasy. Miała w tym bowiem pewien cel. Chciała namówić Tobiasza na coś, na czym

bardzo jej zależało, i miała nadzieję, że dobre risotto z prawdziwkami i butelka włoskiego wina pomogą jej przekonać mężczyznę do planów.

A, właśnie, wino! — przypomniała sobie. — Nie przygotowałam kieliszków!

Szybko uzupełniła braki w zastawie. Teraz już naprawdę wszystko było gotowe. Tylko Tobiasz wciąż nie wracał.

Poszła do kuchni i zajęła się przygotowaniem dania. Sos zaczynał się wygotowywać, najwyższa pora dodać do niego ryż. Gdzie ten Tobiasz? Nie chciała, żeby się zorientował, że coś szykuje, więc zadzwoniła tylko raz z pytaniem, o której będzie.

— Nie wiem dokładnie — powiedział. — Ale dziś poniedziałek, więc najmniejszy ruch. Powinienem skończyć około dwudziestej drugiej. A dlaczego pytasz?

— A nie mogę? — odparła pytaniem na pytanie, bo żadne wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy.

— Możesz, pewnie — roześmiał się Tobiasz. — Chociaż sądziłem, że powiesz, że się stęskniłaś albo coś podobnego.

— W takim razie odpowiem: coś podobnego. Dobra, kończę, muszę wracać do komputera.

Dwudziesta druga minęła kwadrans temu, a mężczyzny nadal nie było.

Cholera! Ryż się rozgotuje i będzie niejadalne — denerwowała się Martyna. — Mogłam zrobić coś, co nadaje się do podgrzania. Że też on musi przepadać akurat za risottem!

Kiedy już zwątpiła w to, czy cokolwiek będzie z jej kuchennych starań, usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Odetchnęła z ulgą i natychmiast zaczęła przekładać risotto na półmisek.

— Umyj ręce i siadaj do stołu! — krzyknęła w stronę przedpokoju.

— Czy ja mam dzisiaj urodziny? — Tobiasz stanął w drzwiach kuchni i pociągnął nosem. — To moje ulubione? Z prawdziwkami?

Martyna pokiwała głową.

— Ale nie mam urodzin? — upewnił się.

— Nie masz.

— To co się dzieje?

— Czy możesz iść do łazienki, a potem po prostu usiąść i zjeść? — zdenerwowała się kobieta. — Bo ten ryż to już prawie...

— O, nie ma nic gorszego niż rozgotowana breja. — Tobiasz teatralnie złapał się za głowę. — Już biegnę myć ręce!

No, mało brakowało, a popsułby mój scenariusz — pomyślała Martyna.

Miała bowiem wszystko przemyślane i zaplanowane. Najpierw dobre jedzenie, bo jak wiadomo, to działa na mężczyzn i pozytywnie ich nastraja. Potem niezobowiązująca rozmowa i powoli, powolutku przejście do sprawy, na której jej zależało.

Zaniosła półmisek na stół i usiadła na krześle. Tobiasz pojawił się zaraz za nią i zajął miejsce przy drugim nakryciu.

— Nakładaj sobie — zachęciła.

— Najpierw ty.

— Bierz, śmiało, ja zapalę świece.

Patrzyła, jak nakłada solidną porcję. Śweczki zapłonęły, więc przygasiła światło. Sięgnęła po wino.

— To już byłaby przesada. — Tobiasz odebrał jej butelkę. — Ja naleję.

— Za spełnianie marzeń! — wzniosła toast Martyna, a mężczyzna popatrzył na nią badawczo.

— Powiesz wreszcie, o co chodzi? — zapytał poważnie.

— Chodzi o to, że dawno nie jedliśmy razem kolacji. — Uśmiechnęła się słodko. — Przypomniałam sobie, jak fajnie nam się wtedy rozmawiało...

— Martyna, nie potrafisz udawać. — Tobiasz nie dał się nabrać. — Mów zaraz, po co ten cały teatrzyk ze świecami i winem.

Kobieta odstawiła kieliszek.

— Naprawdę musiałeś zepsuć tę kolację? Staralam się.

— Widzę i doceniam, chociaż mam podejrzenia, że kierowały tobą nie całkiem idealistyczne motywy. Dlatego wolę, żebyś powiedziała od razu, o co chodzi.

Martyna westchnęła.

— Okej, nie będę dłużej udawać. Mam do ciebie prośbę. Miałam do tego dojść powoli i delikatnie, ale skoro nalegasz... — Założyła nogę na nogę i wyprostowała się na krześle. — Czy mógłbyś wziąć dwa tygodnie wolnego w pizzerii i pojeździć ze mną na zdjęcia?

— Mowy nie ma. — Tobiasz pokręcił głową. — Przyszła zima, ludzie już nie spotykają się w plenerze, więc przychodzą do lokali. Mamy ruch przez cały dzień. Nawet dziś, sama widzisz. Myślałem, że skończę wcześniej, a jednak lokal był pełny.

— Przecież ktoś cię może zastąpić — próbowała go przekonać. — Mam scenariusz na kilka odcinków, przeprowadziłam wstępne rozmowy, teraz pozostało już nagranie. Nakręcimy na zapas i...

— A ty znowu swoje! Mówiłem ci, żebyś znalazła kogoś innego. — Był nieubłagany.

— Nie ma lepszego od ciebie. — Martyna w desperacji powiedziała to, co czuła, choć nie lubiła przyznawać, że kogoś tak bardzo ceni, nawet jeżeli tym kimś był Tobiasz.

— Doceniam próbę podłechtania mojej miłości własnej, ale odmawiam. Prosiłem cię, żebyśmy już nie rozmawiali na ten temat.

— Tobiasz, wiesz, że to dla mnie bardzo ważne. — Przybrała proszący ton. — Ten program to moja szansa...

— A pizzeria to MOJA szansa. — Odsunął się od stołu i wstał. — Nie zostawię jej. Koniec kropka.

Wyszedł z pokoju i Martyna usłyszała trzask drzwi od łazienki. Na stole został półmisek pełen zimnego risotto. Dziennikarka czekała chwilę, ale Tobiasz nie wychodził. Zrozumiała, że nie chce z nią rozmawiać, więc przesiadła się na swój ulubiony fotel, sięgnęła po laptopa i rozłożyła go na

kolanach. Kliknęła ikonę skrzynki odbiorczej, przebiegła wzrokiem listę e-maili, które nadeszły, i jej uwagę przykuł jeden z adresów. Zamrugła powiekami, niepewna, czy dobrze widzi. Z drżącym sercem otworzyła wiadomość i przeczytała jej treść dwa razy, a potem jeszcze trzeci, żeby się upewnić. Następnie zamknęła skrzynkę mailową i odłożyła komputer na podłogę. Jeszcze godzinę temu z pewnością skakałaby pod sufit, ale teraz...

Wstała powoli, zabrała półmisek ze stołu i w kuchni wyrzuciła jego zawartość do kosza na śmieci. Wracając, zastukała do drzwi łazienki.

— Pospiesz się! Muszę wziąć długi prysznic.



Wanda podała Dianie kolejny mokry talerz. Młoda kobieta lubiła to wspólne sprzątanie po obiedzie. Kiedy wycierała do sucha kolejne naczynia, miała wrażenie, że jest małą dziewczynką i pomaga mamie w domowych pracach. Nie doświadczyła tego w dzieciństwie, więc chętnie nadrabiała. Dlatego też nie złościła się, gdy lekarka czasami ją rugała albo wypominała bałaganiarstwo czy lekkomyślność. Traktowała to jako część ich relacji, która z przypadkowej znajomości przerodziła się w coś tak bliskiego, jakby naprawdę były rodziną.

Dobrze mieć kogoś, kto w razie potrzeby przywoła cię do porządku — do takiego wniosku doszła, zastanawiając się nad tym, jak traktuje ją Wanda. — I bura od czasu do czasu też nie zaszkodzi. A ciocia Wanda zawsze jest sprawiedliwa. Jej uwagi nie wynikają ze złośliwości, są przejawem zainteresowania. I wiem, że mogę liczyć na jej wsparcie.

Domowe obowiązki podzieliły sprawiedliwie. Odkąd Diana skończyła sezon warsztatów, mogła więcej czasu poświęcić na inne sprawy. Oczywiście w jej gestii pozostały zakupy, a teraz także w naturalny sposób doszło odśnieżanie. Wanda gotowała, a sprzątanie dzieliły na bieżąco. Zmywanie miało być obowiązkiem młodszej kobiety, ale jakoś tak wychodziło, że po obiedzie wspólnie stawały przy zlewie.

— Wystarczy, że nie ma mnie kilka dni, a tu od razu nowe znajomości...
— zagaiła lekarka, opłukała ronderek i podała Dianie.

— Już ci mówiłam, że samo wyszło. Nie mogłam przecież pozwolić, żeby szamotała się z tą szuflą na śliskich schodach — przypomniała raz jeszcze młoda kobieta. — A potem ona przyszła z podziękowaniem i z keksem...

— Z tym keksem, który przywiozłaś mi do Kielc?

— Dokładnie z tym. — Diana pokiwała głową.

— Od razu czułam, że za dobry na kupny — oceniła Wanda. — Nawet miałam zapytać, skąd go masz, tylko zapomniałam w tym ferworze.

— A nie przyszło ci do głowy, że sama upiekłam? — Diana zrobiła urażoną minę.

— Jakoś nie — odparła szczerze starsza pani. — Muszę przyznać, że dobrze piecze ta nasza sąsiadka — dodała po chwili.

— W ogóle to bardzo miła osoba — zapewniła Lisowska. — Taka dobrze wychowana, wiesz, jak dama z dawnych lat. Tak, tak mi się właśnie kojarzy.

— Chcesz powiedzieć, że to osoba na poziomie — podpowiedziała Wanda.

— O właśnie! Na poziomie. A do tego wciąż się uśmiecha. W ogóle bije od niej jakiś taki optymizm.

— Widzę, że ci się spodobała. To chyba coś nowego w twoich relacjach z miejscowymi? — Wanda uśmiechnęła się porozumiewawczo. — Ale tę szklankę to dobrze dotrzyj, żeby smug nie było — pouczyła.

— Staram się, tylko wciąż się boję, że potrę za mocno i stłukę.

— Trzeba z wyczuciem, ale dokładnie.

Diana westchnęła z rezygnacją, lecz nie przerwała polerowania szkła.

— Rzeczywiście, wydaje mi się, że wreszcie spotkałam tu osobę, której nie przeszkadza, że mieszkam w tym domu. I chyba nie ma nic przeciwko Grecie.

— Rozmawialiście o niej? — zainteresowała się Wanda.

— Właściwie nie. Po prostu jakoś tak wyszło, że wspomniałam. Ona, co prawda, nie kontynuowała, raczej zmieniła temat, ale też nie powiedziała nic negatywnego. I mam nadzieję, że tak zostanie.

— Rozumiem więc, że idziemy z wizytą?

— Chciałabym, żebyście się poznały. Czuję, że się polubicie.

— Tylko nie oczekuj ode mnie zbyt wiele — oznajmiła asekuracyjnie lekarka. — Całe lata nie prowadziłam życia towarzyskiego, więc nie wiem, czy jeszcze pamiętam, jak należy się zachować na popołudniowej herbatce u dystygowanej damy.

— Przecież ty też jesteś dystygowaną damą, ciociu — odparła z przekonaniem Diana. — I mam nadzieję, że przy tobie też się taka stanę.

— Jeśli tylko nauczysz się dobrze wycierać szkło — skomentowała nieco oschle Wanda.

Wytarła ręce w ręczniczek i rozwiesiła go na kuchennym relingu. Słowa Diany sprawiły jej przyjemność, ale wciąż z trudem przychodziło jej przyjmowanie dobrych słów na swój temat. Nie wiedziała, jak się zachować, więc starała się tę niepewność ukryć pod pozorami obojętności.



Wanda przystanęła przed furtką.

— Diana, dziecko kochane, powiedz mi, czy ja na pewno odpowiednio się ubrałam?

— Ciociu, wyglądasz świetnie w tej bluzce. Butelkowa zieleń to stanowczo twój kolor — odparła Lisowska z przekonaniem. — Poza tym to nie five o'clock u królowej angielskiej, tylko sąsiedzka wizyta.

— Może i tak, ale jakoś się stresuję — wyznała lekarka. — Skoro ona jest taka...

— Jest przede wszystkim bardzo sympatyczna i zupełnie normalna. — przypomniała Diana. — Wszystko będzie dobrze. Idziemy, ciociu, bo jeszcze chwila i zamarzniemy tutaj. Mróz z minuty na minutę jest coraz większy.

— Masz rację, raz kozie śmierć! — Z tymi słowy Wanda odważnie pchnęła metalową bramkę.

Gospodyni otworzyła drzwi, gdy wchodziły po schodkach.

— Zapraszam. — Uśmiechnęła się do gości.

Zaraz za progiem Diana dokonała prezentacji starszych pań.

— Bardzo się cieszę, że przyjęła pani moje zaproszenie. — Maria wyciągnęła dłoń, którą Wanda uścisnęła.

— Miło mi panią poznać.

Przeszły do sporego salonu, gdzie w dużym kominku płonął ogień, a po drugiej stronie pomieszczenia królował duży rzeźbiony kredens,

wypełniony porcelanowymi serwisami i kryształowymi kieliszkami. Na środku pokoju stał okrągły stół na rzeźbionych nogach i krzesła z oparciami i siedziskami wyściełanymi ściemniałą skórą.

— Mój świętej pamięci mąż bardzo lubił antyki — wyjaśniła Maria. — Ja może nie do końca podzielałam jego gust, ale gdy odszedł, jakoś nie umiałam niczego tu zmienić. Proszę, siadajcie panie, a ja przyniosę herbatę.

— Rzeczywiście bardzo tu elegancko. — Wanda z uznaniem rozejrzała się po salonie. — Można lubić antyki albo nie, ale trzeba przyznać, że robią wrażenie.

— Nie to, co nasza wsiowa chatka, co? — zaśmiała się Diana. — Na szczęście ja nie mam kompleksów.

Gospodyni wróciła z dużą srebrną tacą, na której stały biały dzbanek i trzy filiżanki. Nalała herbatę do filiżanek i podała gościom.

— Miałam upiec ciasto, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie — powiedziała z przepaszającym uśmiechem.

— Nic nie szkodzi, herbata wystarczy — zapewniła Wanda. — Właściwie to my powinnyśmy coś przynieść, ale...

— Ale nie przyniosłyśmy, bo spóźniłam się z zakupami i nie starczyło czasu. — Diana próbowała pomóc Wandzie, która nadal była wyraźnie spięta.

— I bardzo dobrze — powiedziała Maria. — Jak wspomniałam, zmieniłam zdanie i zrezygnowałam z ciasta, bo... ugotowałam wczoraj cały gar bigosu. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu poczułam, że muszę i już — zachichotała i zakryła usta dłonią. — No i pomyślałam, że właśnie tym bigosem panie poczęstuję.

Wanda wyglądała na nieco zaskoczoną, jakby nie do końca była pewna, czy gospodyni mówi poważnie.

Ale numer! Porcelana, antyki i gar bigosu — pomyślała Diana. — No to dała czadu!

— Ja chętnie spróbuję — oznajmiła.

Wanda zaś popatrzyła na gospodynię i zapytała:

— A daje pani śliwki do bigosu? Bo są różne szkoły...

— Daję, ale tylko wędzone — odparła Maria.

Lekarka z uznaniem pokiwała głową.

— W takim razie chętnie posmakuję.

— Świetnie, zaraz przyniosę.

I kobiety wymieniły uśmiechy. Diana odetchnęła z ulgą. Pierwsze lody przełamane.

Bigos był wyśmienity i zupełnie niespodziewanie rozluźnił atmosferę. Wanda i Maria już po chwili znalazły wspólny język w sprawach kulinarnych, a Diana z przyjemnością patrzyła, jak z zaangażowaniem wymieniały się doświadczeniem.

Wiedziałam, że się polubią — pomyślała, dokładając sobie bigosu.

Miała zamiar poruszyć z gospodynią swoje przemyślenia związane z tym, o czym rozmawiały podczas poprzedniego spotkania, ale nie zdążyła. W pewnej chwili do salonu wkroczyła kobieta w błękitnej kurtce z kapturem, rozwianymi blond włosami i długim szalikiem niedbale zawiązanym pod szyją. Stała, wyraźnie zaskoczona widokiem nieznanymi kobiet.

— Joasia! — Maria na jej widok podniosła się z krzesła. — Skąd ty się tutaj wzięłaś?! — Wyraźnie uradowana podeszła do młodej kobiety i objęła ją ramieniem. — To moja córka, Joanna — przedstawiła ją gościom. — A to nasze sąsiadki, pani Wanda i Diana.

Joanna patrzyła na nie w milczeniu.

— Teraz już wiem, dlaczego ugotowałam ten bigos — mówiła Maria z nieskrywaną radością. — Joasia go uwielbia! Widać, miałam przeczucie, że przyjedziesz, dziecko. Siadaj z nami, zaraz doniosę talerz...

— Nie jestem głodna. Pójdę na górę — odparła Joanna, nie zwracając najmniejszej uwagi na gości, i wyszła z salonu.

— Przepraszam, chyba jest bardzo zmęczona. — Maria starała się jakoś usprawiedliwić zachowanie córki, ale nie udało jej się ukryć, że jest zaniepokojona całą sytuacją.

Nie umknęło to uwadze Wandy, która odstawiała filiżankę i wstała.

— Chyba się zasiedziałyśmy — powiedziała spokojnie, jakby nic się nie stało. — Bardzo dziękujemy za poczęstunek i miłą rozmowę.

Diana również się podniosła.

— Tak, pora na nas.

Maria odprowadziła je do wyjścia.

— To było bardzo miłe spotkanie — powiedziała na pożegnanie, jednak tym razem się nie uśmiechnęła.

Diana zauważyła, że sąsiadka raz po raz spogląda w górę, jak gdyby się zastanawiała, co dzieje się na piętrze. Pożegnały się więc szybko i wyszły.



Grudniowy poranek wydawał się Martynie zimniejszy niż dotychczasowe. I nie dlatego, że w nocy znowu padał śnieg, a mróz nie odpuszczał. To zimno czuła gdzieś w środku, w sercu.

Poprzedniego wieczora długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, rozmyślając o tym, co się wydarzyło. Tobiasz nie odezwał się już do niej ani słowem. Poszedł spać nachmurzony. Widziała, że obrzucał ją pełnymi wyrzutów spojrzeniami, a to jeszcze bardziej ją zdołowało.

Obudziła się pełna sprzecznych uczuć, wymięta, smutna i rozdarta wewnątrz. Nawet mocna kawa nie pomagała.

Stała przy kuchennym oknie i patrzyła na poranny ruch. Ludzie opatuleni szalikami, w czapkach nasuniętych głęboko na oczy brnęli przez niedokładnie odśnieżone chodniki, na których śnieg zamieniał się w szarą breję. Samochody sunęły ostrożnie oblodzonymi ulicami, bo służby drogowe jak zawsze nie potrafiły uporać się ze skutkami zimowej aury. Nieco wyżej zima wyglądała trochę bardziej atrakcyjnie. Poduszki śniegu malowniczo zalegały na gałęziach drzew, a na przysypanych śniegiem dachach odciski ptasich nóg tworzyły nieregularne wzory.

Jakby równolegle istniały dwa światy, oddzielone niewidzialną granicą — pomyślała Martyna. — W tym wyższym, bliżej nieba, zima jest piękna i nieskazitelna, w tym przyziemnym — szara, ponura i pozbawiona uroku. Zupełnie jak w mojej głowie — westchnęła ze smutkiem. — Z jednej strony perspektywa sukcesu, dobra passa i zadowolenie, a z drugiej

rozczarowanie, dylemat i niepewność. Oba te światy istnieją równocześnie i są równie realne. Nie sądziłam, że tak może być...

Dotychczas Martyna zawsze wiedziała, co powinna zrobić. Nie miała problemu z podejmowaniem decyzji. Nawet jeżeli znajdowała się w trudnej sytuacji, nie doświadczała dylematów. Albo było dobrze, albo źle. Przecież nie może być jednocześnie i tak, i tak.

A jednak było.

Wzdrygnęła się, słysząc, że Tobiasz wszedł do kuchni.

— Cześć — powiedział, ale nie było to wesołe powitanie, a raczej rzucone z obowiązku.

— Cześć — odpowiedziała lekko drżącym głosem. — Zaraz zrobię jajecznicę. Pewnie jesteś głodny...

— Nie trzeba, dzięki — odparł spokojnie, choć chłodno. — Zjem kanapkę i pójdę pobiegać.

Miała na końcu języka uwagę o mrozie i śniegu, ale powstrzymała się. Wiedziała, że mężczyzna i tak pójdzie. I tym razem nie chodziło o kondycję. Po prostu nie chciał spędzać z nią poranka.

Po jego wyjściu snuła się po mieszkaniu bez celu. Nie potrafiła zabrać się do pracy. Jej myśli wciąż krążyły wokół rozmowy z Tobiaszem i wiadomości, którą odczytała poprzedniego wieczora. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co ma robić.

Tobiasz wrócił, wziął prysznic, przebrał się, a ona wciąż siedziała w szlafroku.

— Idę do pracy — poinformował mężczyzna.

Skinęła głową bez słowa. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, sięgnęła po laptopa i jeszcze raz przeczytała e-mail.

Na coś takiego czekałam, o tym przecież marzyłam. Dlaczego więc się nie cieszę? — pytała samą siebie.

Odłożyła komputer i ukryła twarz w dłoniach. Podniosła wzrok dopiero na dźwięk telefonu. Nie miała ochoty na żadne rozmowy. Niechętnie

zerknęła na wyświetlacz leżącego na stoliku smartfona. Dzwonił Krzysztof Woliński. Westchnęła i wzięła komórkę do ręki. Jego nie mogła zlekceważyć, tak wiele jej pomógł ostatnio.

— Cześć. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem — usłyszała niski męski głos.

— Ależ skąd! Nie śpiam do południa. — Starła się, żeby powitanie zabrzmiało energicznie i wesoło.

— Właśnie planowaliśmy w firmie kulig dla pracowników. Wiesz, taka świąteczna impreza integracyjna — poinformował z zadowoleniem biznesmen. — I przyszło mi do głowy, że moglibyśmy też coś takiego zrobić. Może nie od razu kulig, ale na przykład ognisko.

— My, to znaczy kto?

— Miałem na myśli ciebie, Tobiasza, Dianę i panią Wandę, jeśli będzie chciała — wyjaśnił Woliński. — Ostatnio dobrze się bawiliśmy, więc warto to powtórzyć. Jak uważasz?

Martyna nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu. Jej milczenie Krzysztof odebrał jako krytykę swojej inicjatywy.

— Uważasz, że to zły pomysł?

— Nie, nie! — zaprotestowała szybko. — Po prostu dzisiaj nie mam nastroju do planowania zabawy.

— Jakież problemy?

— Właściwie sama nie wiem...

— Mogę ci pomóc?

Zastanowiła się przez moment. Owszem, może — stwierdziła. — Potrzebuję kogoś, kto będzie potrafił spojrzeć na to wszystko obiektywnie, bezstronnie i bez emocji. Rozważyć wszystkie za i przeciw.

— Tak, przydałaby mi się twoja rada — powiedziała. — Jesteś doświadczonym biznesmenem, więc potrafisz analizować i podejmować decyzje.

— W takim razie słucham — zachęcił ją do mówienia.

— To nie jest sprawa na telefon. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym do ciebie przyjechać.

— Oczywiście, zapraszam. Najlepiej po czternastej, wtedy będę już po wszystkich spotkaniach, więc nic nam nie przeszkodzi.

— Doskonale, akurat zdążę się pozbierać. W takim razie do zobaczenia.



Kolejny poranek we Wrzosowej Polanie był mroźny, ale piękny. — Dobrze, że w nocy nie padał śnieg, przynajmniej odpadnie mi taniec z szuflą.

Diana siedziała przy stole w szlafroku i ciepłych skarpetach. Kocio usadowił się na jej kolanach i zwinął w kłębek.

— Rzeczywiście, to odśnieżanie jest uciążliwe, ale czy widoki tego nie rekompensują?

Wanda małymi łykami popijała poranną kawę i wpatrywała się w krajobraz za oknem. Wciąż nie mogła przestać się nim zachwycać.

— W mieście nie uświadczysz takiego piękna — westchnęła z podziwem. — Tam śnieg szybko topnieje, sól, którą sypią chodniki, niszczy buty, a samochody opryskują przechodniów śniegowym błotem.

— Ciociu, nawet w mieście są miejsca piękne zimą — zaprotestowała projektantka. — Choćby miejski park albo alejki w dolinie Silnicy. Można tam pospacerować i nacieszyć się widokami.

— Pewnie masz rację — zgodziła się lekarka. — Tyle że ja nie miałam czasu na spacer. A tutaj jest inaczej. Siedzę w ciepłym domu, piję kawę, a za oknem bajka... — rozmarzyła się.

— I tu się zgodzę — przytaknęła Diana. — Nie ma to jak ciepły dom, kubek kawy i mruczący kot. W taki mróz nie chce się nawet nosa za drzwi wystawić. — Poglądziła Kocia, który zaczął miarowo mruczeć. — Dlatego postanowiłam, że dzisiaj robię sobie dzień lenistwa — oświadczyła. —

Spędzę go w szlafroku i może wreszcie skończę czytać książkę, którą zaczęłam tydzień temu.

— Brzmi bardzo zachęcająco. — Wanda uśmiechnęła się znad szklanki.

— Zawsze możesz do mnie dołączyć, ciociu.

— Może tak zrobię, ale dopiero po obiedzie. Muszę jeszcze rozpakować ostatnią torbę, bo wciąż leży obok szafy i mnie denerwuje.

— Ty to jednak zawsze potrafisz sobie znaleźć coś do zrobienia. — Diana z niedowierzaniem pokręciła głową. — Nie możesz tak po prostu poleniuchować?

— Chyba jeszcze nie — przyznała Wanda. — Całe życie miałam mnóstwo zajęć, zapomniałam, co to odpoczynek. Ale może z czasem i tego się nauczę.

— Ja ci pomogę — zaśmiała się Diana i mrugnęła wesoło. — Dzisiaj pokażę, jak to powinno wyglądać. Bo musisz wiedzieć, że w tym akurat jestem dobra.

— Nie wątpię. Chociaż nie wiem, jak możesz wypocząć na tym prowizorycznym posłaniu. Każdego dnia mam wyrzuty sumienia, że zajmuję twoje łóżko...

— A wiesz, ciociu, ja też mam wyrzuty sumienia — przyznała Diana. — Bo ciocia zasłużyła na spokój i komfort, a nie na dzielenie pokoju ze mną.

— Co ty mówisz, dziecko! — obruszyła się starsza pani. — Nigdzie nie miałam większego spokoju niż tutaj.

— Cieszę się, ale mimo wszystko powinnaś mieć, ciociu, własny kąpiel. I tak się nad tym zastanawiałam, aż wymyśliłam rozwiązanie. Może prowizoryczne, ale na początek powinno wystarczyć.

Wanda spojrzała z zaciekawieniem.

— Trochę wycucia przestrzeni i wyobraźni mam — kontynuowała Diana. — Widziałam też sporo projektów mieszkań. Ten nasz pokój jest duży, ma dwadzieścia metrów kwadratowych. I na dodatek okna są na przeciwległych ścianach. A to nam daje wspaniałą możliwość...

podzielenia go na dwa mniejsze. — Spojrzała na starszą panią, czekając na jej reakcję.

— Pomysł jest dobry — przyznała Wanda po krótkim namyśle. — Ale to chyba wiąże się z większym remontem...

— Nie z bardzo dużym. Postawienie ścianki działowej to żaden problem, gorzej będzie z drzwiami. Co prawda te są szerokie — wskazała na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do pokoju — i może udałoby się postawić na środku jakiś słupek i podzielić je na dwa osobne wejścia, ale to już rzeczywiście wymaga fachowca.

— Daj spokój, Diano, nie będziemy przecież demolować domu. — Wanda machnęła ręką. — Może wystarczy kupić dla ciebie wygodniejsze łóżko i...

— To też, ale najpierw zrobimy coś innego — przerwała jej Lisowska. — Widziałam takie ścianki z drewna. Wymierzę wszystko, kupię i poproszę Tobiasza o pomoc w montażu. Jak ci się podoba takie tymczasowe rozwiązanie? Będiesz mogła odpocząć ode mnie wieczorami, ciociu. — Diana była wyraźnie podekscytowana swoją wizją.

Lekarka upiła spory łyk kawy i zmarszczyła czoło.

— Widzę, że jesteś zdecydowana na te zmiany. — Popatrzyła pytająco na Dianę.

— Tak, już to przemyślałam — zapewniła młoda kobieta.

— W takim razie nie wiem, czy powinnam się wtrącać...

— Ależ, ciociu, mów! Chętnie posłucham twojej opinii. Chcesz inaczej podzielić pokój?

— Nie w tym rzecz. Twoja koncepcja jest dobra i bardzo mi miło, że pomyślałaś o moim komforcie. Tylko uważam, że nie ma sensu robienie czegoś na chwilę. Ta drewniana ścianka będzie zupełnie zbędnym wydatkiem.

— Właściwie masz rację, ale remont zimą... — zastanowiła się Diana. — Poza tym trzeba znaleźć wykonawcę, a to może potrwać.

— Wytrzymałyśmy do tej pory, to damy radę i do wiosny. Albo do lata. Ja w tym czasie odłożę trochę pieniędzy z wynajmu i zrobimy wszystko od razu, jak trzeba, porządnie.

— Przecież ja od cioci żadnych pieniędzy nie wezmę — oburzyła się projektantka.

— Oczywiście, że weźmiesz. Podzielimy się wydatkami. Przecież gdybym tu nie zamieszkała, nie musiałabyś dzielić pokoju. Poza tym masz w planach prace remontowe w stodole — przypomniała starsza pani. — A to jest najważniejsze, w końcu to miejsce twojej pracy. I skąd miałabyś na to wszystko wziąć?

Diana musiała przyznać jej rację.

— Chyba znowu chciałam się porwać z motyką na słońce — powiedziała ze skruchą. — Wciąż nie mogę się nauczyć trzeźwej oceny sytuacji i nadal ponoszą mnie emocje.

— To prawo młodości. — Lekarka poklepała ją po ręce. — Poza tym, gdyby nie te cechy, nie odważyłabyś się na wiele rzeczy i pewnie nie byłoby cię tutaj.

— Chyba tak — zgodziła się Diana.

— Sama widzisz. A od sprowadzania cię na ziemię jestem tu teraz ja.

— Czyli będzie ciocia moim głosem rozsądku?

— Coś w tym rodzaju. A co do wydatków, to musisz zrozumieć, że chcę je ponosić. Czułabym się źle ze świadomością, że mój pobyt naraża cię na dodatkowe koszty. Będziemy je dzielić po połowie, bo tak jest sprawiedliwie i uczciwie.

Diana pomyślała, że Wanda ma rację.

— Jesteś bardzo mądra, ciociu. — Uśmiechnęła się. — I ogromnie się cieszę, że tu jesteś.

— Ja też się bardzo cieszę — odparła kobieta. — Ale dosyć już tych pogaduszek. Pora zabrać się za przygotowanie obiadu. Zaplanowałam na dzisiaj gołąbki, a przy tym jest trochę roboty.

— To może ja pomogę?

— Ty masz dzisiaj dzień lenistwa — przypomniała jej Wanda. — Poradzę sobie, nie martw się. No, zmykaj do pokoju i bierz się za lekturę. Potem mi powiesz, czy warto tę książkę przeczytać.



Błogie lenistwo nie trwało jednak zbyt długo. Diana zdążyła przeczytać zaledwie jeden rozdział, gdy Wanda zajrzała do pokoju.

— Skończył się pieprz — oznajmiła. — Nie wiem, jak to możliwe, wczoraj używałam i nie zauważyłam, że zostało tak niewiele...

Diana położyła otwartą książkę na podłodze i odrzuciła koc.

— Już się ubieram.

— Poszłabym sama, ale boję się, że droga jest oblodzona — tłumaczyła się lekarka. — A w moim wieku o złamanie nietrudno.

— Jasne, nie ma problemu.

— Chyba że godzisz się na niedoprawione gołąbki...

— Nie godzę się — zaprotestowała Lisowska, robiąc poważną minę. — Niedoprawionym gołąbkom mówimy stanowcze „nie” — sparafrazowała cytat ze znanej komedii. Włożyła ciepły sweter i grube rajstopy pod džinsy, a narzucając kurtkę, upewniła się: — Kupić coś jeszcze czy tylko pieprz?

— Tylko pieprz. — Wanda podeszła do dziewczyny i podała jej rękawiczki. — Zagrzałam ci je przy kuchni. W takich ciepłutkich może mniej zmarzną ci ręce.

Diana przyjęła je z wdzięcznością. Wiedziała, że w taki sposób starsza pani przeprosza ją za niespodziewane pokrzyżowanie planów.

Pomyśleć, że drobny gest może być taki ważny — stwierdziła, wciągając ciepłutkie rękawiczki. — I ogrzewa nie tylko dłonie, ale i serce.

Drogę do sklepu pokonała szybko. Rzeczywiście było ślisko. Drogowcy znowu zostawili ich uliczkę na koniec, ale Diany wcale to nie zmartwiło. Parła do przodu posuwistym krokiem, potem zaczęła lekko się ślizgać, w końcu coraz śmieiej odpychała się nogą, przejeżdżając po oblodzonym poboczu coraz dłuższe odcinki.

Zupełnie jak w dzieciństwie — ucieszyła się. — Wtedy też ślizgaliśmy się przez całą drogę do szkoły i z powrotem.

Uśmiechała się do siebie i rozkładała szeroko ręce, aby utrzymać równowagę na pokrytej lodem nawierzchni. Ale zabawa!

Na wszelki wypadek kupiła dwie torebki pieprzu, szybko wsunęła je do kieszeni i ruszyła w drogę powrotną. Bardzo spodobał jej się ten na nowo odkryty sposób przemieszczania się.

I nawet nie zdązę bardzo zmarznąć — zauważyła. — Powrót do dzieciństwa bywa czasami bardzo przyjemny.

Balansując ciałem i rozszerzając stopy, sprawnie ominęła grudę śniegu, ale nie zdążyła zahamować i wylądowała wprost na płocie.

Chyba za bardzo się rozpędziłam — pomyślała rozbawiona tą nieoczekiwaną przygodą.

Pochyliła się i otrzepała śnieg ze spodni i kurtki. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że na schodkach sąsiedniej willei stoi kobieta w niebieskiej kurtce, Joanna. Uznała, że wypada zagadnąć, w końcu zostały sobie poprzedniego dnia przedstawione. Podniosła dłoń i pomachała szeroko.

— Dzień dobry! — krzyknęła wesoło. — Piękny dzień dzisiaj mamy, prawda?

Joanna nie odpowiedziała. Jakby w ogóle nie słyszała powitania.

Albo taka zamyślona, albo po prostu niegrzeczna — uznała Diana.

I tą refleksją podzieliła się z Wandą, gdy weszła do domu.

— Stała zupełnie nieruchomo, nawet nie drgnęła — opowiadała lekarce. — Ale zwrócona była w moją stronę. Nie wiem, co o tym myśleć...

Podąła przyniesioną przyprawę.

— Dlaczego to takie mokre? — zdziwiła się kobieta.

Diana wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może wpadło mi do kieszeni trochę śniegu. Nie wyhamowałam i zderzyłam się z płotem.

— Jak to: zderzyłam?

— Normalnie. Ślizgałam się na butach. Może troszkę za szybko. — Zrobiła minę niewiniątka.

Wanda pokręciła głową z dezaprobatą.

— Wyszuszę nad kuchnią. A co do tej Joanny, to nie sądzę, żeby chciała ci zrobić afront.

— Też mi się tak wydaje — przytaknęła Diana. — Pani Maria jest taka kulturalna, więc na pewno nie wychowałaby córki na gburowatą osobę. Poza tym ta kobieta nie ma przecież żadnego powodu, żeby mnie nie lubić. Widziałyśmy się może przez minutę.

— Tak, masz rację.

Wanda zajęła się wyrabianiem mięsa do gołąbków, ale Diana nie miała zamiaru kończyć rozmowy.

— Ale powiedz, ciociu, jak to możliwe, że mnie nie usłyszała? Musiała widzieć, jak macham, nie ma innej opcji.

— Czasami człowiek niby patrzy, a nie widzi.

— Może... Ale wczoraj też nie zachowała się elegancko — przypomniała Diana. — Nawet na chwilę nie usiadła, od razu uciekła na górę. Pani Maria była zawstydzona jej zachowaniem.

— Raczej zaskoczona i zdenerwowana — sprostowała lekarka. — Tylko próbowała to ukryć.

— A właśnie! Czyli potwierdzasz, że to nie było kulturalne.

Wanda wytarła ręce w papierowy ręcznik.

— A nie zauważyłaś, że ta Joanna cała się trzęsła?

— Nie. A tak było? — zdziwiła się Diana.

— Owszem, było. I drżała jej broda, chociaż usiłowała ją schować w szalik. Robiła wszystko, żeby się nie rozplakać.

— Ojej! — Diana przysiadła na blacie szafki. — Naprawdę tego nie widziałam. Ale ja siedziałam tak bardziej bokiem... — Skupiła się, żeby odtworzyć w myślach przebieg wydarzeń. — Może rzeczywiście nie wyglądała najlepiej — przyznała w końcu. — Wciąż patrzyła w podłogę i nawet nie przytuliła matki na powitanie.

— Wydaje mi się, że przyjechała do matki, bo ma jakiś problem. Nasza obecność zupełnie ją zaskoczyła, nie była przygotowana na towarzyskie spotkanie — wyraziła swoją opinię Wanda. — I chyba też nie miała na nie siły.

— W takim razie i dzisiaj mogła nie mieć chęci na pogaduszki o pogodzie — westchnęła Diana. — Ciekawe, jaki przeżywa problem.

— Myślę, że poważny, skoro tak ją zajmuje, że nie dostrzega tego, co się wokół dzieje.

— To może trzeba jej jakoś pomóc?

Wanda podniosła wzrok znad garnka z ryżem.

— Joanna nie jest sama. Ma matkę, to do niej przyjechała. Dajmy im czas.



Maria patrzyła na córkę stojącą przed domem i rozmyślała o rozmowie, którą odbyły poprzedniego wieczora.

Kiedy sąsiadki zakończyły wizytę, od razu wspięła się na piętro. Pokonała schody, skrzypiące przy każdym kroku. Nie była na górze od wakacji.

Joasia przyjeżdżała dwa razy do roku na tydzień: podczas zimowych ferii i latem. Czasami także na Boże Narodzenie, ale nie zawsze, bo w okresie przedświątecznym udzielała się jako wolontariuszka w domu dziecka, a że mieszkała daleko od rodzinnej willi, to często na przyjazd nie wystarczało jej czasu. Maria wiedziała, że to unikanie świąt zaczęło się po śmierci ojca. Córka była z nim bardzo związana i mocno przeżyła jego nagłe odejście. Zamknęła się w sobie, nie chciała rozmawiać o żałobie, jakby nie mieściło jej się w głowie, że matka też przeżywa utratę męża. Maria nie miała o to do niej pretensji.

Każdy po swojemu przeżywa trudne chwile — doszła do wniosku po długich rozmyślaniach. — Widocznie jej żal jest tak wielki, że przesłania wszystko inne.

Nie zmuszała Joasi do niczego ani nie wypominała jej swojej samotności. Cóż, ona już życie przeżyła, nie może ograniczać własnego dziecka. Żałowała tylko, że córka mieszka tak daleko, aż na Mazurach. Wyjechała tam po studiach, do rodzinnego miasta swojego ówczesnego narzeczonego.

Związek się rozpadł, ale Joasia już wrosła w tamto miejsce. Znalazła pracę, miała znajomych, kupiła mieszkanie na kredyt.

Pani Maria przystanąła na chwilę na schodach. Ach, to kolano! Stawy bolały ją właściwie stale, były największym problemem zdrowotnym zaraz po kręgosłupie, który doskwierał wszystkim nauczycielom. Choroba zawodowa — to Maria rozumiała. Ale te kolana? Zwłaszcza prawe dokuczało. Unikała schodów, więc przeniosła się do gabinetu na parterze i tam teraz miała sypialnię. Zresztą i tak trudno jej było spać samotnie w szerokim małżeńskim łóżku na piętrze.

Wróciła myślami do córki. W pierwszej chwili ucieszyła się na jej widok, ale zaraz zrozumiała, że coś musiało się stać. Wystarczył jeden rzut oka na twarz Joasi, żeby zobaczyć, że jest na skraju załamania. Maria знаła swoje dziecko i nie miała wątpliwości.

Dobrze, że ta Wanda okazała się empatyczną i bystrą kobietą — pomyślała Maria. — Nie wiem, jak wytrzymałabym dłużej przy stole i dałabym radę prowadzić niezobowiązującą pogawędkę, wiedząc, że moja córeczka jest na górze sama i nieszczęśliwa.

Uff, schody wreszcie się skończyły. Maria podeszła do drzwi pokoju Joanny. Zapukała delikatnie. Nikt nie odpowiedział.

— Joasiu, mogę wejść?

W pokoju nadal panowała cisza, więc Maria delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. W pomieszczeniu nic się nie zmieniło od czasu, gdy Joanna wyjechała. Na półkach wciąż stały jej studenckie skrypty, a za ramą lusterka toaletki tkwiła pocztówka z Włoch, którą przesłała córce przyjaciółka.

Wtedy Joasia bardzo chciała pojechać do Rzymu — przypomniała sobie Maria. — Potem była tam kilkakrotnie. Chociaż z dawną przyjaciółką straciła kontakt, pocztówki nie wyrzuciła.

Podeszła do lakierowanego na biało metalowego łóżka i spojrzała na córkę. Młoda kobieta nawet nie zdjęła kurtki. Leżała z twarzą zwróconą

w kierunku ściany. Nie płakała, ale w jej oczach matka zobaczyła ból. Starsza pani przysiadła na brzegu materaca.

— Joasiu, co się stało?

Ponieważ Joanna nadal milczała, matka postanowiła dać jej czas.

— Wstań, córciu — poprosiła. — Zdejmij kurtkę, przebierz się w piżamę, a ja przyniosę ci gorącej herbaty z cytryną i trochę twoich ulubionych konfitur śliwkowych. Potem się prześpisz, odpoczniesz...

Wtedy młoda kobieta gwałtownie się podniosła.

— Myślisz, że konfitury pomogą, gdy życie mi się zawaliło?!

Maria przyjęła jej wybuch ze spokojem. Uznała, że to lepsze niż milczenie i wpatrywanie się w ścianę. Przynajmniej jakoś zareagowała.

— Na pewno nie zaszkodzą — odpowiedziała, uśmiechając się lekko. — Kiedy byłaś dzieckiem, zawsze mówiłaś, że odganiają smutki. Zjadałaś cały spodeczek, zwijałaś się w kłębek pod kołdrą, a ja głaskałam cię po głowie, aż zasnęłaś.

— Niestety nie jestem już dzieckiem — westchnęła Joanna. — I uwierz, że bardzo tego żałuję. Wtedy wszystko było proste...

— A teraz?

— Teraz straciłam wszystko.

— Cokolwiek się stało, tu zawsze jest twój dom. I jestem ja — przypomniała Maria. — Chętnie ci pomogę.

— Dziękuję, ale nic nie możesz zrobić. W ogóle już nic nie można zrobić. — Duża łza spłynęła po policzku Joanny.

Maria nie wiedziała, co powiedzieć, więc po prostu pochyliła się i przytuliła córkę. Nie robiła tego od dawna. Owszem, wymieniały pocałunki na powitanie czy pożegnanie, czasem uściski, ale to były zdawkowe czułości. Teraz przytuliła Joannę z całych sił, żeby pokazać, jak bardzo ją kocha i jak się o nią martwi. Młoda kobieta początkowo zeszywniała, ale już po chwili Maria zauważyła, że ciało córki się

rozluźnia i poddaje matczynej czułości. A potem nauczycielka usłyszała, że Joanna płacze.

Nie odsunęła się. Wiedziała, że wbrew temu, co przed chwilą mówiła córka, nie trzyma teraz w ramionach dorosłej osoby, lecz małą dziewczynkę, która potrzebuje wyrazić żal i ból. Cierpliwie czekała, w milczeniu. W takich chwilach nie liczą się słowa, a bliskość drugiego człowieka. Wreszcie Joanna odsunęła się od matki i otarła oczy rękawem kurtki.

— Nie mam po co wracać na Mazury — powiedziała, pociągając nosem.
— Straciłam pracę, a ludzie wytykają mnie palcami na ulicy.

Co ona zrobiła? — pomyślała z nagłym przerażeniem Maria.

— Gdybym jeszcze naprawdę była winna...

A więc nic strasznego. — Matka odetchnęła z ulgą.

— Skoro nie jesteś winna, to zawsze można walczyć o sprawiedliwość — zasugerowała ostrożnie.

— Sprawiedliwość? — zaśmiała się ironicznie Joanna. — Nie ma sprawiedliwości. Ludzie wydają wyrok w jednej chwili i raz na zawsze. Nic ich nie przekona.

I opowiedziała matce całą historię. Gdy skończyła, Maria miała łzy w oczach. Była poruszona i głęboko współczuła córce.

— Musiałam wyjechać. Złożyłam wypowiedzenie, spakowałam walizkę i przyjechałam do ciebie, do domu.

— Bardzo dobrze zrobiłaś. Możesz tu zostać nawet na zawsze. Poradzimy sobie ze wszystkim. — Maria starała się wesprzeć córkę najlepiej jak umiała, choć sama nadal była zdruzgotana tym, co od niej usłyszała.

— Wiem, mamo, dziękuję. — Joanna uśmiechnęła się blado. — I przepraszam cię, że krzyknęłam. Po prostu nie wiem, co robić...

— To może na razie zwiń się w kłębek, a ja pogłaszczę cię po głowie? — zaproponowała Maria.

Córka popatrzyła na nią ze smutkiem.

— Obawiam się, że tym razem to nie pomoże...

— Spróbować nie zaszkodzi. Przebierz się w piżamę, a ja pójdę po konfitury.

Młoda kobieta pokiwała głową, ale w jej oczach matka dostrzegła ból i zwątpienie.

Teraz córka stała przed domem i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a serce Marii szarpały obawy i troska o ukochane dziecko.



— Jestem starą sklerotyczką! — oznajmiła zdenerwowana Wanda.

Usiadła na zydelku przy kuchni i opuściła z rezygnacją ręce. Kocio od razu podbiegł i obwąchał jej dłonie, ale uznał, że tym razem nie ma w nich nic dla niego, więc prychnięciem dał wyraz swojemu rozczarowaniu i odszedł z dumnie podniesionym ogonem.

Diana z zaciekawieniem podniosła wzrok znad książki.

— Skąd ta samokrytyka? — zapytała.

— Wolałabym nie mówić — mruknęła lekarka.

— Za późno. Chyba zapomniałaś — podkreśliła z uśmiechem to słowo — że zdradziłaś się przed chwilą.

— Jak to wy, młodzi, mówicie? — Wanda spojrzała na nią niechętnie. — Bardzo śmieszne?

— Tego też ciocia nie pamięta? — Diana udała zatroskaną minę.

— Dobrze, wygrałaś — roześmiała się lekarka. — Ale zaraz tego pożałujesz — ostrzegła. — Zapomniałam, że skończył się też cukier.

— Nie ma problemu. Przecież nie słodzimy. Jutro pojedę po większe zakupy, to dopiszesz do listy. Tylko proszę drukowanymi literami. — Mrugnęła porozumiewawczo.

— Jak uważasz. W takim razie ciasteczka maślane też będą jutro. Albo kiedy indziej. Nieważne.

— Jak to: nieważne? Maślane ciasteczka są bardzo ważne. A gdy ma się w perspektywie zimowe popołudnie i wieczór, to ich ważność jeszcze

bardziej wzrasta.

— Być może. Jednak bez cukru ich nie będzie. Niestety, akurat przepisu nie zapomniałam. — Teraz to Wanda podkreśliła dwa ostatnie słowa.

Diana doceniła poczucie humoru ciotki i roześmiała się głośno.

— Dobra, pójdę po ten cukier — zdecydowała. — I możesz być pewna, ciociu, że masz mózg jak żyleta. A do tego jesteś bardzo sprytna i potrafisz mnie podejść.

— Przecież do niczego cię nie zmuszam. — Wanda udała, że nie wie, o co chodzi, ale nie potrafiła ukryć uśmiechu. — A tak już całkiem szczerze, to naprawdę zapomniałam o cukrze.

— Spokojnie, nic się nie dzieje. Właściwie to chętnie jeszcze raz się poślizgam. Może tym razem uda mi się wyhamować.

Diana upiła jeszcze łyk herbaty, ubrała się i wyszła. Zerknęła na sąsiednią willę, ale nie dostrzegła nikogo przed drzwiami.

Nic dziwnego, przecież nikt nie wystaje godzinami na ganku w taki mróz — pomyślała. — Nie mogłam jej tam znowu zobaczyć. To zupełnie nieprawdopodobne.

Niebawem przekonała się, że nieprawdopodobne rzeczy jednak się zdarzają. Bo oto, wracając z torebką cukru pod pachą i starając się utrzymać równowagę podczas ślizgania, co było trudniejsze ze względu na nierówne obciążenie, dostrzegła, że mija ją samochód Martyny. Ledwie utrzymała się na nogach, ale nie miała wątpliwości; tak samo jak co do tego, że za kierownicą siedziała przyjaciółka. Co ona tu robi? I dlaczego nie powiedziała, że będzie w okolicy? Diana zdjęła rękawiczkę, wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer dziennikarki.

— Hej! — usłyszała głos Martyny.

— Cześć! Dlaczego do mnie nie przyjechałaś?

— Oj, kochana, myślałam nawet o tobie dzisiaj rano, ale jestem taka zagoniona — odparła szybko Wrońska. — Muszę jeździć po całym województwie, rozglądam się za montażystą, zresztą sama wiesz.

— Tak... — odpowiedziała bez przekonania Lisowska, bo to strzelanie słowami jak z karabinu wydało jej się dziwne i nienaturalne.

— Ale nie myśl, że o tobie zapomniałam. Jeśli tylko będę w okolicy, to na pewno do ciebie zajrzę.

To już się Dianie nie spodobało. Przyjaciółka ją okłamywała.

— Przecież jesteś w okolicy — postanowiła zagrać w otwarte karty.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

— Halo? Jesteś tam? — zirytowała się Diana. — Widziałam cię przed chwilą w samochodzie. Jechałaś przez centrum Świętej Katarzyny.

— Niesamowite! — Martyna odzyskała rezon. — A co ty robisz o tej porze na ulicy? Nie powinnaś jeść pysznego obiadu z ciocią Wandą?

Próbuje zmienić temat? Dlaczego? — zastanawiała się Diana.

— Dzisiaj obiad będzie trochę później. Już myślałam, że i ty się załapiesz. Ale skoro nie zamierzałaś do nas wpaść...

Poczuła się urażona kłamstwami przyjaciółki i Martyna to wyczuła.

— Diana, nie gniewaj się. Dobra, powiem ci, o co chodzi. Jadę do Wolińskiego, planujemy zimowe ognisko. To miała być niespodzianka i dlatego nie powiedziałam ci, że będę w okolicy. A teraz przepadło i z niespodzianki nici. Tylko, proszę, nie mów Tobiaszowi ani cioci, niech przynajmniej oni będą zaskoczeni. Bo Krzysztofowi byłoby przykro.

Diana zmarszczyła brwi. Niby brzmiało wiarygodnie, ale wciąż miała wrażenie, że Martyna próbuje coś ukryć. Zdążyła ją już trochę poznać i z łatwością zauważała, gdy ta zachowywała się inaczej niż zwykle. A teraz właśnie tak było. Zbyt jej zależało na tym, żeby przekonać Dianę.

— Hej, jesteś tam?

— Tak, jestem. Oczywiście, nie powiem nic pozostałym, nie chciałabym popsuć planów Krzysztofa — odparła chłodno Lisowska. — Rozumiem, że opowiesz mi resztę w odpowiednim czasie?

Specjalnie tak dobrała słowa, żeby ostatnie zdanie zabrzmiało dwuznacznie. Chciała dać Martynie do zrozumienia, że nie do końca ją

przekonała.

— Jasne, poznasz wszystkie szczegóły, gdy tylko ja sama to ogarnę — odpowiedziała Wrońska. — I nie gniewaj się, proszę. Naprawdę niedługo do was zajrzę. Obiecuję!

— Okej, nie ma sprawy — ucięła Diana. — Do usłyszenia!
Odechciało jej się ślizgania.



Kiedy Diana toczyła rozmowę z Martyną, Wanda nie próżnowała. I nie, nie zajmowała się przygotowywaniem pozostałych składników na maślane ciasteczka. Zdjęła fartuszek i usiadła wyprostowana na krześle. Miała zamiar wykonać kilka telefonów i wykorzystać swoje zawodowe znajomości.

Oczywiście wiedziała, że rozmówcy nie będą jej widzieli, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby mówić o sprawach medycznych w kuchennym fartuchu w kratkę. W nim była zupełnie inną osobą. I chociaż coraz bardziej lubiła swoje domowe wydanie, to w tym momencie potrzebowała odnaleźć w sobie profesjonalną, chłodną i rzeczową panią doktor.

Mam nadzieję, że to już będzie ostatni raz — westchnęła. — A potem będę mogła na zawsze porzucić tę zbroję, którą nosiłam przez połowę życia.

Co prawda, już jakiś czas temu to sobie obiecała, ale konieczność pomocy Stachowi zmusiła ją do złamania tej obietnicy. A teraz jeszcze raz musiała to zrobić.

Cóż, życie jest nieprzewidywalne — stwierdziła filozoficznie.

Nie miała jednak czasu na dłuższe rozważania, wiedziała, że Diana niedługo wróci. Nie chciała przy niej odgrywać tego przedstawienia, zwłaszcza że w głębi duszy czuła niepewność. Nigdy nie wiadomo, czy jeszcze ją pamiętają, w końcu odeszła na emeryturę już parę ładnych lat

temu. A jeśli nawet pamiętają, to czy zechcą pomóc? Szybko zdusiła pełne zwątpienia myśli. W końcu była cenioną lekarką, postrachem młodych chirurgów, osobą, której się nie odmawia i która wydaje polecenia, nie uznając sprzeciwu. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Tyle lat potrafiłam odgrywać tę rolę, więc i teraz będę umiała — zdecydowała i jeszcze bardziej wyprostowała plecy.

Zajrzała do swojego notesika, odnalazła numer, odchrząknęła i wybrała cyfry na ekranie. Zanim Diana wróciła, było już po sprawie. Dowiedziała się wszystkiego, na czym jej zależało. Przywitała dziewczynę na powrót ubrana w kraciasty fartuch.

— Masz pół godziny na rozgrzanie się — powiedziała z uśmiechem. — Ja w tym czasie zagniotę ciasto i wstawię pierwszą porcję ciastek do piekarnika. Kiedy będą się piekły, zjemy gołąbki.

Diana machinalnie skinęła głową. Zmiana jej nastroju nie umknęła Wandzie.

— Coś cię boli?

Lisowska pokręciła przecząco głową. Usiadła przy stole, nadal pogrążona w swoich myślach.

— Nie wiem, co popsuło ci humor, ale może zadzwonisz po Martynę? — zaproponowała lekarka. — Ona na pewno skusi się na gołąbki z dużą ilością mięsa — zażartowała, ale i tym razem nie rozbawiła młodej kobiety, która mruknęła:

— Martyna ma ważniejsze sprawy na głowie niż przyjeżdżanie do chaty pod lasem.

— Jesteś pewna? Może jednak sprawdzisz? — zachęciła Wanda. — Gołąbków jest bardzo dużo, zrobiłam spory zapas, żebyś miała też na jutro.

Diana podniosła na nią wzrok.

— Nie rozumiem?

— Nie ma tu nic do rozumienia. Po prostu jutro muszę jechać do Kielc i pewnie zejdzie mi do wieczora.

— Jutro? Nie wspominałaś o tym wcześniej, ciociu...

— Naprawdę? Byłam pewna, że mówiłam. — Lekarka odwróciła wzrok.

— Nie mówiłaś — upierała się Diana.

— No to teraz mówię. — Starsza pani wzruszyła ramionami. — To chyba żaden problem, że mam ochotę pojechać do miasta?

— Pewnie, że nie. Zawiozę cię, a potem po ciebie przyjadę. Albo pojedziemy razem, przy okazji wpadnę do sklepu z farbami. Teraz mam dużo czasu, więc mogę trochę poeksperymentować z nowymi wzorami kubków.

— Dziękuję, ale nie chcę cię fatygować. Mam kilka spraw do załatwienia, nie wiem, ile to potrwa, więc nie ma sensu, żebyś czekała.

Diana zerknęła na Wandę spod oka.

— A co to za sprawy?

— Nic wielkiego. — Lekarka odwróciła się w stronę kuchennego blatu i sięgnęła po torebkę z mąką.

— Ja nie wiem, co się dzieje — zdenerwowała się nagle Diana. — Jakiś dzień tajemnic dzisiaj czy co?

Wanda nie zareagowała, co jeszcze bardziej rozzłościło dziewczynę.

— Najpierw sąsiadka, która ewidentnie ma problem, ale lepiej jej nie zagadywać. Potem przyjaciółka, która mijam na ulicy, a potem ściemnia coś o niespodziankach, choć z daleka czuć, że coś ukrywa. A teraz jeszcze ty, ciociu! Zmówiłyście się przeciwko mnie?

Lekarka odstawiła mąkę i podeszła do stołu.

— Ach, więc to jest przyczyna twojego złego humoru. — Pokiwała głową. — Pokłóciłaś się z Martyną?

— Nie było żadnej kłótni. Po prostu czuję, że coś przede mną zataja. I że to coś ważnego. Nie rozumiem tego, przecież jesteśmy blisko... Nie powinna mnie oszukiwać, nie sądzisz? — Spojrzała pytająco na towarzyszkę.

— Każdy ma prawo do sekretów — odparła Wanda. — I nie zawsze wszystko chce mówić od razu. Czasem trzeba cierpliwie poczekać.

— I ty też mi kiedyś powiesz, w jakim celu była ta tajemnicza wyprawa do miasta? Bo co? Teraz nie mogę wiedzieć? Popsuję coś?

Wanda oparła ręce na drewnianym blacie i pochyliła się nad Dianą.

— Nie chodzi o ciebie. Raczej o mnie — wyjaśniła. — Nie jestem pewna, czy uda mi się załatwić to, co planowałam, więc wolałam na razie o tym nie mówić. Ale skoro to dla ciebie takie ważne, to powiem. Pamiętasz, jak poszłam z Gretą do Stacha?

— Pewnie! Mówiłaś, że pan Stach chce jak najszybciej wrócić do sprawności, a wy boicie się, że przesadzi i narobi sobie problemów.

— Tak. Cały czas o tym myślę i postanowiłam, że załatwię Stachowi dobrego rehabilitanta, który będzie do niego przyjeżdżał i profesjonalnie pomoże mu wrócić do formy, a przy okazji dopilnuje, żeby Stach nie zrobił sobie krzywdy.

— Świetny pomysł! — pochwaliła Diana. — Tylko taka rehabilitacja z dojazdem chyba sporo kosztuje? A z tego, co wiem, pan Stach do majątnych nie należy...

— Myślisz, że o tym nie wiem? Właśnie to chcę załatwić. Już poczyniłam pewne kroki, ale jeszcze nie mam pewności, że mi się powiedzie.

— Jestem pewna, ciociu, że się uda! Namówiłaś pana Stacha na operację, a nic trudniejszego już chyba nie ma.

— Cieszę się, że we mnie wierzysz. Chyba bardziej niż ja. Ale skoro już wiesz, jaki mam plan, pozwól, że pojedę sama.

Diana pokiwała głową.

— Jeśli tak wolisz... Będzie, jak zechcesz.

— Na razie chcę, żebyś pozwoliła mi upiec ciasteczka, a potem podać gołąbki. Już prawie szesnasta i czuję, że jestem głodna. I z tego nie zamierzam robić żadnej tajemnicy. — Uśmiechnęła się.



Joanna obudziła się późno. Nie wiedziała, która jest dokładnie godzina, ale jeszcze zanim podniosła powieki, poczuła, że zasnęła.

Spóźnię się do pracy. — To była pierwsza myśl, jaka przebiegła jej przez głowę. — Z którą klasą mam dzisiaj pierwszą lekcję?

Zerwała się z łóżka, jeszcze mało przytomna, i zrobiła kilka kroków w stronę, gdzie powinny być drzwi pokoju. Nagły ból uświadomił jej, że coś jest nie tak. Coś potrąciła, chyba krzesło. Stłumiła jęk i szerzej otworzyła oczy. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale zaraz potem wszystko sobie przypomniała. No tak, była w Świętej Katarzynie, w swoim dawnym pokoju. Drzwi znajdowały się na innej ścianie, ona uderzyła stopą w róg komody.

Usiadła na łóżku i rozplakała się. Gdy naprawdę się obudziła, jednocześnie wróciła świadomość, że nigdzie się nie spóźni, bo nie ma już pracy, że nie jest w swoim mieszkaniu i nigdy do niego nie wróci.

Nie powstrzymywała łez. Dopóki była sama, mogła płakać. I robiła to ciągle od czasu, gdy zamknęła drzwi mieszkania w mazurskiej miejscowości i z jedną walizką wsiadła do pociągu. Zastanawiała się nawet, ile jeszcze jest w niej tych łez i czy kiedyś się skończą. Na razie płynęły.

Powstrzymywała się tylko wtedy, gdy wiedziała, że matka ją widzi. Nie chciała martwić jej jeszcze bardziej. Gdyby miała gdzie uciec, to z pewnością nie wróciłaby do rodzinnego domu. Nie dlatego, że było jej tu źle, ale właśnie ze względu na mamę. Nie miała jednak wyboru.

— Joasiu, słyszałam, że już wstałaś.

No tak, drewniane podłogi nie tłumiły odgłosów, więc matka musiała usłyszeć, gdy narobiła rumoru w pokoju. Otarła oczy wierzchem dłoni i odpowiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie:

— Tak, mamu, zaraz zejść na dół.

— Doskonale! Śniadanie gotowe, zjemy razem.

Na samą myśl o śniadaniu Joannie zrobiło się niedobrze. Nie czuła apetytu, wręcz odrzucało ją od jedzenia. Niestety, matka siadała z nią do każdego posiłku i bacznie obserwowała. Młoda kobieta musiała więc zjadać cokolwiek, żeby nie dawać Marii kolejnego powodu do zmartwień.

Postaram się przełknąć jakąś kanapkę — zdecydowała. — No i chyba muszę się ubrać.

Łazienkę na piętrze miała do własnej dyspozycji, więc szybko uporała się z toaletą. Nie musiała też zastanawiać się, co założyć — nie musiała przecież stawać przed dziesiątkami par uczniowskich oczu. W ogóle nic nie musiała.

Ta ostatnia myśl wcale jej nie ucieszyła, lecz sprawiła, że łzy znowu napłynęły do oczu. Joanna zamrugała szybko powiekami, żeby je powstrzymać. Musiała zejść na dół i choć trochę przekonać matkę, że nie jest z nią tak źle.

Szybko przełknęła dwa kęsy chleba z żółtym serem i udając zainteresowanie, wysłuchiwała streszczenia najnowszych wieści ze świata polityki.

— Może zrobię ci omlet? — zaproponowała Maria. — Taki z szynką i zielonym groszkiem?

Tylko nie to! — pomyślała z przerażeniem Joanna. — Tego nie dam rady zjeść.

— Nie teraz, dziękuję — powiedziała szybko. — Może później.

— Jesz jak ptaszek, to niezdrowo. — Matka spojrzała z troską.

— Zjem, jak wrócę — obiecała. — Wybieram się na spacer.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Mróz nie odpuszcza.

— Pół życia biegałam tu w mroźne zimy i jakoś cię to nie martwiło — przypomniała jej Joanna. — Muszę się przejść, odetchnąć...

— Skoro tak czujesz, to idź — uznała Maria.

Przyglądała się, jak córka zakłada kurtkę i kozaki, a potem, gdy Joanna wyszła, podeszła do okna i odprowadziła ją wzrokiem, aż młoda kobieta zniknęła za zakrętem.



Diana towarzyszyła Wandzie na przystanek i poczekała, aż przyjedzie bus.

— Co? Chcesz się upewnić, czy wyjechałam? — żartowała lekarka.

— Chcę się upewnić, że nie poślizgnęłaś się po drodze, ciociu — sprostowała Lisowska. — I pamiętaj, żeby zadzwonić, gdy już wszystko załatwisz. Przyjadę po ciebie do Kielc.

— Jesteś uparta jak osioł. Dobrze, zadzwonię, chociaż mogłabym przyjechać sama.

— Mogłabyś, ciociu, ale nie musisz.

Pomachała Wandzie na pożegnanie i ruszyła z powrotem do domu.

Miała zamiar posiedzieć w pracowni. Nie musiała martwić się o obiad, więc mogła, tak jak planowała, pomyśleć o nowych wzorach kubków, które wiosną przekaże panu Stachowi.

Bo przecież on wróci na swoje miejsce przy parkingu — pomyślała z przekonaniem.

Potała dłońmi zmarznięty nos. Nadal było mroźno, ale słońce tego dnia postanowiło nieco ogrzać zimowy świat. Może ciepła nie było zbyt wiele, jednak jasne promienie odbijały się od śniegu i sprawiały, że wokół było jaśniej i dużo przyjemniej, niż kiedy pełne śniegu chmury pokrywały niebo.

A może skorzystam z dobrej pogody i sprawdzę, co słychać na wrzosowej polanie? — Ten pomysł przyszedł nagle, ale spodobał się Dianie.

Zmieniła kierunek i poszła w stronę klasztoru. Minęła pusty o tej porze roku parking, doszła do bramy prowadzącej do parku narodowego i ruszyła w stronę źródła Świątego Franciszka. Liczyła, że nikogo nie spotka i bez problemu niepostrzeżenie skręci w las, jednak jak na złość od strony kapliczki ktoś nadchodził.

Zejdę ze szlaku, dopiero gdy ten człowiek przejdzie — postanowiła.

Szła powoli, krok za krokiem, czekając, aż minie się ze spacerowiczem. A właściwie spacerownicą, bo mężczyźni raczej nie chodzą w błękitnych kurtkach i białych czapkach z futrzanym pomponem. Zaraz, zaraz! Błękitna kurtka! Czy to przypadkiem nie Joanna? Diana zmrużyła oczy i przyłożyła dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć twarz nadchodzącej kobiety. Tak, to była ona!

— Dzień dobry! — zagadnęła, gdy zbliżyły się do siebie. — Czy pani Joanna? Nie mylę się?

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

— Tak, jestem Joanna. Czy my się znamy?

— Byłam u pani mamy, gdy pani przyjechała — przypomniała jej Lisowska.

— A rzeczywiście. — Joanna ułożyła usta w coś na kształt uśmiechu. — Przepraszam, że pani nie poznałam, ale byłam wtedy... — zająknęła się. — Widziałyśmy się zaledwie chwilę i z daleka — dokończyła szybko.

Byłaś zdenerwowana, to chciałaś powiedzieć — pomyślała Diana. — A przed chwilą płakałaś. Nie ukryjesz tego, masz czerwone oczy.

— Rozumiem. — Uśmiechnęła się. — Ja rozpoznałam panią po kurtce. Bardzo ładny kolor.

— Dziękuję.

Nie jesteś zbyt rozmowna, ale podejmę jeszcze jedną próbę — zdecydowała projektantka.

— Widzę, że pani też wybrała się na spacer. Może pochodzimy razem? — zaproponowała.

Joanna znowu skrzywiła się w imitacji uśmiechu.

— Ja już wracam, a pani chyba dopiero idzie — odparła. — Może innym razem, dziś już zmarzłam i wolałabym wrócić do domu. Zresztą mama na pewno się martwi, że tak długo mnie nie ma...

Diana zrozumiała, że nic więcej nie wskóra.

— W takim razie nie nalegam, ale trzymam za słowo. Miło będzie panią lepiej poznać, w końcu jesteśmy sąsiadkami.

Joanna nie podzielała chyba jej entuzjazmu, a przynajmniej nie okazała go w żaden sposób.

— Do widzenia! — pożegnała się krótko i poszła w stronę klasztoru.

Wanda miała rację — uznała Diana. — Ta kobieta ma jakiś duży problem. Coś ją dręczy. Znam to spojrzenie, widziałam je prawie rok temu, gdy patrzyłam w lustro. I wiem, że z czymś takim nie można zostać samemu.

Domyśliła się, że młoda sąsiadka potrzebuje wsparcia i pomocy. Gotowa była je zaoferować, jednak wiedziała, że na przyjęcie pomocy trzeba być gotowym. Miała nadzieję, że Joanna będzie.

Coś wymyślę, ale na razie, skoro już tu jestem, rzeczywiście zajrzę na wrzosową polanę — zdecydowała. — Ciekawa jestem, jak wygląda w zimowej odsłonie. Myślę, że równie pięknie jak latem i jesienią.

Nie pomyliła się. Gdy las się rozstąpił i ukazał miejsce, które tak kochała, aż straciła dech.

Warstwa delikatnego białego puchu pokrywała polanę niczym delikatna chusta. Śnieg nie zasypał całkowicie wrzosów i zamarznięte kwieciste gałązki wyglądały niczym delikatny wzór na śnieżnej materii. Wszystko to mieniło się w słonecznych promieniach, jakby ktoś rozsypał na polanie miliony małych diamentów.

Diana stała dłuższą chwilę i w milczeniu patrzyła na ten cud stworzony przez naturę. Po raz kolejny żałowała, że nie potrafi malować, choć miała

poczucie, że nawet najlepszy artysta nie byłby w stanie oddać piękna, które miała przed oczami.

Mogłabym stać tu bez końca — pomyślała. — Ale chyba ryzykuję zapalenie płuc.

Niechętnie, choć rozsądnie wycofała się na szlak. Poczuła, że przemokły jej skarpety, gdy przedzierała się między krzakami i śnieg nasypał się jej do butów.

Szybko, szybko, do domu. — Maszerowała różnym krokiem. — A tam od razu herbata z sokiem malinowym. Jeśli się przeziębę, to ciocia Wanda będzie suszyła mi głowę. Ale trudno, dla tego widoku było warto!

Tak, nie znała piękniejszego miejsca niż wrzosowa polana u stóp Łysicy.



Tobiasz krytycznie ocenił poczynania nowego pracownika.

— Ciasto trzeba traktować z sercem — powiedział. — Wtedy będzie dobrze wyrastać. A ty robisz to, jakbyś był tu za karę.

Chłopak zerknął na niego spod oka.

— Nie powiem, żeby to była praca moich marzeń — mruknął.

— To po co tutaj przyszedłeś?

— Z czegoś trzeba żyć...

Tobiasz pokiwał głową.

— Zostaw to na chwilę — polecił — i chodź ze mną.

Chłopak wytarł ręce w fartuch i posłusznie podążył za mężczyzną. Ten wyprowadził go za bar i stanęli w rogu sali.

— Co widzisz?

— Pizzerię — odparł młody pracownik.

— Ja też tak na początku myślałem — zgodził się z nim Tobiasz. — I też przyszedłem tu tylko dlatego, że miałem kłopoty finansowe i musiałem zarobić. Ale w pewnej chwili zrozumiałem, o co tu naprawdę chodzi. Przyjrzyj się dobrze, młody. Widzisz tamtą parę pod oknem? Są zakochani. Może to nawet ich pierwsza randka. Patrzą sobie w oczy, on karmi ją oliwkami. — Uśmiechnął się. — Nasza pizza jest teraz częścią tej ważnej chwili, może będą ją wspominać do końca życia.

Chłopak podrapał się po głowie.

— Nie patrzyłem na to w ten sposób.

— A tam, z lewej... — Tobiasz wskazał stolik, przy którym siedziała grupa znajomych. — Chyba dobrze się bawią, co? I wygląda na to, że im smakuje. A gdyby pizza była niedobra? Siedzieliby niezadowoleni, jak sądzę. Moglibyśmy popsuć im to spotkanie. Teraz rozumiesz?

Młody pokiwał głową.

— Chyba tak.

— Tutaj nie tylko zarabiasz pieniądze, choć to oczywiście ważne. Równie ważne jest to, że od twojej pracy zależy nastrój tych wszystkich ludzi. Możesz go poprawić albo zepsuć. Jeśli się postarasz, nagrodą będą gwar i śmiech gości, ich zadowolenie. A ono da satysfakcję tobie. Będziesz zmęczony, ale zadowolony. Wiem, co mówię. — Poklepał młodego po ramieniu. — A teraz wracaj do wyrabiania ciasta. Tylko z sercem.

— Dobra, spróbuję — odparł chłopak.

Tobiasz odprowadził go wzrokiem i przez chwilę przyglądał się jego poczynaniom z daleka. Od razu dostrzegł, że nowy pracownik wkłada w pracę więcej energii.

— Nie ma to jak dobra motywacja.

Nawet nie zauważył, kiedy właściciel pizzerii podszedł do nich.

— Staram się, szefie. — Mrugnął do mężczyzny. — A tak poważnie, to po prostu próbuję przekazać swoją wizję.

— I nieźle ci to wychodzi. — Mężczyzna cmoknął z zadowoleniem. — Gości mamy full.

— Nieskromnie powiem, że też jestem zadowolony. Widać progres.

— A zaglądałeś na nasz profil w Google?

— Tak, staram się na bieżąco śledzić opinie.

— Ja też. I ostatnio wiele z nich mnie zastanawia...

— Coś nie tak? Właściwie wszystkie są pozytywne. Owszem, czasem ktoś coś skrytykuje, głównie czas oczekiwania. Tyle że tego nie przeskoczymy, szczególnie w godzinach największego ruchu — wyjaśniał Tobiasz. — Robię, co mogę. Widzisz, że szkolę nowego. A ostatnio Basia

— ruchem głowy wskazał kelnerkę — wpadła na dobry pomysł. Kiedy jest największy ruch, dajemy gościom „poczekajki”.

— A co to jest? — zainteresował się szef.

— Takie drobne przekąski — wyjaśnił Tobiasz. — Kilka oliwek albo suszonych pomidorów. Koszt minimalny, a goście zadowoleni, nawet jeżeli chwilę dłużej czekają na zamówienie.

— Rzeczywiście, niezłe rozwiązanie — przyznał szef. — Ale nie o to mi chodziło. Usiądźmy na zapleczu. Nie będziemy o tym rozmawiać na środku sali.

Nie mam pojęcia w czym rzecz — zastanawiał się Tobiasz, podążając za szefem do pokoiku na tyłach pizzerii. — Nie zauważyłem żadnych złych ocen ani wielkiej krytyki...

Cóż, musiał poczekać aż właściciel powie, co ma mu do zarzucenia. I miał nadzieję, że nie będzie to nic, czego nie da się naprawić.

— No, chłopie, doszedłem do wniosku, że pora poważnie pogadać. — Szef rozsiadł się na swoim krześle i upił spory łyk coli, którą wziął po drodze z baru. — Miałem dzisiaj trochę czasu, więc poczytałem opinie. I wiesz, co rzuciło mi się w oczy?

— Pojęcia nie mam. Wał prosto z mostu — odparł Tobiasz. Miał dość tych niedomówień.

— Myślałem, że jesteś bystrzejszy — roześmiał się tubalnie jego rozmówca. — A może tylko udajesz, że nie wiesz? Bo chyba nie mogłeś nie zauważyć, jak cię tam ludzie wychwalają. Prawie w każdym wpisie jest o wspaniałym panu Tobiaszu, o sympatycznym Tobiaszu, o najlepszej pizzy od pana Tobiasza — wyliczał.

— To chyba dobrze...

— Dla ciebie tak. Tylko nie wiem, czy dla mnie.

— Nie rozumiem. — Tobiasz był szczerze zdziwiony. — W końcu to twoja pizzeria, zarabiasz na niej i z tego, co się orientuję, ostatnio coraz więcej.

— Owszem, tak, ale nie wiem, jak długo to potrwa — odparł szef.

— Na razie tendencja jest zwykła. Na pewno jest jakiś punkt szczytowy, na którym zysk się zatrzyma, ale tego nie przeskoczymy. Mamy określoną przepustowość lokalu i moce przerobowe... — Tobiasz zaczął wyjaśniać sytuację, choć nadal nie bardzo łąpał, o co szefowi chodzi.

— Daj spokój! — Mężczyzna machnął ręką. — Ja to wszystko wiem. Siedzę w biznesach nie od dziś. Nie mówię o lokalu, mówię o tobie. Nie rozumiesz?

— Nie bardzo...

— Mam swój rozum i może wylewny nie jestem, ale dobrze widzę, że ty rozkręciłeś tę budę. — Dopił cołą i odstawił butelkę na biurko. — Nie będę się bawił w komplementy, bo uważam, że nic tak do ludzi nie przemawia jak żywa gotówka.

Czyżby jakaś premia? — przemknęło Tobiaszowi przez głowę.

— Tak sobie pomyślałem, że skoro ludzie wciąż cię chwala, to zaraz konkurencja będzie chciała cię podkupić. Znam życie i nie mam złudzeń. Dlatego chciałbym ich uprzedzić. Co powiesz na udział w tym lokalu? Oczywiście nie połowa, aż taki rozrzutny nie jestem! — Znowu roześmiał się głośno. — Powiedzmy trzydzieści procent zysków. Co ty na to?

— Jestem zaskoczony... — Tobiasz nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

Szef zinterpretował jego słowa inaczej.

— O, czyli już się przy tobie kręca — mruknął. — Dobra, czterdzieści procent, ale po odjęciu inwestycji. Bo ostatnio sporo tu kupujemy, sam wiesz. No, decyduj się, zanim zmienię zdanie...

Tobiasz pojął, że pojawiła się szansa, na którą nawet nie liczył. Od razu też pojął, że musi z niej skorzystać.

— Zgoda!

— I to rozumiem — ucieszył się właściciel. — W takim razie na dniach spisujemy umowę i od nowego roku działamy jako wspólnicy. No, a teraz

lecę, mam jeszcze kilka spraw na mieście. — Podniósł się i wyciągnął do Tobiasza dłoń. — Będzie dobrze — powiedział.



Wysiedli z samochodu i lekarka wskazała na drewniany dom, przed którym się zatrzymali.

— To tutaj.

Młody mężczyzna rozejrzył się dookoła.

— Piękna okolica. — Pokiwał z uznaniem głową. — Miło będzie tu przyjeżdżać.

— A tego to akurat nie mogę obiecać — sprostowała od razu. — Pamięta pan, co mówiłam?

— Tak, pamiętam. Ale ja zawsze wychodzę z założenia, że będzie dobrze. Uważam, że nastawienie to połowa sukcesu.

— Może i tak, choć w tym przypadku to z pewnością jest ta łatwiejsza połowa.

— Jeśli nie spróbujemy, to się nie dowiemy — stwierdził mężczyzna z uśmiechem.

— To prawda — zgodziła się Wanda. — W takim razie chodźmy.

Zapukała i poczekała, aż usłyszy zaproszenie, po czym pchnęła drzwi i skinęła na swojego towarzysza.

Greta już tu była — pomyślała lekarka, widząc zapas drewna przy kominku i dzbanek z ziołowym naparem przy łóżku Stacha.

On sam siedział na łóżku przykrytym grubym brązowym pledem.

— Dzień dobry, Stachu.

— Witaj, Wando.

Z nieufnością zerknął na młodego mężczyznę.

— Widzę, że gościa przyprowadziłaś. Tyle że ja się na gościnnego gospodarza nie nadaję. — Zmarszczył krzaczaste brwi. — Poza tym coś innego planuję i nie mam czasu na towarzyskie pogawędki. Lepiej będzie, jak pójdziecie.

Lekarka nie przejęła się niegrzecznym zachowaniem. Rozpięła kurtkę i usiadła na krześle.

— Wiem dobrze, jakie są te twoje plany — powiedziała prosto z mostu. — I my właśnie w tej sprawie. To jest pan Daniel — przedstawiła swojego towarzysza. — Rehabilitant. Najlepszy. Będzie przyjeżdżał, żeby ci pomóc.

Młody mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie, ale Stach nie był zadowolony. Przeciwnie, zareagował bardzo nerwowo.

— Ja tutaj nie potrzebuję żadnego rehabilitanta! Sam sobie poradzę! W szpitalu mnie naprawili i nie jestem inwalidą. Ani mi się śni wydawać pieniądze na kogoś, kto mnie będzie pod rękę prowadził!

— Stachu, załatwiłam refundację — wyjaśniła spokojnie lekarka. — Nie musisz nic płacić.

— Już ty mi bzdur nie opowiadaj! Głupi nie jestem i wiem, że ubezpieczenia nie mam. Już z operacją był problem...

— Był, ale nie ma. Już ci tłumaczyłam. Pomoc społeczna...

— Nie chcę więcej żadnej pomocy społecznej! — zaprotestował ostro Stach. — Poza tym już doskonale sobie radzę.

Podparł się rękami i wstał, ale zachwiał się przy tym. Daniel błyskawicznie znalazł się przy mężczyźnie i podtrzymał go.

— Widzę, że ma pan siłę i dużo determinacji — powiedział. — Wystarczy poprawić technikę i powinno pójść jak z płotka.

Stach rzucił mu niechętnie spojrzenie.

— Jaką technikę?

— Ruchu — wyjaśnił rehabilitant. — Ale musiałbym wszystko wyjaśnić. Nie da się tak w jednym zdaniu...

— To jakieś lekarskie wymysły — mruknął Stach.

— Cóż, może i tak, ale moi dotychczasowi pacjenci dzięki nim są dziś sprawni — odparł spokojnie Daniel.

— Właściwie posłuchać nie zaszkodzi... — Stach pozwolił się posadzić i wskazał młodemu mężczyźnie miejsce na taborecie przy łóżku. — Skoro już Wanda pana przywiozła.

Daniel popatrzył na nią.

— Czy mógłbym zostać sam z pacjentem?

— Oczywiście, to zrozumiałe. Poczekam przy samochodzie.

Wyszła i przez dwadzieścia minut nerwowo spacerowała po wydeptanej przez Gretę ścieżce — do granicy lasu i z powrotem. Wreszcie zobaczyła, że Daniel wychodzi z domku Stacha.

Wszystko na nic — pomyślała zrezygnowana.

— Jednak pana wyrzucił?

— Przeciwnie, umówiliśmy się na kolejne wizyty — uspokoił ją z uśmiechem rehabilitant. — Będę przyjeżdżał dwa razy w tygodniu. Czy to pani doktor odpowiada?

— Oczywiście! — ucieszyła się lekarka. — A już myślałam, że się nie udało. Dość szybko pan wyszedł...

— Normalnie będę pracował z panem Stachem przez godzinę. Dziś tylko porozmawialiśmy.

Lekarka była ciekawa, co młody fizjoterapeuta powiedział upartemu starcowi, ale czuła, że nie wypada o to pytać. Tak czy inaczej, najważniejsze było to, że Stach zgodził się na rehabilitację.

— Proszę wsiadać, pani doktor. — Daniel otworzył przed Wandą drzwi do samochodu. — Podwiozę panią do domu.



Greta przyszła, jak to miała w zwyczaju, niezapowiedzianie. Otrzepała buty ze śniegu i odwiesiła kozuch na wieszak przy drzwiach, a potem wyjęła z kieszeni lniany woreczek.

— To zimowa herbata — wyjaśniła, podając pakunek Wandzie. — Moja mieszanka. Rozgrzewa nie tylko ciało, ale i duszę.

— O, dziękujemy! — ucieszyła się Wanda. — Będzie w sam raz, bo mróz nie odpuszcza. Zaraz zaparzę.

— To ja dziękuję — odparła zielarka.

— A za co? — zdziwiła się Kowalowa.

— Wiesz przecież. — Greta usiadła na miejscu pod oknem, a Kocio od razu przybiegł i wskoczył jej na kolana. — Przekonałaś Stacha do ćwiczeń i przywiozłaś tego chłopaka.

— Jakiego chłopaka? — wtrąciła się do rozmowy Diana, która właśnie wyszła ze swojej pracowni. — Ciocia wozi jakichś chłopaków, a ja nic o tym nie wiem?

— O, ta to już plecie, co jej ślina na język przyniesie — sarknęła Wanda. — Przecież mówiłam, że znajdę rehabilitanta dla Stacha, prawda?

— No tak, rzeczywiście! A przystojny chociaż? — zainteresowała się młoda kobieta.

— Tego nie wiem — odparła Greta. — Jeszcze go nie widziałam. Chociaż i tak nie umiem ludzi w ten sposób oceniać. Za to na pewno to człowiek z dobrą energią.

— A to skąd wiadomo? — Diana usiadła obok zielarki. — Tak na odległość pani czuje? Aurę ma jakąś? Energią promieniuje?

Zielarka zerknęła spod oka, jakby sprawdzała, czy dziewczyna przypadkiem z niej nie kpi.

— Stacha do siebie przekonał — powiedziała spokojnie. — Mnie to wystarczy.

— Trudno, żeby nie przekonał. — Diana wzruszyła ramionami. — W końcu z tego żyje, zależy mu na kolejnym kliencie.

— Gdyby mu chodziło tylko o pieniądze, to Stach od razu by się na tym poznał. — Zielarka była pewna swojej oceny. — I nawet pięciu minut by z nim nie rozmawiał.

— A chłopak do pazernych nie należy — przyszła jej z pomocą Wanda. — Zgodził się na dojazdy za minimalną stawkę, kiedy mu opowiedziałam o Stachu.

— No to widzę, że został sprawdzony i oceniony przez starszyznę, więc dyskusji nie ma — zażartowała Diana. — A tak poważnie, to bardzo się cieszę, że pan Stach będzie miał profesjonalną pomoc.

— Najlepszą — zapewniła Wanda. — Polecił mi go ordynator ortopedii. Podobno pan Daniel postawił na nogi kilku pacjentów, którzy mieli bardzo słabe rokowania na odzyskanie sprawności. A poza tym pracuje jako wolontariusz w domu opieki i jest tam bardzo lubiany za dobre podejście do podopiecznych.

— Mówiłam, że dobry człowiek — stwierdziła z satysfakcją Greta.

— Rzeczywiście, jawi się jako ideał. Anioł po prostu — zakpiła Lisowska.

— A co ty jesteś taka uprzedzona? — zdziwiła się Wanda. Postawiła na stole dzbanek z zimową herbatą i trzy kubki. — Jeszcze człowieka na oczy nie widziałas, a zachowujesz się, jakbyś go nie lubiła.

— Nie to, że nie lubię. Po prostu trudno mi uwierzyć, że facet jest taki wspaniały. Po prostu do rany przyłóż. Dobry, miły, fachowiec,

wolontariusz... — wyliczała młoda kobieta.

— A to źle? — Zielarka spojrzała przenikliwie.

— Może i dobrze, ale niewiarygodnie. Żeby się tylko nie okazało, że pod tym pięknym obrazkiem kryje się coś zupełnie odwrotnego...

— A na pewno mówisz o fizjoterapeucie? Bo mam wrażenie, że o kimś innym... Złe doświadczenia czasami biorą górę nad rozsądkiem — dodała zielarka.

Diana spod oka spojrzała na starsze kobiety. Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad ich słowami.

— Macie rację — powiedziała w końcu. — Przepraszam, rzeczywiście nie powinnam tak mówić o człowieku, którego przecież nawet nie widziałam. Ale... ale szlag mnie trafia, jak słyszę peany na cześć faceta. Bo wiecie, tak samo mówiły wszystkie koleżanki o moim byłym — wyjaśniła.

— Napij się, dziecko, herbaty — zachęciła Wanda, podsuwając jej kubek.

— Tak, zaraz, tylko dokończę, co mi leży na sercu. Chodzi o to, że on był na zewnątrz taki właśnie niby wspaniały. Wesoly, sympatyczny, po prostu ideał. Potrafił sobie każdego zjednać. Normalnie mistrz manipulacji! — Diana była coraz bardziej zdenerwowana. — Tacy są najgorsi, bo potem nikt nie wierzy, jakimi potrafią być potworami!

Greta i Wanda wymieniły spojrzenia ponad głową Diany.

— A jednak tobie ktoś uwierzył, prawda? — Wanda pogładziła dziewczynę po ramieniu.

Ta pokiwała głową i wybąkała:

— Przepraszam. Myślałam, że już mam to za sobą. A jednak nie... To chyba przez tę Joannę... Spotkałam ją podczas spaceru.

— Kim jest Joanna? — zainteresowała się Greta.

— Córka sąsiadki zza płotu — wyjaśniła Wanda. — Pewnie znasz jej matkę, była podobno nauczycielką w tutejszej szkole.

— Nawet dyrektorką — uściśliła zielarka. — Tak, wiem, o kim mówicie. Ale ta dziewczyna już dawno stąd wyjechała.

— Teraz wróciła. — Diana sięgnęła po kubek. — I z daleka widać, że jest w fatalnej formie. Musiało ją spotkać coś złego, ja to czuję, chociaż ona sama nie chce niczego powiedzieć, ale doskonale znam symptomy i ten stan. Ja też uciekałam i nie chciałam z nikim rozmawiać. Jestem pewna, że chodzi o jakiegoś faceta. Na pewno trafiła na takiego samego gnojka jak ja.

— Tego nie wiemy — przypomniała Wanda. — A skoro nie chce powiedzieć...

— Ja też nie chciałam — przypomniała Diana. — Bo się bałam. Gdyby nie to, że znaleźli się ludzie, którzy podali mi pomocną dłoń, to nie wiem, co by się ze mną stało. Joanny nie można zostawić, ona potrzebuje pomocy.

— Skoro tak uważasz, to dlaczego jej nie pomożesz? — zapytała zielarka.

— Nie wiem jak. — Diana czuła się bezradna. — I chyba dlatego tak się rozkleiłam. Z tej bezsilności...

— Jak to jak? Tak samo jak ktoś kiedyś pomógł tobie. — Greta znowu zerknęła na Wandę.

— Idź i zaproś ją do nas na zimową herbatę — dodała lekarka.

— Ale tak teraz? Od razu?

— Teraz i od razu. Po prostu. — Ciocia pokiwała głową. — Ta herbata podobno rozgrzewa nie tylko ciało, ale i duszę. — Uśmiechnęła się do zielarki.

— Może i tak! — Diana odzyskała energię i chęć do działania. — W takim razie idę.

Razem z nią wstała także Greta.

— To i ja pójdę.

— Ale dlaczego? Niech pani zostanie — poprosiła Lisowska.

— Nie każdy chętnie pije herbatę z czarownicą — odpowiedziała z lekkim uśmiechem zielarka. — Nie będę wprawiać waszych gości w zakłopotanie.

— Ale pani Maria i Joanna na pewno nie miałyby nic przeciwko...

— Może tak, a może nie — ucięła Greta. — Nie mam ochoty tego sprawdzać.



Diana zastukała w drzwi willi, ale wtedy nagle dopadły ją wątpliwości. A może lepiej było poczekać? Czy powinnam tak od razu słuchać sugestii Grety? Ciocia Wanda była przecież zdania, że należy być bardziej powściągliwą. Może miała rację? Przecież Joanna nie jest sama, ma matkę. A ja nie miałam nikogo. To różnica. Czyżbym za bardzo przeniosła wspomnienie swoich emocji na nową sąsiadkę? Powinnam słuchać głosu rozsądku czy intuicji?

Pewnie wycofałaby się spod drzwi sąsiadek, ale było za późno. Usłyszała kroki i zgrzyt zamka.

— O, to ty, Diano! — Pani Maria uśmiechnęła się na jej widok, ale oczy miała smutne.

Martwi się o córkę — zrozumiała Diana.

— Dzień dobry. A może już dobry wieczór? — zażartowała. — Tak wcześnie robi się ciemno, że nie wiadomo, czy jest jeszcze dzień, czy już noc.

— To prawda. To stanowczo minus zimowego czasu. — Maria, jak przystało na dobrze wychowaną osobę, kontynuowała towarzyską pogawędkę o niczym, mimo że mroźne powietrze nie sprzyjało takim konwersacjom.

— Siedzialiśmy właśnie przy herbacie i pomyślałyśmy, że miło byłoby wnieść nieco ożywienia w ten ciemny i zimny czas — mówiła tymczasem

Diana, uznając, że powinna zrobić jakiś wstęp i usprawiedliwić swoją nieoczekiwaną propozycję.

Maria otuliła się szczelniej chustą i popatrzyła pytająco na gościa. Lisowska chciała elegancko przejść do rzeczy, ale właśnie zobaczyła młodą kobietę, która wyszła z salonu i zaczęła wchodzić po schodach na piętro. I znowu emocjonalna natura wzięła górę.

— Joanno — zawołała.

Kobieta przystanęła.

— Właśnie przyszedłam, żeby was wyciągnąć, to znaczy zaprosić na herbatę do nas — mówiła szybko Lisowska, która bała się, że córka Marii zaraz ruszy dalej. — Nic zobowiązującego, taki spontaniczny pomysł. Wy dwie, nas dwie... Razem zawsze weselej.

Wiedziała, że mało to eleganckie i może nawet nieco głupie, ale uznała, że nie ma nic do stracenia. Nieoczekiwanie sąsiadka przyszła jej z pomocą.

— Świetny pomysł! Prawda, Joasiu? — Zwróciła się w stronę schodów.

Wywołana przez matkę do odpowiedzi córka musiała się odezwać.

— Prawdę mówiąc, nie mam ochoty na towarzyskie wizyty — powiedziała beznamiętnym tonem.

— Ale jakie tam towarzyskie! — Diana postanowiła za wszelką cenę ją przekonać. — Po prostu wpadniecie do sąsiadek na kwadrans.

— Myślę, że nie wypada odmówić. — Pani Marii zaproszenie wyraźnie przypadło do gustu. — Joasiu, chwila rozmowy i nam dobrze zrobi. Wciąż siedzimy tylko we dwie...

Młoda kobieta niechętnie zeszła do nich.

— Diano, wejdź do środka. Nie wiem, dlaczego my wciąż stoimy w tych otwartych drzwiach. — Maria spojrzała przeprasząco. — Wybacz! Za chwilę będziemy gotowe. No, Joasiu, zakładaj kurtkę i podaj mi płaszcz — zakomenderowała.

Córka wykonała polecenia, ale nawet optymistycznie nastawionej Dianie trudno byłoby powiedzieć, że zrobiła to z zapałem i chęcią.

W najgorszym razie wypiją herbatę i pójda — pomyślała.

Pani Maria starannie zamknęła drzwi. Córka podała jej ramię i pomogła zejść po schodach.

— Wieczorami robią się śliskie — wyjaśniła emerytowana nauczycielka.
— A ja naprawdę boję się złamania. W moim wieku to już nie przelewki i lepiej unikać takich przygód.

— Powtarzasz to od wielu lat, a jakoś nigdy nic ci się nie przydarzyło — wypomniała jej córka.

— Właśnie dlatego, że uważam. A z tym powtarzaniem to myślę, że przesadzasz. Zresztą nawet gdyby, to podobno starzy ludzie wciąż mówią o tym samym i trzeba się z tym pogodzić. — Uśmiechnęła się lekko.

Uwagę Joanny zwróciła osoba, która właśnie wychodziła z podwórza Wrzosowej Polany.

— Czy to nie ta czarownica?

Diana podążyła spojrzeniem za zielarką, która szybkim krokiem oddalała się w stronę lasu.

— To Greta, nasza dobra znajoma — odparła spokojnie. — Bywa u nas czasami. Jej zielarska wiedza jest naprawdę imponująca.

Joanna chciała coś powiedzieć, ale uwadze Diany nie umknęło, że matka ścisnęła jej ramię i córka zamknęła usta.

— Szkoda, że niczego dziś nie upiekłam — zmieniła temat pani Maria.
— Miałybyśmy coś słodkiego do tej herbaty.

— Nic nie szkodzi — zapewniła Diana. — Będzie pretekst do następnego spotkania.

Otworzyła przed gośćmi drzwi i wpuściła ich przodem. W progu kuchni czekała już Wanda.

— Bardzo się cieszę, że nasze spontaniczne zaproszenie zostało przyjęte — zagadnęła wesoło. — Widziałam przez okno, że idziecie, więc woda już się gotuje. Proszę, niech panie siadają!

Diana odebrała od kobiet okrycia, a Joanna z ciekawością rozejrzała się po pomieszczeniu.

— Bardzo mi się tu podoba. Zawsze byłam ciekawa jak tu jest w środku. Właściwie nikt tu nie bywał...

— Joasiu, pomożesz mi rozwiązać chustkę pod szyją? — Maria po raz kolejny zmieniła temat. — Chyba zrobił się supeł.

Diana uznała, że takie niedomówienia donikąd nie prowadzą.

— Wiem, że poprzedni właściciel był samotnikiem — powiedziała otwarcie. — I rozumiem to zainteresowanie. Trochę tu zmieniłam, ale sporo pozostało jak dawniej. Podoba mi się taki styl, uważam, że pasuje do okolicy.

— I właściwie to ostatnie chwile, żeby zobaczyć wnętrze takim, jakie było — rzuciła Wanda. — Wiosną planujemy remont i zmianę układu pomieszczeń. A teraz zapraszam do stołu — zachęciła. — Mamy pyszną herbatę od Greta i trochę maślanych ciasteczek, więc będzie i coś do przegryzienia.

— A ja szukałam i byłam pewna, że już ich nie ma! — Diana udała oburzoną.

Maria wyraźnie się rozluźniła. Widać obawiała się trudnych tematów. Zajęły miejsce przy stole, a Wanda rozłożyła przed każdą z nich szydełkową serwetkę.

— To my mamy takie rzeczy? — zdziwiła się Lisowska.

— Przywiozłam kilka. A skoro u pani Marii zostałyśmy podjęte po królewsku, to pomyślałam, że je wyciągnę. Pokażemy, że i pod strzechą wiedzą, co to elegancja. — Mrugnęła porozumiewawczo do starszej sąsiadki.

Ta na szczęście miała poczucie humoru i dystans do siebie, rozbawiły ją te słowa.

— Wiem, że bywam nieco... za bardzo staroświecka — roześmiała się. — Ale naprawdę uważam, że najważniejsze jest miłe towarzystwo.

A serwetki są piękne.

Diana zauważyła, że Joanna także z każdą chwilą stawała się bardziej rozluźniona. Zjadła dwa ciasteczka, spróbowała herbaty i nawet wydawała się zainteresowana rozmową.

Właściwie nie mówiły o niczym konkretnym. Ot, takie pogaduszki. Wanda podzieliła się przepisem na ciastka, Maria opowiedziała, jak pewnego razu pocukrzyła galaretę, zamiast posolić.

— Dobrze wiedzieć, że nawet wytrawnym gospodyniom zdarzają się wpadki — skwitowała tę anegdotę Diana. — Bo ja to talentu kulinarnego nie mam za grosz.

— Za to masz inne — odparła Maria. — Czy te kubki, z których pijemy, to twoje dzieło?

— Tak, można powiedzieć, że ostatnio się w nich specjalizuję.

— Naprawdę sama je zrobiłaś? — zainteresowała się Joanna.

— Naprawdę. I muszę się pochwalić, że sporo nawet sprzedalam — wyznała z dumą Diana. — Turyści zabrali je stąd jako pamiątki.

— Poza tym Diana prowadzi też warsztaty garncarskie dla dzieci — dodała Wanda.

— Garncarskie to trochę przesada — sprostowała Lisowska. — Powiedziałabym raczej, że to kreatywne lepienie z gliny.

— Diana ma tu pracownię, a na podwórku, w stodole, miejsce na warsztaty. — Lekarka nie przestawała chwalić dokonań młodej. — Wszystko sama zorganizowała, moja zuch dziewczyna.

Joanna słuchała z ciekawością.

— Naprawdę masz pracownię? Taką prawdziwą, z kołem?

— Owszem — przytaknęła z uśmiechem Diana. — Chcesz, to ci pokażę.

— Idźcie, idźcie — zachęciła Wanda. — A ja tu jeszcze podpytam sąsiadkę o kilka rzeczy. Może o przepis na galaretę — zażartowała.

Młode kobiety wstały i opuściły kuchnię.

— Niech sobie porozmawiają. — Lekarka uśmiechnęła się do Marii. — Szybciej się dogadają bez starych przyzwoitek.

— Dziękuję bardzo za to zaproszenie — odparła sąsiadka. — Joasia chyba potrzebuje teraz kontaktu z ludźmi. Ma trudny czas...

— Nie musi pani mówić — uspokoiła ją lekarka. — Niech wszystko toczy się w swoim tempie.

Maria spojrzała na nią z wdzięcznością.

— A może zaczniemy sobie mówić po imieniu? — zaproponowała. — Myślę, że na to już odpowiedni czas, a przy okazji udowodnię, że nie jestem aż taka staroświecka...

— Będzie mi bardzo miło — przystała na to z ochotą Wanda. — A poza tym uważam, że serwetki i ładna porcelana to żadna staroświeckość. Ja również bardzo je lubię.



Młode kobiety wróciły po kilkunastu minutach.

— I jak? Podobało ci się? — Maria spojrzała pytająco na córkę.

— Nie sądziłam, że można coś takiego zorganizować sobie w domu. — Joanna była pełna podziwu. — Czy wiesz, mamó, że Diana ma piec do wypalania?

— Joasiu, ja nie znam się na garncarstwie, ale skoro pijemy z tych kubków, to zapewne jest tu wszystko, co potrzebne, żeby je zrobić.

— Mówiłam, że świetnie to zorganizowała — dodała Wanda. — Pokazała, że wszystko można, tylko trzeba chcieć.

— Bez przesady. — Lisowska nieco się zawstydziała. — Ale rzeczywiście, można wiele, jeżeli jest się odpowiednio zdeterminowaną. Albo nie ma się innego wyjścia — roześmiała się.

Joanna wbiła wzrok w podłogę.

— Ale muszę powiedzieć, że miałam kilka takich momentów, że chciałam to wszystko rzucić. I byłam przekonana, że nie dam rady — kontynuowała Diana. — Na szczęście się nie poddałam. Choć prawdę mówiąc, to przyjaciele mi na to nie pozwolili.

— A może pójdziecie do stodoły? — zaproponowała Wanda.

— Dzisiaj to chyba za zimno. — Projektantka pokręciła głową. — Ale opowiadałam Joannie o moich początkach i o tym, co tam robimy.

— Tak, to bardzo ciekawe. — Młoda sąsiadka podniosła głowę. — To świetny pomysł takie połączenie nauki z praktycznym doświadczeniem.

W ogóle jest teraz tendencja w szkolnictwie, żeby mniej było suchej teorii, a więcej praktyki. Dobrze, że są takie miejsca, bo pokazują, że to możliwe i potrzebne.

Po raz pierwszy na twarzy Joanny widać było prawdziwe zaangażowanie. Oczy jej rozbliły, policzki poróżwiały.

— Gdyby nie to, że ściany mam dziurawe i mróz hula po wnętrzu, to rzeczywiście mogłabym prowadzić warsztaty także zimą. Ale tego na razie nie przeskoczę. Dzieciaki by tu zamarły, a i lepić się nie da.

— Wielka szkoda — odparła Joanna. — Bo skoro są chętni...

— Cóż, wszystko po kolei. W przyszłym już może się uda. Najważniejsze to zacząć i małymi krokami iść do przodu.

Maria obserwowała córkę z uwagą. Zmiana w zachowaniu Joanny wyraźnie ją ucieszyła.

— Widzisz, Joasiu, dobrze, że zdecydowałyśmy się na te spontaniczne odwiedziny. — Uśmiechnęła się do córki. — Inaczej nie wiedziałabyś, jakie mamy interesujące sąsiadki.

— O tak, bez wątpienia — zgodziła się Joanna.

— Skoro wreszcie dostałyśmy akceptację długoletnich mieszkanek, to chyba można uznać, że przełamałyśmy pierwsze lody — zauważyła Wanda.

— Och, chyba nie chcecie powiedzieć, że nikogo tu jeszcze nie znacie? — zdziwiła się Maria.

— No a ta... zielarka? — zauważyła Joanna.

— Tak, Greta to bardzo miła kobieta — odparła Wanda. — Cenię sobie tę znajomość, ale trzeba jasno powiedzieć, że nie wszyscy to akceptują.

— Niestety, nie mamy najlepszych doświadczeń w tym względzie — poparła ją Diana. — To znaczy, do tej pory nie miałyśmy — poprawiła się. — Choćby Anna. Początkowo wydawała się miła, choć nieco dziwna. Ale potem... Kiedyś może o tym opowiem. W każdym razie ostatnio jej nie widziałam i z tego akurat bardzo się cieszę. — Uderzyła się ręką w udo

i zawołała: — Ach, pani może ją nawet zna, pani Mario. Jest nauczycielką w tutejszej szkole.

— Chyba wiem, o kim mówisz.

— Ach, Anna! — podchwyciła Joanna. — Jeśli o nią chodzi, to nic dziwnego, że nie podoba jej się wasza przyjaźń z tą Gretą. W końcu...

— W końcu każdy ma jakieś powody, dla których zachowuje się tak albo inaczej — przerwała jej matka. — I nie ma co się tym przejmować. Ja w każdym razie lubię sama oceniać nowych znajomych.

Wanda zrozumiała, że sąsiadka nie chce kontynuować tematu. I chociaż Diana ledwie potrafiła ukryć ciekawość, jaką wywołały słowa Joanny, to postanowiła uszanować wolę Marii.

— Mam nadzieję, że wypadłyśmy dobrze. — Uśmiechnęła się do nauczycielki.

— Tak dobrze, że z planowanego kwadransa zrobiły się dwie godziny. — Maria zerknęła na kuchenny zegar. — Chyba pora na nas, Joasiu. Trochę się zasiedziałyśmy.

Podniosła się, a córka poszła w jej ślady.

— Wpadnij do mnie niedługo — powiedziała Diana do młodszej sąsiadki. — Uruchomię koło i spróbujesz swoich sił. Co ty na to?

— Tak, może kiedyś. Dziękuję — odparła Joanna, ale widać było, że wyraźnie znowu zmarkotniała.

— Dziękujemy za pyszną herbatę, ciasteczka i miłą rozmowę. — Maria uśmiechnęła się na pożegnanie. — Takie nieoczekiwane spotkania często okazują się bardzo potrzebne.

Diana odprowadziła je do bramy i pomachała na pożegnanie.

A już miałam nadzieję, że coś w niej drgnęło... — pomyślała, patrząc za Joanną. — Ale warsztaty ją zainteresowały. Tego jestem pewna.



Rozmowa z Krzysztofem z jednej strony pomogła Martynie, z drugiej zaś nie rozwiązała jej dylematu.

Woliński przyjął ją w swoim gabinecie, ale wyszedł z za biurka i zaproponował, żeby usiedli na wygodnych skórzanych fotelach. Poprosił asystentkę, aby przygotowała kawę i przyniosła ciastka.

— Widziałaś, jak na mnie spojrzała? — roześmiał się, gdy kobieta wyszła. — Wie, że się odchudzam i powinienem unikać słodczy. Zapowiedziałem, że ma ich nie przynosić, nawet gdy o to poproszę — wyjaśnił. — No ale przy gościach nie odmówi, więc wykorzystałem sytuację.

— Ty się odchudzasz? — Dziennikarka zmierzyła krytycznym spojrzeniem sylwetkę mężczyzny. — Moim zdaniem nie ma takiej potrzeby. Wyglądasz świetnie, serio.

— Dziękuję za komplement, ale tak doskonale to nie jest. Po prostu mam dobrze skrojony garnitur. — Mrugnął porozumiewawczo.

— Tak czy inaczej, jedno ciasteczko ci nie zaszkodzi — zapewniła.

Gdy asystentka przyniosła to, o co prosił szef, i szybko zostawiła ich samych, Woliński spojrzał na gościa i zaproponował:

— Teraz możesz śmiało powiedzieć, co to za sprawa, o której chciałaś ze mną porozmawiać.

Rozpiął marynarkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Za to Martyna zupełnie nie mogła się wyluzować.

— Mam problem — odchrząknęła. — Muszę podjąć decyzję.

— O, zaczyna się ciekawie. Nie podejrzewałem, że możesz mieć problem z podejmowaniem decyzji.

— Jak widać, mogę — westchnęła.

— A to dotyczy spraw zawodowych czy osobistych?

— Właściwie zawodowych, ale w pewnym sensie też osobistych.

— W tych pierwszych może mógłbym jakoś pomóc, ale do rozmów na tematy prywatne chyba lepsza byłaby przyjaciółka. — Podrapał się po policzku. — Wiesz, ja jestem facetem i niezbyt dobrze się poruszam po meandrach kobiecych uczuć.

— Oj, chyba źle mnie zrozumiałeś. — Martyna nerwowo splótła palce. — Nie chodzi o to, że mam jakiś romans czy zadurzyłam się bez wzajemności.

— Nie? — Spojrzał na nią uważnie. — Sądziłem, że może masz jakiś dylemat uczuciowy...

— Nie.

— W takim razie powiedz, o co chodzi. Jak widzisz, w domyślanu się także nie jestem zbyt dobry. — Rozłożył ręce.

— To raczej ja mówię ogólnikami. Jakbym bała się nawet wypowiedzieć moje rozterki.

— Takie są straszne?

— Właściwie nie. A nawet przeciwnie. Widzisz, chodzi o to, że może spełnić się moje marzenie...

— To chyba dobrze? A jakie, jeśli można wiedzieć?

— Dostałam propozycję od największej firmy telewizyjnej w kraju — wyrzuciła wreszcie z siebie dziennikarka. — Widzieli mój program w sieci i są zainteresowani przeniesieniem go do telewizji. Na razie nie do głównego kanału, do jednego z mniejszych, ale zawsze.

Krzysztof uśmiechnął się szeroko.

— Moje gratulacje! To chyba powinnaś hucznie świętować?! Mam poprosić o szampana?

— Daj spokój!

— Nie bardzo rozumiem... Spełnia się twoje marzenie, utrzesz nosa wszystkim wrogom — wyliczał Woliński. — A ty się nie cieszysz? Co jest? Jakiś haczyk w umowie? Mam dobrych prawników, mogą na to popatrzeć, jeśli chcesz.

— Nic z tych rzeczy. Proponują dobre warunki. Oczywiście, jeszcze nie rozmawiałam o konkretach. Tylko że... — westchnęła. — Musiałabym przeprowadzić się do Warszawy.

Krzysztof popatrzył na nią uważnie.

— Na stałe?

— Tak. I to jest właśnie pierwszy problem. A on łączy się z drugim. I oba mają wspólny mianownik. Tobiasz.

— Nie cieszy się z twojego sukcesu? — Woliński wyglądał na zaskoczonego tą informacją.

— Jeszcze o niczym nie wie — przyznała Martyna.

— Sądziłem, że jest pierwszą osobą, z którą dzielisz się nowinami...

— Dotychczas tak było — potwierdziła. — Ale ostatnio jakoś... nie możemy się dogadać.

Krzysztof sięgnął po kolejne ciasteczko, jakby chciał pokazać, że nie zmusza kobiety do mówienia. Ona jednak uznała, że powinna jasno przedstawić sytuację, skoro oczekuje jego rady.

— Tobiasz zupełnie wsiąkł w tę pizzerię. Myślałam, że to będzie chwilowe zajęcie, nawet cieszyłam się, że nie siedzi z założonymi rękami. Byłam pewna, że gdy odzyskamy stabilność finansową, wróci do pracy ze mną. Tymczasem on woli robić placki, a mnie kazał szukać nowego operatora i montażysty.

— I co ty na to? Szukasz?

— No co ty! Przecież ten program podoba się właśnie dlatego, że stworzymy najlepszy zespół. Bez Tobiasza to już nie będzie to. — Stanowczo pokręciła głową. — Jeżeli mam robić ten program dla telewizji, to tylko z Tobiaszem.

— W takim razie mu o tym powiedz — zaproponował Krzysztof.

— Próbowałam, ale słyszeć nie chce nawet o kilku dniach wolnego. Tym bardziej nie będzie chciał przenieść się do stolicy. — Martyna była pełna wątpliwości. — Co ja mam zrobić?

— Powiedzieć mu o tym. Po prostu. Mężczyźni lubią jasne sytuacje. Pogadaj z nim tak bez niedomówień. O tym, że to twoje marzenie, o tym, że bez niego sobie tego nie wyobrażasz.

— A jeśli i tak odmówi?

— Wtedy będziesz musiała wybrać: zrezygnować z telewizji albo wyjechać bez Tobiasza. Tak czy inaczej, musisz z nim porozmawiać.

Wrońska miała świadomość, że to jedyne rozwiązanie i inaczej się nie da, choć w skrytości ducha liczyła na jakieś cudowne rozwiązanie problemu przez Wolińskiego.

Cóż, nie dostała od niego żadnej gotowej recepty na swoje problemy, więc pożegnała się, obiecując, że da znać, gdy coś zdecyduje, i zakończyła rozmowę.



W chwili gdy Martyna zdecydowała się na szczerą rozmowę i była gotowa ją spokojnie przeprowadzić, Tobiasz wrócił z pracy z nowiną. Od godziny z ogromnym entuzjazmem opowiadał o rozmowie z szefem, a właściwie już ze współnikiem, i o jego propozycji.

— Teraz się zastanawiam, w którą stronę iść. — Patrzył na Martynę pytająco, a w oczach miał taki ogień, jakiego dawno u niego nie widziała. — Czy włożyć całą energię w pizzerię, czy jednak po prostu spokojnie pracować, zarabiać i odkładać, żeby po jakimś czasie otworzyć własny lokal? Jak sądzisz?

Dziennikarka spojrzała prosto w ciemne oczy mężczyzny.

— To trudna decyzja — odparła. — Musisz wybrać, czy chcesz dalej iść sam, czy z kimś, z kim do tej pory szedłeś razem.

— Masz rację. Muszę to przemyśleć. Bo wiem, o czym marzę, tylko nie wiem, czy „Master” dąży do tego samego.

— Tak, to największy problem. — Pokiwała głową.

W tym akurat mogła się z nim zgodzić.



W nocy nad Świętą Katarzynę nadciągnęły ciemne chmury, z których od rana sypał ciężki, mokry śnieg. Słońce nie mogło przebić się przez tę szarą zasłonę i choć zbliżało się południe, odnosiło się wrażenie, że wciąż jest ciemno jak przed świtem. Mróz co prawda zelżał, ale Diany wcale to nie ucieszyło, bo zasy zaczęły się topić, a po kwadransie odśnieżania buty przemokły jej zupełnie.

— Brrr, ależ paskudnie! — Otrząsnęła się, gdy weszła do kuchni z mokrymi traperami w ręku. — Ciociu, muszę je postawić przy kuchni, są całkiem mokre — poinformowała, z odrazą wyciągając przed siebie obuwie.

— I skarpetki ściągaj natychmiast — zakomenderowała Wanda. — Bo się przeziębisz. Załóż ciepłe kapcie i też siadaj blisko pieca.

Diana posłusznie spełniła polecenia lekarki. Wróciła w ciepłych bamboszach i przysunęła zydelek w pobliże ciepłych kafli.

— Taka zima wcale mi się nie podoba — stwierdziła, krzywiąc się z niesmakiem. — Już wolałam ten mróz. Przynajmniej było słonecznie.

— Raz jest tak, a raz inaczej — odparła ciocia. — Nic się na to nie poradzi. Trzeba przeczekać. W końcu znowu wyjdzie słońce.

— Jak to zabrzmiało! — Diana się uśmiechnęła. — Gotowy cytat motywacyjny. „Złote myśli cioci Wandy”. Ładnie, prawda?

— Ty się ze mnie nie naśmiewaj. — Starsza kobieta pogroziła jej palcem. — Bo za karę nie dostaniesz obiadu.

— Oj, to przepraszam! Ale przecież ciocia wie, że to nie było złośliwie.

— Wiem, wiem. I wcale się nie obrażam. A tak w ogóle to trzeba się cieszyć, że nie musimy nigdzie wychodzić w taką pogodę. Możemy siedzieć w cieple, czytać i niczym się nie martwić.

— W sumie ma ciocia rację — przyznała Diana. — Ja do obiadu nie zamierzam się stąd ruszać. — Z lubością oparła plecy o białe kafle. — Takie miłe ciepło...

Niestety, dźwięk dzwonka telefonu zmusił ją do opuszczenia zydelka. Poszła do pokoju, gdzie przez chwilę z kimś rozmawiała.

— Chyba za wcześnie się cieszyłam tym przytulnym nieróbstwem — powiedziała po powrocie. — Muszę jechać do Kielc.

— Tak nagle? Coś się stało? — zaniepokoiła się Wanda.

— Nic strasznego, spokojnie. Właściwie to nawet mam dobre wieści. Dzwoniła do mnie ta Baranowska, wie ciocia, ta, która daje mi zlecenia na projekty zieleni.

— A tak, pamiętam, wspominałaś mi o niej. To ta, która tak ci pomogła na początku?

— Ta sama — potwierdziła Diana. — Właśnie ma spotkanie ze znajomym, deweloperem, któremu w ramach specjalnej ustawy udało się przepchnąć budowę trzech wysokich apartamentowców. Wspomniała mu o mnie i powiedział, że chętnie porozmawia. Ale teraz, zaraz, bo mu się spieszy.

— Pali się czy co?

— Pewnie gdybym się uparła, to mógłby poczekać do jutra, ale taki projekt to łakomy kąsek. Mógłby się pojawić ktoś inny, komu będzie się chciało odkleić plecy od pieca — zażartowała. — Cóż, ciociu, zima idzie, każda szansa na zarobek jest dobra. Nie mogę tego zlekceważyć. To może być intratne zlecenie — wyjaśniła.

— Tak, rozumiem. — Lekarka odłożyła łyżkę po spróbowaniu zupy. — Kiedy wrócisz?

— Naprawdę nie wiem. — Projektantka rozłożyła ręce. — Ale niech ciocia nie czeka na mnie z obiadem. Najwyżej odgrzeję sobie, gdy wrócę.

— O to się nie martwię. Tylko nie chciałabym, żebyś wracała, gdy już się ściemni. Jeżeli wieczorem znowu ściśnie mróz, to na drogach będzie bardzo ślisko...

— Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Postaram się zdążyć przed zmrokiem — obiecała Diana.



Wanda wiedziała, że Diana nie jest wytrawnym kierowcą. Miała nadzieję, że poradzi sobie z dosyć trudnymi warunkami na drodze i uda jej się bezpiecznie dojechać.

Kto by pomyślał, że będę się miała o kogo troszczyć — stwierdziła, gdy samochód zniknął jej z oczu. — Od lat byłam przekonana, że na starość będę sama. A już z pewnością nie przyszło mi nigdy do głowy, że kiedykolwiek w moim życiu pojawi się młoda osoba.

Już dawno temu uświadomiła sobie, że coś jej umknęło. Coś ważnego. W młodości marzyła o mężu, dzieciach i rodzinie. A potem? Sama nie wiedziała, jak to się stało, że nigdy nie znalazła partnera. Właściwie nawet nie próbowała go szukać. Skoncentrowana na pracy i matce nie zauważyła upływających lat i gdy się ocknęła, okazało się, że jest już po pięćdziesiątce. Gdzie podziała się jej młodość? W lustrze widziała zmęczoną nocnymi dyżurami kobietę, ze srebrnymi pasmami na głowie i zmarszczkami smutku po obu stronach ust. Włosy zaczęła farbować, ale czasu nie była w stanie cofnąć. Musiała pogodzić się z tym, że nie spełni się już jako matka i choć nie raz zdarzało się jej uronić z tego powodu łzę, to starała się tłumić ten żal, bo i tak nic zmienić nie mogła.

A teraz czuję się, jakby to moja córka właśnie pojechała w tę trudną zimową trasę — pomyślała z czułością. — I chociaż wiem, że tak nie jest, to dziękuję losowi, że nasze drogi się skrzyżowały.

Już miała odejść od okna, gdy zauważyła Joannę wychodzącą z domu matki. Dostrzegła też w oknie Marię, która obserwowała córkę zatroskana. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, co czuje sąsiadka i jak gryzie ją to, że córka ma problemy.

Na pewno bardzo chciałyby jej pomóc — pomyślała. — I jej też nie jest łatwo.

Popatrzyła, w którą stronę odchodzi Joanna. Wyglądało na to, że wybiera się na spacer — nie miała w ręku żadnej torby.

Zatem mamy trochę czasu — stwierdziła. — W takim razie spróbuję.

Szybko założyła buty i kurtkę, a na głowę nasunęła czapkę. Wróciła jeszcze na chwilę do kuchni, zabrała z szafki pudełeczko i już po chwili pukała do drzwi willi sąsiadującej z Wrzosową Polaną.

— Dzień dobry, Wando — przywitała ją Maria. — Co cię sprowadza?

— Widziałam, że Joanna wyszła, więc pomyślałam, że przyjdę. Wczoraj nie miałyśmy zbyt wiele czasu na rozmowę, były też dziewczyny...

Spojrzenia kobiet spotkały się na chwilę.

— Wejdz, proszę. — Maria cofnęła się w głąb hallu i zaprosiła Wandę do salonu.

— A może mogłybyśmy usiąść w kuchni? — zapytała lekarka. — Całe lata to było moje ulubione pomieszczenie. I jedyne, w którym tak naprawdę czułam się swobodnie. Twój salon jest piękny, ale na sąsiedzką pogawędkę chyba nazbyt elegancki — wyznała z uśmiechem.

— Masz rację — zgodziła się Maria. — Usiądźmy zatem w kuchni.

Zdobione szafki, duży kredens i stół z pociemniałym drewnianym blatem nadawały pomieszczeniu klasyczny styl.

— O takiej zawsze marzyłam — przyznała Wanda, rozglądając się po dużej kuchni z zachwytem.

— Rozgość się, a ja zrobię kawę.

— Za kawę dziękuję, już dzisiaj piłam, a więcej nie powinnam. — Lekarka uśmiechnęła się przepraszająco.

— Świetnie to rozumiem. Moje serce też już niezbyt dobrze znosi kofeinę. A wszystko przez te litry kawy wypijane podczas nocnego sprawdzania wypracowań.

— Skąd ja to znam! — roześmiała się Wanda. — Podczas nocnych dyżurów też piłam ją bez opamiętania.

— No to sobie ponarzekaliśmy na zdrowie, jak to starsze panie — podsumowała Maria. — Dobrze, że nikt tego nie słyszy. W takim razie pozostaje nam herbata. — Zakrzętała się przy kuchence, żeby przygotować napar. — A teraz powiedz, co naprawdę cię sprowadza — powiedziała, stawiając na stole filiżanki i dzbanek z herbatą. — Bo jakoś trudno mi uwierzyć w te słowa o niedosycie wczorajszych pogaduszek o niczym. Wyglądasz na osobę poważną i konkretną, nie na trzpiotkę lubiącą ploteczki przy kawie.

Wanda sięgnęła do kieszeni swetra i wyjęła pakunek.

— Przyniosłam to dla ciebie. — Podała Marii pudełeczko. — To zioła na poprawę nastroju. Pomyślałam, że wam się przydadzą, zwłaszcza Joannie.

Nauczycielka przez chwilę obracała pudełko w dłoniach.

— Dianie bardzo pomogło — dodała lekarka.

— Uważasz, że dzięki temu Joasia wróci do równowagi? — Maria podniosła wzrok, a Wanda zobaczyła w nim nadzieję i dużo smutku.

— Tylko dzięki temu to raczej nie — odparła szczerze. — Ale w połączeniu ze wsparciem ludzi, którzy dobrze jej życzą i chcą pomóc, z pewnością może przynieść doskonałe skutki.

— To nie takie proste... — westchnęła Maria.

— Domyślam się. Ale nic na początku nie jest. Szczególnie gdy człowiek myśli, że zawalił mu się świat. Wiem coś o tym. I Diana wie.

— Tak, ale ty lepiej wiedziałaś, jak wesprzeć córkę. Ja jakoś nie umiem... — W oczach Marii pojawiły się łzy.

— Widzę, że muszę opowiedzieć ci naszą historię — zdecydowała Wanda. — Zacznę od tego, że Diana nie jest moją córką.

— Jak to?! — Emerytowana nauczycielka nie kryła zdumienia.

— Posłuchaj...

I Wanda opowiedziała sąsiadce o tym, jak Diana znalazła się we Wrzosowej Polanie i jak ona sama tutaj trafiła. Nie zapomniała wspomnieć także o Martynie, Tobiaszu i Krzysztofie Wolińskim. Maria słuchała z wielkim zainteresowaniem. Nie przerwała ani razu, a herbata stygła.

— To niesamowite! — Gospodyni pokręciła z niedowierzaniem głową, gdy Wanda skończyła opowieść. — Trudno uwierzyć, że mogło się zdarzyć.

— A jednak się zdarzyło. Dlatego wierzę głęboko, że jeśli udało się Dianie, Martynie i mnie, to uda się i Joannie.

— Tylko czy ona zechce się otworzyć? — powątpiewała Maria. — Nawet ze mną nie bardzo ma ochotę rozmawiać. Serce mi pęka, gdy widzę, jak pogrąża się w depresji. Mam wrażenie, że straciła chęć do czegokolwiek...

— W takim razie musimy się postarać, żeby ją odzyskała — nie ustępowała Wanda. — I zaraz wymyślimy jak.

Nie od dziś wiadomo, że jeśli kobiety coś sobie postanowią, to znajdą sposób. I dwie starsze sąsiadki także znalazły. Ustaliły wszystko, popijając herbatę z porcelanowych filiżanek.



Martyna skończyła nagrywanie wstępnej rozmowy z kobietą, która robiła motanki. Tradycja wykonywania lalek tą techniką zaciekała dziennikarkę, gdy przypadkiem natknęła się na informacje i krótkie filmy w sieci. Postanowiła znaleźć osobę, która się tym zajmuje, i dzięki swojemu poprzedniemu rozmówcy — ludowemu malarzowi, udało jej się uzyskać kontakt. Jasia okazała się niezwykle miłą osobą i do tego potrafiła zajmująco opowiadać o swoim zajęciu. Co prawda, początkowo nie bardzo chciała być bohaterką programu, ale Martyna zdołała ją przekonać.

— Dziękuję, pani Jasiu. — Uścisnęła dłoń kobiety po nagraniu. — Teraz na podstawie pani opowieści rozpiszę scenariusz i niedługo ustalimy termin nagrania. Przyjadę z operatorem i nakręcimy panią przy pracy.

Ciekawe tylko, skąd wezmę operatora — pomyślała z niechęcią, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno.

— Pani Martynko, ale naprawdę potrzebne to kamerowanie? — Artystka wciąż była pełna wątpliwości. — Przecież ja nie wyglądam...

— Wygląda pani, wygląda — zapewniła dziennikarka. — A my już zadbamy, żeby było doskonale.

— Jak mus, to trudno — westchnęła z rezygnacją kobieta.

— Zadzwoń do pani niedługo — obiecała Martyna.

Na odchodne pani Jasia wcisnęła jej w dłoń papierową torebkę.

— Drożdżowe mojego wypieku — wyjaśniła nieco zawstydzona. — W podziękowaniu, że się pani chciało taki szmat drogi do mnie jechać.

— To raczej ja powinnam podziękować...

Nigdy żaden z jej rozmówców ze sfery polityki czy biznesu nie wpadł na to, że mógłby być wdzięczny za poświęcony czas. A prosta kobieta z niewielkiej wioski potrafiła to docenić.

Jednak wolę swoją obecną pracę — uznała, pakując ciasto na tylne siedzenie samochodu. — Sami przyjaźni i dobrzy ludzie.

Nie była tylko pewna, czy będzie mogła nadal realizować plany. I to bardzo ją martwiło.

Ruszyła w drogę powrotną, ciesząc się w duchu, że ma dobry, solidny samochód z napędem na cztery koła i systemem ułatwiającym jazdę po śliskiej nawierzchni. Z lekkim niepokojem spoglądała na termometr na kokpicie, który pokazywał coraz niższą temperaturę. Włączyła swoją ulubioną składankę do jazdy — mieszankę polskiego i zagranicznego rocka z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Przy mocnych rytmach czuła się pewniej.

Najważniejsze to dotrzeć do większej drogi — rozmyślała, pokonując kolejne kilometry wiejskiej szosy. — Tam powinno być na bieżąco odśnieżane i sypane solą, więc może nie będzie ślisko.

Telefon zadzwonił, akurat gdy wyjechała na drogę krajową i mogła nieco odetchnąć.

— Cześć, Martyna. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Głos Krzysztofa z jednej strony ją ucieszył, ale z drugiej sprawił, że się spięła. Domyślała się, o co chciał zapytać.

— Wracam z nagrania — odparła. — Siedzę za kółkiem, ale mogę rozmawiać przez głośnomówiący.

— A gdzie ty się wybrałaś w taką pogodę?

— Byłam w jednej wiosce, w okolicach Końskich.

— Na drodze robi się szklanka. Uważaj, bo warunki są naprawdę kiepskie.

— Spokojnie, już jestem na głównej — odparła uspokajająco. — Tutaj sucho, więc pruję na Kielce.

— Może pruj wolniej, co? — zaproponował.

— Okej, pruję wolniej. — Uśmiechnęła się.

— Nagrywaliście z Tobiaszem?

Krzysztof zaczął zmierzać do tematu, który Martyna od razu przewidziała.

— Nie. Jestem sama. Nagrywałam tylko dźwięk.

— Uff, czyli mogę mówić wprost — odparł z ulgą. I zaraz zadał pytanie, którego dziennikarka wolałaby nie usłyszeć: — I co? Rozmawiałaś z nim?

Zastanawiała się, czy nie odpowiedzieć wymijająco, ale właściwie po co miałyby oszukiwać Krzysztofa? Skoro zwierzyła mu się z problemu, to powinna i teraz być szczerą. Zresztą co jej przyjdzie z kłamstwa czy wykrętów?

— Chciałam. Ale okazało się, że szef zaproponował mu spółkę. Tobiasz jest taki szczęśliwy, jakby wygrał w lotto — skwitowała z lekkim przekąsem. — Nawet nie poruszyłam tematu wyjazdu, bo widzę, że nie ma sensu.

— No tak, skoro pojawiły się nowe okoliczności, to trzeba je wziąć pod uwagę.

— Pod uwagę?! — zdenerwowała się Martyna. — A cóż to za okoliczności? Udziały w niewielkim lokalu bez gwarancji stałego zysku?!

— Nie zawsze zysk jest najważniejszy — zauważył Woliński.

— Tak, tak, jasne — ironizowała dziennikarka. — Ważniejsze są nieracjonalne argumenty. I to mówisz ty? Biznesmen?

— Tak — odparł krótko. — I powiem więcej: są sytuacje, w których uczucia i emocje mają większą wartość niż nawet największy zarobek. I są decydujące.

Martynę zdziwiła ta odpowiedź. Nie spodziewała się jej po Krzysztofie.

— Uważasz, że powinnam zrezygnować z wyjazdu?

— Tego nie powiedziałem. Twierdzą, że musisz rozważyć decyzję nie tylko w aspekcie kariery i zarobków, ale też w kontekście bardziej, jak go nazwałaś, nieracjonalnym.

Czuła, że jej rozmówca ma rację, ale nie była gotowa tego przyznać.

— Na razie muszę rozważyć, czy wyprzedzić ciężarówkę przede mną, czy jednak jest zbyt ślisko — odparła żartobliwie i wymijająco.

— W tym wypadku akurat odradzam kierowanie się emocjami — roześmiał się Woliński. — Ale wierzę, że dokonasz dobrego wyboru.

Nie była pewna, czy mówi o sytuacji na drodze, czy w życiu.



Joanna wróciła ze spaceru mocno zziębnięta. Weszła do kuchni i roztarła dłońmi zaczerwienione policzki.

— Gdzie ty chodziłaś tak długo? — Maria załamała ręce. — Już zaczynałam się martwić.

— Przecież jestem dorosła — odparła córka. — I znam tu każdą ścieżkę.

— To wiem, ale dla mnie zawsze będziesz moją małą córeczką.

— Też chciałabym wciąż nią być. — Joanna spojrzała na matkę ze smutkiem. — Wtedy było łatwiej...

— Teraz tak mówisz. — Maria wzięła mokre rękawiczki i czapkę córki, po czym rozłożyła na grzejniku. — A pamiętasz, jak rozpaczałaś, kiedy rozchorowałaś się i nie mogłaś pojechać do kina? Albo kiedy Małgosia miała nowe dzinsy, a ty nie? — przypomniała. — Wtedy mówiłaś, że to koniec świata i że nie chce ci się żyć.

— Mamo! — Joanna się skrzywiła. — Przecież to jakieś nastoletnie dramy. Nawet o nich nie pamiętam...

— Właśnie. Teraz już nie pamiętasz. Ale wtedy to były dla ciebie prawdziwe tragedie.

Córka spojrzała na nią spod oka.

— Co ty chcesz mi powiedzieć?

— Absolutnie nic. — Starsza pani uśmiechnęła się lekko. — Zrobię herbatę z sokiem malinowym, szybciej się rozgrzejesz.

Odwróciła się, żeby włączyć czajnik.

— A mnie się wydaje, że jednak coś sugerujesz — nie dała się zbyć Joanna. — Tylko że to kiepskie porównania, mamó. Naprawdę uważasz, że kino i dzinsy to ten sam kaliber co utrata pracy?

Maria usiadła naprzeciw córki.

— To zależy. Dla nastolatki stracony seans jest równie bolesny jak dla dorosłego strata posady. Nie ma obiektywnego sposobu oceny cierpienia, jakiejś tabelki ani skali. A żeby kogoś zrozumieć, nie można patrzeć ze swojej perspektywy, ale z jego. Potrafisz sobie wyobrazić, co czułabyś wtedy, gdybyś usłyszała od kogoś to, co powiedziałaś przed chwilą?

Joanna zastanowiła się i w końcu powiedziała:

— Chyba rzeczywiście masz rację. Poczulałabym się niezrozumiana, skrzywdzona i bardzo samotna...

— Sama widzisz. — Matka poklepała ją po dłoni. — Dlatego nie sądź, że próbuję umniejszyć twoje kłopoty albo uważam je za nieważne. Chciałam ci tylko pokazać, że z czasem zmienia się punkt widzenia i pewne rzeczy wyglądają inaczej.

— Aha, czyli idziemy w stronę wyświechtanych pocieszeń. Czas leczy rany, pożyjesz i zapomnisz? — Córka pokręciła głową z niezadowoleniem.

— I znowu się mylisz — odparła matka. — Chociaż niewątpliwie coś w tych powiedzeniach jest, ale o tym przekonujemy się dopiero, gdy ten czas upłynie.

Podniosła się i zajęła przygotowaniem herbaty. Córka w milczeniu czekała.

Kiedy dzbanek gorącego naparu stanął na stole, a matka napełniła nim duże filiżanki, Joanna znowu się odezwała:

— To nie takie proste, mamó. Może i masz rację, może kiedyś uznam, że już mnie to nie boli, może zapomnę, ale teraz jest mi cholernie źle! I nie mogę sobie z tym poradzić — westchnęła rozdzierająco. — Żebym chociaż wiedziała, ile tego czasu musi upłynąć...

— Tyle, ile trzeba — odparła matka. — Ale bądź pewna, że w końcu upłynie.

Joanna pochyliła się nad filiżanką.

— Wiesz, rozmawiałam z Wandą, gdy byłaś z Dianą w pracowni. — Maria uznała, że przyszedł czas na wprowadzenie córki w plan, który ustaliła z sąsiadką.

Nie powiedziała o ostatnim spotkaniu, bo tak się umówiła z lekarką. Wszystko musiało wyglądać naturalnie, a młode kobiety nie mogły się domyślić, że seniorki zawarły jakiś pakt.

— Mówiła, że Diana też wiele przeszła. I podobno całe jej życie legło w gruzach.

Zerknęła, żeby sprawdzić, jakie wrażenie jej słowa wywarły na córce. Joanna nadal patrzyła w filiżankę, ale znieruchomiła, Maria postanowiła więc kontynuować.

— Nie znam szczegółów, ale Wanda mówiła, że było z nią bardzo kiepsko. Żeby uciec, sprzedała mieszkanie i kupiła tutaj dom. Zaczęła wszystko od nowa. Robi warsztaty dla dzieci, no ale co ja ci opowiadam, to przecież wiesz. — Machnęła ręką. — W każdym razie Wanda trochę się martwi. Chodzi o stodołę. Pamiętasz?

— Tak — mruknęła Joanna. — Nie ma tam ogrzewania.

— Właśnie — przytaknęła matka. — I Wanda się boi, żeby przez to Diana znowu się nie załamała. Bo jak nie będzie miała co robić, to wiesz, zaczniesz znowu rozmyślać i rozpamiętywać przeszłość...

Chyba plan zaczyna działać — pomyślała z lekkim uśmiechem.

— Żal mi Wandy, bo widzę, że się przejmuje — mówiła dalej zgodnie z ustalonym scenariuszem. — I Diany też mi szkoda. To taka miła i uczynna młoda kobieta, prawda? Pomyślałam sobie, że u nas przecież jest wielki garaż. Samochodu od dawna nie ma, warsztat przestał być warsztatem, odkąd tata odszedł. To skoro stoi nieużywany, można by udostępnić go Dianie, dopóki nie wyremontuje swojej stodoły? Co ty na to?

Córka wreszcie podniosła głowę.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej — przytaknęła Maria. — Budynek jest murowany, ogrzewanie wystarczy odkręcić i gotowe. A stoi przecież tuż przy granicy naszych podwórek, więc kilka desek z płotu można wyjąć, żeby zrobić przejście.

Joanna zmarszczyła czoło.

— Czy ja wiem... — Zawahała się. — Co innego pójść raz czy dwa na herbatę, a co innego oddawać warsztat i garaż. Nie boisz się, co ludzie powiedzą? Przecież one przyjaźnią się z tą czarownicą i mieszkają w domu po...

— Nie z czarownicą, tylko z zielarką — przerwała jej matka. — I dziwię się, że akurat ty mówisz coś takiego. Nie tak cię z ojcem wychowywaliśmy. A co do ludzi... — Wstała i wyprostowała ramiona. — Co do ludzi to powinnaś doskonale rozumieć, jak to jest, gdy cię niesprawiedliwie oceniają. I jak ludzkie języki potrafią skrzywdzić.

Joanna zaczerwieniła się, słowa matki wywarły zamierzony skutek.

— Ja w każdym razie wybieram się do nich z propozycją. Ty zrobisz, jak zechcesz, ale mam nadzieję, że pójdziesz ze mną — zakończyła dyskusję Maria.



Stach, podtrzymywany przez Daniela, powoli usiadł na łóżku. — Chwilę odpocznę — powiedział, starając się uspokoić oddech. — A potem jeszcze jedna rundka.

— Nic z tego. — Fizjoterapeuta pokręcił głową. — Na dzisiaj wystarczy. Przyjadę pojutrze i wtedy zobaczymy.

— Ale ja siły mam — zapewnił starzec. — Tylko ta noga jeszcze nie chce mnie słuchać.

— Zacznie słuchać w swoim czasie — uspokoił go Daniel. — I tak jest coraz lepiej. Przecież sam pan widzi.

— Niby lepiej, ale nadal niezbyt dobrze — mruknął Stach. — Ja bym jeszcze spróbował.

— Żeby wszyscy moi pacjenci mieli tyle zapału do ćwiczeń, to praca byłaby dużo łatwiejsza. — Rehabilitant się uśmiechnął.

— Czyli próbujemy? — Starzec już chciał podnosić się z posłania.

— Nie — zaprotestował młody mężczyzna. — Zapał to jedno, a brak rozsądku to drugie.

— Ja nie wiem, czy taki młokos powinien w ten sposób zwracać się do starszego. — Stach zmarszczył krzaczaste brwi.

— Nie zwracałby się, gdyby ten starszy był tak rozsądny, jak by z wieku wynikało. — Daniel mrugnął porozumiewawczo, zupełnie niewzruszony srogą miną pacjenta.

Starzec nie potrafił dłużej utrzymać udawanej powagi.

— Ależ ty jesteś bezpośredni, młody człowieku! Podoba mi się to! — Uderzył dłonią w udo. — Przynajmniej szczerze mówisz i nie roztkliwiasz się nade mną jak Greta i Wanda.

— Pani doktor to chyba taka bardziej rzeczowa jest — zauważył Daniel.

— O, to ty jeszcze w ludziach dobrze czytać nie umiesz — uznał starzec. — Ona z pozoru tylko taka oschła i niedostępna. A ja wiem, że się martwi. Bo gdyby było inaczej, toby cię tutaj nie ściągnęła.

— W sumie racja — zgodził się rehabilitant. — Ale to chyba nic złego, że się troszczą, prawda? Każdy chciałby obok mieć kogoś takiego.

Stach zerknął na młodzieńca spod oka.

— Każdy, czyli ty?

Daniel wzruszył ramionami.

— Każdy, czyli każdy. Ja też.

— To nie ma na co czekać — odparł Stach. — Szukaj takiej osoby, póki młody jesteś.

— Nic na siłę. — Daniel zdjął rękawiczki i błękitny strój, w którym pracował. — Mam czas. Poza tym jak coś mi pisane, to przyjdzie. Na razie skupiam się na pracy.

Stach patrzył, jak chłopak skrupulatnie składa rzeczy i układa je w torbie.

— Mnie, starego, nie oszukasz — powiedział spokojnie. — Widzę więcej, niż chciałbyś mi pokazać. I mogę ci powiedzieć, że są sprawy, których nie warto odkładać. Bo samo nic w życiu nie przychodzi. A jeśli o to nie zadbasz, to później jest coraz trudniej. I na stare lata człowiek zostaje sam jak palec.

Fizjoterapeuta popatrzył na pacjenta i uśmiechnął się lekko.

— Coś mi się wydaje, że pan nie jest tak zupełnie sam.

— A czy ja mówiłem, że o mnie chodzi? — Starzec wzruszył ramionami.

— Młodzi też czasami widzą więcej, niż ktoś chce pokazać...

— Czy ty przypadkiem nie za mądry jesteś, co? — Stach pogroził mu palcem.

— To zobaczymy pojutrze. Jeśli pan się zastosuje do moich wskazań, uznam, że pan jest mądrzejszy. A jeśli nie...

— Idźże już, młokosie! — Stach roześmiał się tubalnie.



Diana była zaskoczona widokiem sąsiadek, ale nie dała tego po sobie poznać.

— Proszę, wejdźcie — zachęciła. — Ja co prawda dopiero co wróciłam z Kielc, ale z przyjemnością napiję się kawy w miłym towarzystwie.

— Kawę to z pewnością piłaś już podczas spotkania. — Wanda stanęła w drzwiach werandy. — O tej porze kuchnia serwuje tylko ziołową herbatkę — dodała z uśmiechem. — No, wchodźcie dalej, bo tutaj zimno. Muszę się wam pochwalić, że Diana dostała nowe, duże zlecenie na projektowanie zieleni — oznajmiła z dumą.

— Oj, ciociu! To jeszcze nie jest pewne, na razie mam przygotować wstępną koncepcję — sprostowała Lisowska.

— Ale jestem pewna, że im się spodoba — odparła Wanda z przekonaniem. — Zaraz wzniesiemy herbatką toast za sukces przedsięwzięcia. — Uśmiechnęła się do gości.

Gdy wszystkie usiadły przy stole, zagadnęła:

— Najwyraźniej i wam długie zimowe popołudnia dają się we znaki. I tęsknicie za towarzystwem. Jak to dobrze, że się poznałyśmy!

— To prawda, ja też jestem z tego powodu bardzo zadowolona — odparła Maria.

— Może masz ochotę spróbować swoich sił w garncarstwie? — zwróciła się Diana do Joanny, która do tej pory nie powiedziała jeszcze ani słowa.

— Chętnie, ale mówiłaś, że dopiero wróciłaś ze spotkania, więc pewnie masz raczej ochotę na odpoczynek... — Joanna zerknęła na matkę.

— Dla mnie glina i koło to właśnie odpoczynek — zapewniła Lisowska.
— Niech nasze damy piją ziółka, a my pójdziemy do pracowni.

Maria gestem zatrzymała dziewczynę.

— Najpierw chciałyśmy porozmawiać, dobrze? Bo tak naprawdę przyszyliśmy w pewnej konkretnej sprawie.

Diana z powrotem opadła na krzesło.

— Brzmi poważnie — zauważyła.

— Bo to poważna sprawa — potwierdziła starsza sąsiadka.

Wanda zajęła swoje miejsce przy stole i popatrzyła wyczekująco.

— Mam parzyć zioła na uspokojenie czy po prostu rozgrzewającą herbatkę? — zapytała z miną niewiniątka.

— Myślę, że na razie żadną — odparła Maria. — Może jak wrócimy.

— A dokąd się wybieramy? — zdumiała się Diana.

— Mam nadzieję, że tak. — Maria pokiwała głową.

— Strasznie to wszystko tajemniczo brzmi...

— Bo nie dasz Marii dojść do głosu — zniecierpliwiła się Wanda.

— Ojej, przepraszam — naburmuszyła się Diana.

— Dobrze już, nic się nie stało — uspokoiła ją sąsiadka. — To ja zbyt przedłużam, zamiast przejść do rzeczy. — Poprawiła się na krześle, przysunęła do córki i objęła ją ramieniem. — Rozmawialiśmy dziś z Joasią o naszej ostatniej wizycie u was i przyszło nam do głowy, że chyba możemy ci pomóc.

Diana spojrzała pytająco, ale pomna uwagi Wandy, nie powiedziała ani słowa.

— Wspomniałaś, że musiałaś zawiesić na zimę prowadzenie warsztatów, bo twój lokal nie ma ogrzewania.

— Lokal?! — roześmiała się Diana. — To zwykła stodoła, a nie żaden lokal. O, przepraszam! — Przykryła dłonią usta. — Znowu przerwałam...

— Niech będzie stodoła — zgodziła się Maria. — W każdym razie tak się składa, że mamy chyba coś w nieco wyższym standardzie. I z ogrzewaniem. Byłabyś zainteresowana?

— Tak? A gdzie? Daleko?

— Całkiem blisko, tuż za płotem.

Diana była zdezorientowana.

— Jak to?!

Maria spojrzała na córkę.

— Zaprowadzisz Dianę?

— Oczywiście.

Lisowska błyskawicznie się ubrała i ruszyła za młodą sąsiadką. Przeszły na sąsiednie podwórze, Joanna zatrzymała się przy murowanym budynku i otworzyła drzwi, po czym włączyła światło.

— To jest właściwie garaż — wyjaśniła. — Tata trzymał w tamtej części samochód, a tutaj miał coś w rodzaju warsztatu. Lubił czasami coś naprawić, choć właściwie nie wiem dokładnie, co tu robił. W każdym razie od lat to wszystko stoi bezużyteczne.

Diana rozejrzała się dookoła i nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

— Naprawdę mogłabym skorzystać z tych pomieszczeń?

— Jeżeli będą ci odpowiadać.

— Oczywiście, że będą! — zapewniła uradowana Lisowska. — O niczym więcej nie marzę! A jakie tu jest ogrzewanie?

— Tata miał dwa piecyki elektryczne — wyjaśniła Joanna. — Naprawdę chcesz tu prowadzić zajęcia? — upewniła się z niedowierzaniem.

— Jakbyś zobaczyła moją stodołę, tobyś nie zadawała takich pytań — roześmiała się Diana. — To w porównaniu z nią luksusowe wnętrza. Ale w sumie ci się nie dziwię, ja też na początku wątpiłam, czy dam radę. Dopiero potem przekonałam się, że nieważne gdzie, ważne co. I trzeba chcieć — wyjaśniała z zapałem. — No oczywiście nie wszystko da się przeskoczyć, na przykład mróz albo dziurawe ściany... — Mrugnęła do

Joanny. — Ale że mi się trafi taka niespodzianka! Jejku, ależ wam dziękuję! — Szybkim krokiem przemierzała pomieszczenie i mówiła: — Miejsca na stoły jest dosyć. Tylko będę musiała tu trochę posprzątać. Pokażesz mi, gdzie mogę przestawić te narzędzia? Skombinuję jakieś pudła, dopilnuję, żeby nic nie zginęło — zapewniła. — Potem tylko szybkie malowanie i chyba w nowym roku będę mogła zacząć...

Joanna przyglądała się jej.

— Mogę ci pomóc w tym sprzątaniu — zaoferowała.

— Naprawdę?

— Cóż, i tak nie mam tu nic do roboty. — Wzruszyła ramionami. — Może dzięki temu czas będzie mi szybciej mijał...

— Skoro tak, to przyjmuję ofertę. — Diana uśmiechnęła się z wdzięcznością. — We dwie szybciej się z tym uporamy. To co? Wracamy do mnie na herbatę?

Joanna uściśnęła dłoń Diany i skinęła głową.

— To co im powiemy? Że wolimy zioła na uspokojenie czy herbatkę rozgrzewającą? — zapytała z lekkim uśmiechem.

— Raczej herbatkę — odparła Diana. — Chociaż jestem tak podekscytowana, że nie wiem, czy dzisiaj usnę.

— Pierwszy raz widzę, żeby ktoś cieszył się z brudnego garażu.

— O, moja droga, jeśli pół roku wcześniej nie ma się niczego, to garaż może być prawdziwym skarbem — zapewniła Diana. — Nauczyłam się cieszyć ze wszystkiego i przekonałam, że to dużo lepsze niż rozmyślanie o zmartwieniach. No ale wracajmy. Nasze seniorki już się na pewno nie mogą doczekać naszego powrotu. A ja muszę podziękować twojej mamie. Ależ mi niespodziankę sprawiłyście! Joaśka, nie masz pojęcia, jaka jestem zadowolona!



Greta zdjęła chustę z głowy i spojrzała na stojący przy łóżku wózek inwalidzki.

— A to skąd?

Stach usiadł na posłaniu, a następnie całkiem sprawnie przesiadł się na wózek. Podjechał do kominka, sięgnął po jedno z polan ułożonych obok paleniska, i włożył je do ognia.

— Całkiem nieźle. — Zielarka z uznaniem skinęła głową.

— Daniel przywiózł mi tę karete — wyjaśnił Stach. — I nauczył, jak tym jeździć. Nie powiem, wolałbym chodzić na własnych nogach, ale skoro to ma mi zaszkodzić, to niech już będzie tak.

— O, jaka zmiana! — Greta sięgnęła do dużej torby, którą ze sobą przyniosła, i wyjęła z niej otulony grubym płótnem gliniany garnek. — Ten młodzik chyba cię zaczarował.

— Od czarów to tutaj kto inny jest — odciął się starzec. — A jak ktoś mądrze radzi, to głupotą jest nie słuchać.

— Tylko nie mów, że na tym — Greta wskazała wózek — po drewno pojechałeś.

— Aż tak dobrze to nie jest. Próg za wysoki, poza chałupę nie wyjadę.

— To i dobrze — skwitowała. — Jeszcze byś się na Łysicę chciał wybrać...

— Żebyś wiedziała — odparł z przekonaniem. — Ręce mam silne, dałbym radę. Chociaż na szczęście nie muszę. Daniel powiedział, że robię

szybkie postępy, więc może niedługo cię zaskoczę i powitam, stojąc na własnych nogach. A drewno to właśnie Daniel przyniósł, na zapas.

— To i dobrze — ucieszyła się zielarka. — Ja już nosić nie będę musiała. Za to mam dla ciebie gołąbki. Jeszcze ciepłe doniosłam. Nałożyć ci od razu?

— Pewnie, nałóż — zgodził się Stach. — Sobie też. Razem zawsze lepiej jeść.

Kobieta wyjęła talerze, nałożyła na każdy po dwa duże gołąbki, pokroiła chleb i postawiła posiłek na stole. Stach podjechał do blatu i od razu zabrał się do jedzenia.

— Bardzo dobre — pochwalił, zagryzając chlebem.

— Widzę, że i apetyt ci wraca.

— Trzeba jeść, żeby sił nabierać.

— Domyślam się, że Daniel tak powiedział. — Kobieta się uśmiechnęła.

— Tu sobie ze mnie żarty urządzasz, a ja ci powiem, że ten młody człowiek ma więcej rozumu niż niejeden stary. — Stach wytarł sos pomidorowy z wąsów. — Nie żadne kiełbkie we łbie, ale poważnie myślący, a i słuchać potrafi. Na swoim fachu też się zna.

— To i dobrze. A już najlepiej, że ciebie do ćwiczeń przekonał. Humor też masz dzięki niemu lepszy, jeść zacząłeś. To dla mnie rekomendacje, wiek nie ma znaczenia.

— Żebyś wiedziała — zgodził się z nią Stach. — Muszę Wandzie podziękować, że go tu sprowadziła. Głupi byłem, że protestowałem — przyznał. — Ale teraz już wiem, że miała rację.

— To już święto prawdziwe — roześmiała się Greta. — Że ty się do błędu przyznajesz i jeszcze do tego, że kobieta mądrzejsza od ciebie!

— Tu już zaprotestować muszę — zachnął się Stach. — Nigdy kobiet w pogardzie nie miałem. Przeciwnie, kobiecą mądrość cenię. I dlatego Wandzie rację przyznaję i wdzięczność mam za to, że mój opór złamała.

— To sam jej to powiedz.

— A powiem. Gdy tylko się pojawi. — Odsunął pusty talerz i wytarł usta wierzchem dłoni. — Właśnie, co się z nią dzieje? Odkąd Daniela przywiozła, więcej się nie pokazała. Dobrze u niej wszystko? Zdrowa?

— Zdrowa, zdrowa — uspokoiła go Greta. — Ale teraz inne zajęcie ma.

— A jakież to? Znowu kogoś pod nóż wpycha? — zażartował starzec.

— Z sąsiadkami przyjaźń zawarła — wyjaśniła krótko Greta.

Ona również skończyła posiłek, wstała i zebrała talerze ze stołu.

— Z którymi sąsiadkami? — zainteresował się Stach. — Bo obok nich to chyba z jednej strony mieszkają...

— Z dyrektorką Marią i jej córką — przerwała jego domysły zielarka.

Starzec zamilkł. Greta wlała do garnka wodę i postawiła na kuchni, żeby zagrząć ją do zmywania.

— Masz tu jeszcze cztery gołąbki. — Wskazała na garnek. — Zjesz sobie później.

Stach podjechał do kobiety i zagadnął:

— Bardzo się zaprzyjaźniły?

— Odwiedzają się, piją razem herbatę, rozmawiają. — Greta wzruszyła ramionami. — Córka Marii do domu wróciła, podobno ma jakieś problemy. Diana chce jej pomóc. Ot, tyle...

— Ot, tyle — powtórzył mężczyzna.

— Zmyję talerze, herbaty ci naparzę i będę szła. — Zielarka odwróciła się w stronę kuchni.

— Nie boisz się? — usłyszała.

Powoli odstawiła garnek z wrzącą wodą.

— Greto...

Pochyliła głowę.

— A czego ja się mam bać? — powiedziała cicho.

— Co, jeśli im powiedzą?

— Co będzie, to będzie. Mnie już nic nie zaskoczy.

— A nie myślałaś, żeby porozmawiać z Wandą i Dianą? Żeby im powiedzieć? Może powinny poznać prawdę?

Zielarka odwróciła się gwałtownie i popatrzyła starcowi w oczy.

— Jaką prawdę? Którą? Bo każdy ma swoją...

Stach pokiwał głową.

— Ano ma. I ty masz swoją. O niej powiedz.

— Po co? Jakie to ma znaczenie? Czy rozdrapywanie starych ran coś zmieni? — Greta usiadła na zydelku i ukryła twarz w dłoniach.

Mężczyzna położył sękatą dłoń na jej ramieniu.

— Nie ma mowy o żadnym rozdrapywaniu. Te rany nigdy się przecież nie zagoiły.

Podniosła głowę.

— Tym bardziej grzebać w nich nie będę — powiedziała ze złością. — I rozmawiać o tym więcej nie chcę.

— Ja cię zmuszać do niczego nie zamierzam — zapewnił Stach. — Sam wiem, jak dawne dzieje mogą boleć. Ale powiem ci tyle, że upór nic dobrego nie przynosi. A tylko zaszkodzić może...

Zielarka wstała i oznajmiła:

— Skończę, co mam do zrobienia.

Zmyła naczynia, przeniosła dzbanek z herbatą na szafkę przy łóżku i pożegnała Stacha.

— Jutro przyniosę rosołu — powiedziała na odchodne. — Chyba że masz ochotę na coś innego.

— Zjem, co zrobisz.

Popatrzył, jak poprawia chustę na głowie i wychodzi, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Oby więcej złego jej nie spotkało — pomyślał. — Swoje już w życiu wycierpiała.



Pracowały z Joanną intensywnie przez dwie godziny, aż w końcu Diana uznała, że powinny odpocząć.

— Chwila przerwy, żeby zregenerować siły — zarządziła.

Przysiadły na drewnianych skrzynkach wyciągniętych z kąta garażu. Joanna chciała je wykorzystać na szpargały, ale Diana uznała, że świetnie nadadzą się na siedziska.

— Pomaluję je, a na razie wypróbujemy, czy wygodne — stwierdziła.

— Mama powiedziała, żebyśmy przyszły do domu na kawę, ale stwierdziłam, że będziemy całe w kurzu, więc dała to. — Joanna postawiła termos i dwa kubki na podłodze.

— Super!

Nalały sobie kawy i w milczeniu patrzyły na efekty dotychczasowej pracy. Na razie zapełniły kilka pudeł śrubkami i narzędziami. Maria uznała, że mogą wszystko wyrzucić, ale Diana zaprotestowała. Stańło na tym, że zniosą wszystko do piwnicy. Stół roboczy i półki powoli pustoszały.

— Będzie mnóstwo miejsca na narzędzia i materiały — cieszyła się Lisowska. — To dobrze, bo gdybym miała to wszystko nosić za każdym razem...

— Gdzie nauczyłaś się garncarstwa? — zagadnęła Joanna.

— Kiedyś poszłam na warsztaty i złapałam bakcyła — wyjaśniła. — Prawdę mówiąc, na początku miałam więcej chęci niż umiejętności. Ale to

we mnie tkwiło. Potem trochę zarzuciłam lepienie, jak właściwie większość rzeczy, które lubiłam. — Posmutniała na chwilę.

Joanna zrozumiała, że dotknęła czulej struny w sercu koleżanki.

— Ale w końcu wróciłaś do tego. — Spróbowała sprowadzić jej myśli na weselsze tory.

— Tak. Kiedy tu przyjechałam, chciałam mieć coś, co mi pomoże poradzić sobie ze złymi myślami, przy czym będę mogła zapomnieć, zrelaksować się... — Popatrzyła na Joannę. — A ty próbowałaś kiedyś rękodzieła?

— Właściwie nie... Chociaż... — Zawahała się. — Podobnie jak ty kiedyś poszłam na warsztaty robienia mydeł. Podobało mi się i nawet wyszło niezłe, więc kupiłam, co trzeba, z myślą, że będę robiła te mydełka dla siebie i znajomych.

— I co?

— I nic. — Joanna rozłożyła ręce. — Mój ówczesny partner wciąż narzekał, że robię bałagan, i w końcu schowałam wszystko do pudła. Od tamtej pory nie wyjełam.

— Nie żałujesz?

— Czasami o tym myślę — przyznała sąsiadka. — Wiesz, można robić mydła o różnych zapachach i w różnych kolorach, kształtach. Albo zatapiać w nich rośliny... Ech, dobra, było, minęło. — Uśmiechnęła się nieco sztucznie. — Doleję sobie jeszcze kawy.

— Pewnie, i tak zrobiłyśmy już dużo.

— Wiesz, zazdrozczę ci tej energii i siły — wyznała nagle Joanna. — Patrę, jak angażujesz się we wszystko, co robisz, i jestem pełna podziwu. Ja tak nie potrafię...

— Nie wierzę — zaprotestowała Diana. — Słyszałam, jak mówiłaś o pedagogice. Kilka zdań zaledwie, ale widać, że cię to kręci.

— Kręciło — sprostowała. — Już przestało.

— Ej, kochana, nie wierzę. — Diana poklepała ją po ramieniu. — Słyszałam co innego w twoim głosie.

— Może i tak, ale ze szkołą nie chcę mieć już nic wspólnego. Tego akurat jestem pewna — odpowiedziała z przekonaniem Joanna.

— No to zabrzmiało całkiem serio. I ja to szanuję. — Projektantka skinęła głową. — Ale w sumie to też ważne, że wiesz, czego nie chcesz. Ja w ten sposób zaczęłam zmieniać swoje życie.

— Serio? — Joanna spojrzała z niedowierzaniem.

— Jak najbardziej.

— I tak właśnie się tutaj znalazłaś?

— W pewnym sensie.

Diana także dołała sobie kawy, upiła spory łyk. Uznała, że powinna podzielić się z Joanną swoją historią.

Sąsiadka słuchała z uwagą.

— I tak to właśnie było — zakończyła Diana opowieść o Mateo. — Zostałam sama, zdradzona, ze świadomością, że byłam oszukiwana. Załamałam się totalnie. Zleceniodawczyni trochę postawiła mnie do pionu. A potem odkryłam Jagodno i tam właśnie zrozumiałam, że jeśli się nie wie, czego się chce, to warto pomyśleć, czego się nie chce. A ja nie chciałam już miasta, toksycznych facetów ani życia w pozornej wesołości. Sprzedałam mieszkanie, kupiłam ten dom, wzięłam kota pod pachę i przyjechałam.

— Nie bałaś się tych zmian?

— Bałam się bardzo. Ale też i nie do końca się nad tym zastanawiałam. Poszłam na żywioł. Mnóstwo rzeczy mnie przerosło, a jeszcze mój były postanowił w ramach zemsty wykończyć mnie psychicznie. Nie będę oszukiwać: na początku byłam częściej w dole niż na fali.

— I jak sobie z tym dałaś radę? — zainteresowała się Joanna. — Sama z tym wszystkim...

— A widzisz, okazało się, że nie jestem sama, chociaż wcześniej tak myślałam. W ogóle nie chciałam widzieć ludzi, miałam dość wszystkiego

i wszystkich.

— Jak ja to rozumiem... — westchnęła sąsiadka.

— Na szczęście ludzie się tym nie przejmowali. To znaczy, niektórzy. Ci, którym nie jest obojętny drugi człowiek. Najpierw pojawiła się Greta, potem Martyna. Jeszcze jej nie znasz, ale na pewno poznasz. Świetna kobieta. Też miała problemy, ale jakoś razem się odnalazłyśmy w tym nieszczęściu i wsparłyśmy wzajemnie. A potem jeszcze Wanda...

— To ona nie jest twoją mamą? — Na twarzy Joanny odmalowało się zaskoczenie.

— Nie jest. Ale pomogła mi bardziej niż ktokolwiek i jest mi teraz tak bliska jak matka. Ale to już opowieść na kolejną przerwę, bo przecież nie jesteśmy tu po to, żeby przegadać cały dzień — stwierdziła ze śmiechem Lisowska. — W każdym razie jestem wdzięczna tym, którzy mi pomogli, chociaż robiłam wtedy wszystko, żeby ich do siebie zniechęcić. — Wstała, odstawiła kubek i termos na jedną z półek i popatrzyła na zamyśloną Joannę, po czym zaproponowała spontanicznie: — A może ty zaczęłabyś organizować tu też swoje warsztaty?

— Ja? — zdumiała się sąsiadka.

— Tak. Mogłabyś robić mydełka. I uczyć tego innych.

— Ale ja od dawna tego nie próbowałam. Nie wiem nawet, czy jeszcze pamiętam co i jak...

— To poczytaj w necie, popróbuj i startuj — zachęcała ją Diana. — Chyba że zamierzasz wkrótce wyjechać...

— Raczej zostanę na dłużej.

— No to co ci szkodzi spróbować? Miejsce jest, więc nie widzę przeszkód.

Joanna nie wyglądała na przekonaną.

— Zastanowię się — odparła wymijająco. — A na razie może powycieram półki.



Krzysztof Woliński nigdy nie rzucał słów na wiatr. Skoro zapowiedział, że będzie u niego ognisko, to dotrzymał obietnicy.

Martyna pojawiła się we Wrzosowej Polanie w piątkowe popołudnie.

— Moje panie, proszę zakładać ciepłe swetry, kurtki, czapki i szaliki — wydała polecenie. — Porywam was!

— A dokąd? Co się dzieje? — zdziwiła się Diana.

— Ja nigdzie nie jadę — zaprotestowała Wanda. — Mam zamiar siedzieć pod kocem i dokończyć książkę, która mnie mocno wciągnęła.

— Życie jest bardziej wciągające niż jakakolwiek literatura. — Martyna nie dawała za wygraną.

— Nie sądzę. A *Romeo i Julia*? *Przeminęło z wiatrem*? *Mistrz i Małgorzata*? — zripostowała Wanda. — Takich historii w życiu nie uświadczysz.

— Niestety — westchnęła Diana.

— A może na szczęście? — walczyła dalej dziennikarka. — Chociaż nie bądźcie takie pewne. Zbiorowe samobójstwo? Zdarza się całkiem często. Burzliwe związki z kochankiem w tle? To już właściwie można znaleźć w każdym portalu plotkarskim. Zakochana w facecie perdole kobieta, która walczy z całym światem, żeby on mógł poczuć się spełniony? O tym to już nawet najgorszy szmatławiec nie napisze, bo jest tak żenujące. No, zbierajcie się!

— Bardzo oryginalna interpretacja klasyki — mruknęła Wanda. — Ja jednak widzę to nieco inaczej...

— Ciociu, zostawmy te dyskusje na wieczorek literacki. — Martyna złożyła ręce w błagalnym geście. — Dostałam zadanie, żeby was przywieźć, i muszę to zrobić.

— To może powiedz po prostu, dokąd jedziemy — zaproponowała Diana. — Bo naprawdę nie wiem, jak się ubrać.

— Ciepło, mówiłam przecież — zirytowała się Martyna. — Jesteście marudne jak stare baby!

— Wypraszam sobie! — oburzyła się Lisowska.

— Ja tym bardziej! — przyszła jej w sukurs Wanda.

— Dobra, niech wam będzie — westchnęła dziennikarka. — Ale wiedzcie, że zepsułyście sobie niespodziankę. Jedziemy na ognisko do Krzysztofa.

— To jednak mówiłaś prawdę o tym ognisku — wyrwało się Dianie.

— A co ty myślałaś?! Że cię oszukuję?!

Martyna doskonale pamiętała swój wykręt, ale uznała, że skoro ujdzie jej to na sucho, to skorzysta z tego drobnego zbiegu okoliczności.

— Ognisko w taki mróz? — zdziwiła się Wanda.

— A na kuligu ciocia nigdy nie była? Tam też na końcu jest ognisko. No i kulig to raczej zimą się robi, prawda? Krzysztof postanowił, że po prostu pominie tę pierwszą część i od razu będzie zakończenie — wyjaśniła Martyna.

Nie było wyjścia, musiały się zebrać i pojechać z dziennikarką. Kocio został, nieco obrażony, ale Wanda obiecała mu coś pysznego po powrocie. Nie wiadomo, czy zrozumiał. Ułożył się na pościeli, okazując ostentacyjnie swoje lekceważenie.

— A gdzie Tobiasz? — zapytała Diana, gdy już usadowiły się w samochodzie dziennikarki.

— Jak to gdzie? W pizzerii! — prychnęła Martyna. — Spędza tam więcej czasu niż w domu.

— No to go wciągnęło — skwitowała projektantka. — Wygląda na to, że naprawdę go to pasjonuje.

— Jeszcze jak! A teraz na dodatek został wspólnikiem, więc rozstrzyga wizje rozwoju produkcji placków z sosem pomidorowym — wyjaśniła ironicznie.

— Ale to przecież wspaniała wiadomość! — ucieszyła się Wanda. — Skoro został wspólnikiem, to znaczy, że jest dobry w swojej pracy. Na pewno też się z tego cieszysz, Martynko.

— Tak, bardzo — mruknęła dziennikarka.

Diana zerknęła na nią, ale nic nie powiedziała. Czuła jednak, że coś jest nie tak między przyjaciółką a Tobiaszem.

Powie, gdy uzna, że jest gotowa — pomyślała. — Martyny nie można naciskać.

Było jej przykro, że dziennikarka ma problemy. I żałowała w głębi ducha, że nie chce się nimi z nią podzielić, ale postanowiła, że uszanuje jej decyzję i poczeka.

Tobiasz jednak przyjechał, choć dopiero po dwudziestej drugiej. Diana ucieszyła się na jego widok.

A jednak mu zależy, skoro nie zostawił Martyny samej — pomyślała.

— Wykorzystałem to, że po jedną z kelnerek przyjechał mąż. A że mieszkają w okolicy, to mnie podrzucili — wyjaśnił mężczyzna.

— W takim razie musisz nadrobić zaległości. — Woliński podszedł do niego z kieliszkiem nalewki.

Tobiasz spojrzał na Martynę.

— Nie będę kierowcą? — zapytał. — Może ty masz ochotę na drinka, Martyna?

— A wiesz, że mam?

— W takim razie ja dziękuję. — Mężczyzna uśmiechnął się przepraszająco do Wolińskiego.

— Jasne, rozumiem.

Diana musiała przyznać, że Krzysztof jak zwykle stanął na wysokości zadania. Przygotował świetny poczęstunek, był nawet kociołek mięsno-warzywny, który gotował się nad ogniskiem. Nie brakowało grzanego wina i kiełbasek. Poza tym Woliński był świetnym gospodarzem i potrafił rozbawić towarzystwo. Sypał dowcipami i wkrótce nawet Martyna, która początkowo nie miała zbyt dobrego humoru, śmiała się w głos. W takiej atmosferze nawet nie czuli zimna. Zapewne pomogło w tym ciepło ogniska i odrobina alkoholu krążącego w żyłach, w każdym razie towarzystwo bawiło się doskonale.

— Dziękuję wam, że przyjęliście moje zaproszenie — powiedział w pewnej chwili Woliński. — Wiem, że było nieco niespodziewane, ale chciałem zrobić coś w rodzaju prezentu dla przyjaciół. Takie jakby nasze towarzyskie święta — wyjaśnił.

— Święta to święta — zaprotestowała Wanda. — Nie ma żadnego „tak jakby”.

— Czasami musi być, bo inaczej się nie da — odparł Krzysztof.

— A to niby dlaczego?

— Pani Wando, przecież pani wie, że ja tu sam gospodarzę — przypomniał Woliński. — A Boże Narodzenie w pojedynkę traci sporo uroku. Ale nie mówmy o tym, dobrze? Bawmy się! — próbował zmienić temat.

— W żadnym wypadku! — Wanda tym razem nie miała zamiaru się wycofać. — I właściwie to dobrze, że poruszyliśmy sprawę świąt, bo sama miałam to zrobić. — Podniosła dłoń. — Proszę towarzystwo o ciszę!

Posłusznie umilkli.

— No, grzeczne dzieci! — Uśmiechnęła się. — Posłuchajcie mnie, moi drodzy. Zastanawiałam się nad tym od początku grudnia i doszłam do

wniosku, że chciałabym was zaprosić na wigilię. — Spojrzała na Dianę. — Wiem, że powinnam to najpierw skonsultować z tobą...

— Ależ to świetny pomysł! — weszła jej w słowo Diana. — Chyba że macie inne plany — zwróciła się do Martyny i Tobiasza.

— Zwykle spędzamy wigilijny dzień sami — odparła dziennikarka. — I raczej nie robimy z tego jakiegoś większego zagadnienia, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć... Po prostu nie celebруем tego dnia i Bożego Narodzenia w ogóle.

— Ale naprawdę nie chcielibyście spędzić go z nami? Na obrzeżu puszczy jodłowej, przy smakołykach cioci Wandy? Nie będziemy was zmuszać do niczego, na co nie macie ochoty, naprawdę.

Martyna spojrzała na Tobiasza, a ten lekko skinął głową.

— Dobrze, przyjedziemy — powiedziała. — Tylko obiecacie, że nie będę musiała śpiewać kolęd.

— Nie będziesz musiała — roześmiała się Diana.

— Pan Krzysztof, jak rozumiem, nie ma żadnej wymówki? — Wanda spojrzała na mężczyznę, oczekując odpowiedzi.

— Nie mam i nawet nie zamierzałem szukać — odparł szczerze. — Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby samotności, gdy może być wśród przyjaciół.

— W takim razie ustalone — ucieszyła się Wanda. — A teraz odwieźcie mnie do domu, jestem już zmęczona. Wy możecie tu siedzieć nawet do rana, ale dla mnie to zbyt wiele.

— Oczywiście, zaraz panią odwiozę — zaoferował się Tobiasz.

— Skoro Diana i Martyna nazywają mnie ciocią, to ty też możesz — zaproponowała starsza pani.

— Dziękuję, bardzo mi miło... ciociu.

— A ja też mogę? — podchwycił Woliński.

— Też możesz — zgodziła się Wanda. — W końcu mamy razem usiąść przy wigilijnym stole, więc możemy przyjąć mniej oficjalne formy. No, ale

teraz to już naprawdę chcę jechać.

— Zapraszam do samochodu — zawołał z uśmiechem młody mężczyzna.



Diana obudziła się późno. Spojrzała w okno i zmrużyła oczy. Zimowe słońce pokazało, że stać je na wiele, i jasno oświetlało wnętrze pokoju.

Znowu będzie mroźno — pomyślała, ale tym razem wcale jej to nie zmartwiło. Miała przecież nowe lokum na prowadzenie warsztatów i nawet największe mrozy były jej teraz niestraszne. — Od razu na początku stycznia roześlę nowe oferty — postanowiła. — Mam nadzieję, że uda się zyskać zamówienia na ferie zimowe, w końcu w mieście są organizowane zajęcia dla dzieci, a i sporo małych turystów przyjeżdża w Góry Świętokrzyskie na zimowiska.

Nowa, pozytywna perspektywa dodała jej energii. Od razu wstała i zarzuciła szlafrok. Kocio miauknął, oburzony bezpardonowym zrzućciem go z pościeli, ale Diana nie zwracała uwagi na kocie fochy.

— Dzień dobry, ciociu! — Z uśmiechem wkroczyła do kuchni.

— O, imprezowiczka wreszcie wstała. — Wanda pogroziła palcem, ale widać było, że tak naprawdę wcale się nie gniewa.

— Fakt, zasiedzieliśmy się trochę — przyznała Diana. — To dlatego, że Krzysztof zaprosił nas jeszcze do domu. Wiesz, w ciepłe jakoś tak czas szybciej płynął. — Mrugnęła ze śmiechem.

— Tak, i grzane wino mocniej działa — odparła lekarka.

— Bez przesady, nie piłam dużo — zaprotestowała młoda kobieta. — Przecież widzisz, ciociu, że jestem w dobrej formie.

— W takim razie zrób sobie śniadanie. Ja już jadłam, a teraz jestem zajęta.

— A co takiego tam piszesz?

Z ciekawością zajrzała cioci przez ramię, żeby odczytać zapiski, które ta robiła na dużej kartce.

— Na jednej stronie mam listę zakupów, a na drugiej plan przedświątecznych porządków.

— Porządków? Przecież tu jest porządek. Ciągłe mnie upominasz, żebym wszystko odkładała na miejsce... — mruknęła Diana i naląła do kubka herbatę z dzbanka stojącego na stole.

— O czym ty mówisz, dziecko! — oburzyła się emerytowana lekarka. — Ja nie mam na myśli bieżącego ładu, tylko PRZEDŚWIĄTECZNE porządki. Będziemy mieć gości, zapomniałaś? Każdy kąt musi lśnić!

— Oj, widzę, że moja wizja beztroskich, wesołych świąt odpływa.

— Ależ wigilia będzie beztroska i wesoła — zapewniła lekarka. — Tylko do tego trzeba się dobrze przygotować.

— Nawet nie zamierzam polemizować, bo widzę, że to bez sensu, ciociu.

— I dobrze widzisz. A ja wiem, co robię. — Wanda była nieugięta. — Zorganizujemy wspaniałe święta, możesz być pewna.

Diana pokiwała głową. Widziała, że starsza pani jest już całkowicie pochłonięta planami, więc postanowiła, że nie będzie się wtrącać.

Po prostu wykonam to, co każe — zdecydowała. — Zresztą, znając ją, nie będę miała wyboru. Na razie jednak coś zjem i pójdę do garażu. Wygląda na to, że muszę się pospieszyć, bo za chwilę zostanę zaangażowana do sprzątnięcia tutaj. Chociaż naprawdę nie wiem po co, bo ciocia już dawno wyszorowała wszystko, nawet deski na powale.

Zrobiła sobie kanapkę z twarożkiem i jadła, obserwując, jak Wanda w skupieniu dopisuje kolejne pozycje do swojej listy.

Pukanie do drzwi zaskoczyło obie kobiety.

— Kto to może być? — Wanda podniosła wzrok znad kartki.

— Nie wiem.

Diana ruszyła otworzyć. W progu zobaczyła Joannę.

— Cześć.

— Cześć. — Sąsiadka zmierzyła ją spojrzeniem. — Coś się stało? Jesteś chora?

— Nie, dlaczego?

— Myślałam, że przyjdiesz rano. A ty tak... — Wskazała na szlafrok.

Diana roześmiała się i zawołała:

— A, to! Już ci mówię, ale najpierw wejdź. Chodźmy do kuchni.

— Dzień dobry, pani Wando — przywitała się Joanna.

— Dzień dobry, miło cię widzieć, ale jestem zajęta — rzuciła szybko lekarka. — Możecie sobie plotkować, byle cicho. Ja dziś się nie włączę, jestem zajęta — poinformowała.

Diana machnęła ręką, dając sąsiadce znać, żeby się nie przejmowała.

— Kawa? Herbata? — zapytała.

— Chyba kawa — zdecydowała Joanna. — Prawie całą noc nie spałam.

— To tak jak ja. Byłam u znajomego na ognisku. Wiesz, taki finał kuligu bez kuligu. — Diana mrugnęła porozumiewawczo i uśmiechnęła się. — Spędziliśmy fajnie czas z przyjaciółmi. Byli Martyna i Tobiasz. Mówiłam ci o Martynie, pamiętasz?

Joanna pokiwała głową, ale widać było, że nie ma ochoty na towarzyskie pogaduszki. Wyraźnie chciała coś powiedzieć. Diana postawiła przed nią kubek z kawą i zapytała wprost:

— Czy coś się stało? Bo mówisz, że nie spałaś...

— Tak, rzeczywiście. Myśli nie dały mi zasnąć.

— Nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości. Mówię ci to z własnego doświadczenia.

— Nie myślałam o przeszłości, ale o przyszłości — sprostowała Joanna.

— I postanowiłam, że chciałabym spróbować z tymi mydełkami... — Spojrzała nieśmiało na Dianę.

— Naprawdę?! Ależ się cieszę! Wiedziałam, że jesteś odważną kobietą!

— Diana uściskała sąsiadkę.

— Tu człowiek próbuje się skupić! — Wanda udawała, że chce je przywołać do porządku, ale w głębi duszy cieszyła się przeogromnie.



Joanna dokończyła kawę i poszły z Dianą porządkować garaż. Gdy tylko wyszły, Wanda natychmiast odłożyła listę zakupów i udała się do sypialni po swój telefon.

Takie wieści nie mogą czekać — uznała. Wybrała numer i niecierpliwie czekała na połączenie.

— Maria? To ja, Wanda — powiedziała szeptem, gdy nawiązała połączenie.

— Dlaczego tak cicho mówisz? Stało się coś? — zaniepokoiła się sąsiadka.

Emerytowana lekarka roześmiała się i już normalnym głosem powiedziała:

— Chyba za bardzo przejęłam się tą naszą konspiracją. Jestem sama, a zachowuję się, jakby ktoś mógł mnie usłyszeć. — Usiadła na skraju łóżka. — Dzwonię, bo przed chwilą była u nas twoja Joasia.

— Tak, wiem. Od rana stała przy oknie i wypatrywała Diany — potwierdziła Maria. — Martwię się coraz bardziej, Joasia chyba znowu nie spała całą noc. Chodziła po kuchni i piła kawę za kawą...

— Nie musisz się martwić — pocieszyła ją Wanda. — Nasz plan zaczął działać.

— Naprawdę? — W głosie sąsiadki pojawiła się nadzieja.

— Tak! Wiedziałam, że to wspólne sprzątanie je zbliży i że coś wymyślą. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale Joasia oznajmiła Dianie, że chce robić

coś, o czym najwyraźniej rozmawiały. Wspominała o mydełkach.

— O mydełkach? — zdziwiła się Maria.

— Tak, słyszałam doskonale, bo byłam z nimi w kuchni. Udawałam zajęta, ale nadstawiałam ucha. Na pewno chodziło o mydełka.

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co miałyby one wspólnego z moją córką — powątpiewała emerytowana nauczycielka.

— To bez znaczenia. Najważniejsze, że Joanna chce coś robić, rozumiesz? — tłumaczyła zaaferowana Wanda. — A działanie jest zawsze lepsze niż bierne siedzenie, czyż nie?

— Chyba masz rację... — Maria jednak wciąż nie wydawała się przekonana.

— Mario, przecież o to nam chodziło. Chciałyśmy, żeby Diana mogła dalej prowadzić warsztaty, a Joasia przestała zajmować się swoją przeszłością. I najwyraźniej przestała. Teraz już powoli wszystko się ułoży.

— Obyś miała rację — westchnęła Maria głośno. — Nie chcę się za wcześnie cieszyć, ale uwierz, że gdyby tak było, to ogromny ciężar spadłby mi z serca. Byle tylko jej się udało, bo kolejne niepowodzenie mogłoby ją zupełnie załamać...

— Nie martw się, Diana bardzo ją wspiera, to na pewno pomoże. — Wanda była dobrej myśli. — A i my będziemy trzymać rękę na pulsie.



Lisowska wróciła do domu po kilku godzinach i zmęczona opadła na krzesło.

— Ależ się namachałam miotłą.

— To świetnie — odparła Wanda. — Bliski kontakt z miotłą to chyba tradycja u stóp Łysicy — zażartowała. — A poza tym nabierzesz wprawy przed świątecznymi porządkami.

Odwróciła się w stronę kuchni i zamieszała coś w dużym garnku. Potem spróbowała zawartości, pokręciła głową, trochę dosoliła, spróbowała po raz drugi i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Diana obserwowała jej poczynania.

— A to dzisiejszy obiad czy też już na wigilię?

Wanda pogroziła jej łyżką.

— Nie bądź taka złośliwa, bo za karę nie dostaniesz. A żurek wyszedł mi wyśmienity.

Projektantka przełknęła ślinę.

— Przepraszam, ciociu. — Zrobiła przymilną minę. — Jestem taka głodna... Chyba nie odmówisz mi miseczki ciepłej zupy?

Wanda pokręciła głową.

— Niemożliwa jesteś. Dałabym się nabrać na te słodkie minki, gdybym cię nie znała. Ale dobrze, napracowałam się, więc obiad dostaniesz.

Zjadły po pełnym talerzu żurku z jajkiem na twardo i kawałkami kielbasy, zagryzając chlebem.

— A teraz pora na odpoczynek — stwierdziła młoda kobieta. — Idę poczytać. A ty, ciociu, co zamierzasz robić?

— Wybieram się do Marii na herbatę. Dzwoniła i zaprosiła mnie.

— O, to świetnie! Cieszę się, że się polubiłyście. W takim razie miłego plotkowania.

— Damy nie plotkują, damy wymieniają informacje — pouczyła ją Wanda. — A ty, zanim się położysz, pozmywaj naczynia.

Lisowska wykonała, co powinna, a potem poszła do sypialni. Zanim sięgnęła po książkę, jej myśli jeszcze raz pobiegły do Joanny.

Dzisiaj już częściej się uśmiechała — przypomniała sobie wspólną pracę. — Chyba podjęcie decyzji coś w niej odblokowało i dało nadzieję. Wiem doskonale, jakie to ważne, żeby mieć cel. Jakikolwiek, nawet mały. Wtedy jest motywacja do wstania z łóżka i pojawia się wiara w zmianę. Mam nadzieję, że jakoś pomogłam jej zrobić ten pierwszy krok. Tak jak kiedyś ktoś pomógł mnie.

Pomyślała o swoim pobycie w Jagodnie, o rozmowach z babcią Różą i Tamarą, o tym, jak wiele dał jej kontakt z wszystkimi kobietami ze Stacji Jagodno.

Tak dawno do nich nie dzwoniłam — pomyślała i zawstydziała się. — Jeszcze uznają, że o nich zapomniałam...

Postanowiła od razu naprawić swoje zaniedbanie. Sięgnęła po smartfona i wybrała numer.

— Jak miło cię słyszeć! — powitała ją Tamara. — Już zaczynałam się martwić, czy u ciebie wszystko w porządku. Rozmawiałam nawet o tym z babcią Różą, ale ona powiedziała, że czasami brak wiadomości to dobra wiadomość. Miała rację?

I to właśnie było to, co Diana najbardziej kochała u kobiet z Jagodna: żadnych wymówek, pretensji czy uwag. Po prostu normalna rozmowa.

— Miała rację, jak zawsze — potwierdziła. — U mnie wszystko w porządku, tylko miałam ostatnio tyle pracy, że zabrakło czasu na

kontakty towarzyskie.

— Nie musisz się tłumaczyć. Znam to doskonale. Ja też w ciągłym biegu. I powiem ci, że po tym programie Martyny mamy już rezerwacje na wszystkie pokoje nawet na majówkę przyszłego roku.

— Super! Powiem jej o tym, na pewno się ucieszy!

— A może nas odwiedzić? — zaproponowała Tamara. — Babcia Róża chętnie posłucha nowinek. Często o tobie wspomina.

— Chyba bardziej chodzi jej o Kocia — zażartowała Diana. — Ale chętnie przyjadę, myślę, że Martyna również. Muszę tylko z nią pogadać i dowiedzieć się, kiedy ma wolne. Ona też ostro pracuje.

— W takim razie trzymam za słowo. Czekam na telefon, gdy ustalicie termin. I żeby to nie było znowu za kilka miesięcy, bo ja już jutro powiem babci, że ma się spodziewać gości.

— Jasne, zadzwonię za dzień lub dwa — obiecała Lisowska, ciesząc się, że odwiedzi Jagodno i biały domek babci Róży.

Bo kto raz trafił do tego miejsca, ten już zawsze chciał tam wracać.



Maria rozmawiała z Wandą, która bardzo podniosła ją na duchu. Prawie dała się przekonać, że Joanna ma się lepiej, a przynajmniej jest na to nadzieja. Myślała o tym przez resztę popołudnia, aż wreszcie wieczorem zdecydowała, że najlepiej będzie osobiście wybadać sytuację.

Córka spała przez całe popołudnie. Nic dziwnego, skoro ubiegłej nocy wędrowała po kuchni, a przedpołudnie spędziła na sprzątaniu garażu. Jednak gdy minęło kilka godzin, matka uznała, że ma doskonały pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

Zapukała do drzwi pokoju Joanny i weszła.

— Joasiu, wiem, że jesteś zmęczona, ale jeżeli będziesz drzemać tak długo, znowu nie zaśniesz w nocy. — Delikatnie dotknęła ramienia córki. — Zejdź na dół, zrobiłam budyń waniliowy.

Wiedziała, że to ulubiony deser córki i że jest duża szansa, że skusi się na smakołyk.

— Polejesz sokiem malinowym? — usłyszała głos spod koca i uśmiechnęła się.

Chyba Wanda ma rację. Jest lepiej — pomyślała.

— Poleję.

Usiadły w kuchni i matka z radością patrzyła, jak Joanna zajada się budyniem. Po raz pierwszy, odkąd przyjechała, młoda kobieta zainteresowała się jedzeniem i wyglądało na to, że ma apetyt.

Zagadnąć czy nie? — zastanawiała się Maria. — Może lepiej nie naciskać?

Ale tak bardzo chciała sprawdzić, czy jej nowa znajoma się nie myli.

— Była dziś u mnie Wanda — zaczęła neutralnie.

— Słyszałam, jak przyszła — odparła Joanna. — To dobrze, że znalazłaś sobie towarzystwo. Poza tym pani Wanda to bardzo miła i kulturalna osoba.

— Też tak uważam — potwierdziła Maria. — A co sądzisz o Dianie? Chyba dobrze się dogadujecie?

— Tak, bardzo dobrze. — Córka pokiwała głową. — Opowiedziała mi o tym, co przeszła. Naprawdę miała trudny czas... — Spojrzała na matkę znad pucharka z deserem. — Wiesz, jej historia dała mi wiele do myślenia — powiedziała poważnie. — Imponujące, jak sobie poradziła...

— Tak, Wanda trochę mi o tym mówiła.

Przez chwilę przy stole panowało milczenie. Wreszcie Maria podjęła kolejną próbę.

— Wanda wspomniała mi też, że dzisiaj rozmawiałaś z Dianą o jakichś mydełkach — postanowiła zapytać wprost. — Nie zrozumiała dokładnie, a ja nie potrafiłam jej nic wyjaśnić. To jakiś wasz wspólny pomysł z Dianą?

Joanna przez chwilę się zawahała, ale potem odsunęła pusty pucharek i spojrzała matce prosto w oczy.

— Kiedyś próbowałam robić mydełka. Powiedziałam o tym Dianie i ona zaproponowała, żebym prowadziła warsztaty. Odmówiłam. Ale potem pomyślałam, że skoro ona mogła zacząć z gliną, to może i ja mogłabym... I jeszcze kołatało mi się po głowie, że jeżeli nie spróbuję, że jeśli czegoś nie zrobię, to...

Maria słuchała w napięciu.

— Właściwie to nie wiem, czy ja w ogóle te mydełka jeszcze potrafię wykonywać — wyznała Joanna. — Ale postanowiłam, że to sprawdzę. Już zamówiłam przez internet podstawowe produkty. W końcu nie mam nic do

stracenia, prawda, mamó? — Zerknęła na Marię, jakby szukając u niej aprobaty.

Matka od razu zareagowała.

— Oczywiście, Joasiu, że powinnaś spróbować — zapewniła z przekonaniem. — Skoro tak czujesz, to idź za głosem intuicji.

— Myślisz, że to może się udać?

— A dlaczego nie? — zachęcała matka. — Jeżeli mogę ci jakoś pomóc, to...

— Dziękuję, mamó. — Joanna się uśmiechnęła. — Wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Może w ramach pierwszej pomocy znajdziesz jeszcze trochę tego pysznego budyniu?



Następnego poranka Maria miała wrażenie, jakby ubyło jej wiele lat. Dawno już nie obudziła się tak pełna energii i z taką chęcią nie wstawała z łóżka. Miała wrażenie, że nawet kolana i kręgosłup bolą mniej niż zwykle. Wciąż miała przed oczami uśmiech córki i to, jak z apetytem jadła waniliowy budyń.

Dla matki dziecko zawsze będzie dzieckiem — pomyślała, zakładając bluzkę. — Nawet jeśli zbliża się do czterdziestki. I nic bardziej matki nie uszczęśliwia niż uśmiech dziecka.

Czuła, że mogłaby góry przenosić. Nie tylko te świętokrzyskie. Na razie jednak postanowiła Łysicę zostawić w spokoju i zacząć od zrobienia pysznego śniadania.

Joasia powiedziała, że mają zamiar malować garaż i wybierają się do Kielc po farbę i niezbędne akcesoria. Maria uznała, że córce przyda się pożywne śniadanie.

Świeże bułeczki, twarożek i domowy dżem — ustaliła w głowie. — A do tego jajko na miękko w jej ulubionym kieliszku z namalowanym kogucikiem. Tak, to będzie w sam raz.

Wszystko miała oprócz pieczywa, ale wyjście do sklepu wydało się tego dnia miłym spacerem, tym bardziej że słońce świeciło i krajobraz za oknem był iście bajkowy.

Nawet natura cieszy się razem ze mną — pomyślała radośnie Maria.

Wychodząc z domu, popatrzyła na sąsiednie podwórko.

Jak dobrze, że poznałam Dianę, a potem Wandę. — Poczuła wdzięczność do sąsiadek. — Gdyby nie one, nie wiem, co byłoby z Joasią. Chyba nigdy nie zdołam się im za to odwdziżyć.

Ruszyła w stronę sklepu, uważnie stawiając stopy na pokrytym śniegiem poboczu. Ich uliczka znowu czekała na posypanie solą lub piachem. Jednak dziś nawet to Maria uznała ledwie za drobną przeszkodę, która nie była w stanie zepsuć jej humoru.

— O, pani dyrektor! — usłyszała nieoczekiwanie.

Zatrzymała się i podniosła wzrok. Od razu rozpoznała kobietę stojącą po drugiej stronie ulicy. Znała ją od dziecka, a potem przez kilka lat była jej przełożoną, gdy tamta stawiała pierwsze kroki w zawodzie nauczycielki.

— Dzień dobry, Aniu — przywitała dawną uczennicę. — Miło cię widzieć. Co u ciebie słychać? Jak tam w szkole? Wszystko w porządku?

Zawsze wypytywała o uczniów i placówkę, w której przepracowała prawie całe życie. Ciekawiły ją wszystkie zmiany, lubiła wiedzieć, jak radzą sobie kolejne pokolenia dzieci. Zwykle Anna chętnie dzieliła się z nią informacjami, więc i tym razem Maria miała nadzieję na miłą pogawędkę. Tymczasem kobieta spojrzała ze złością.

— Co u mnie? O to pani pyta? Jakby to panią cokolwiek obchodziło!

— Ależ, Aniu! — Była zaskoczona jej napastliwym tonem. — Przecież wiesz, że mnie obchodzi.

— Doprawdy? — Anna przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła przed dawną przełożoną. — Gdyby tak było, nie bratałaby się pani z tymi przybłędami z za płotu.

Maria spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Oczywiście, że poważnie — zaperzyła się Anna. — Przecież wszyscy wiedzą, że one są w komitywie z tą czarownicą. Jak można!

Maria poczuła, że ogarnia ją złość. Stała przed nią jedna kobieta, ale dla nauczycielki była niczym symbol tych wszystkich ludzi, którzy brakiem

tolerancji i złymi słowami krzywdzą innych.

— Aniu, chyba trochę przesadziłaś — upomniała kobietę. — Czyżbyś zamierzała mi mówić, z kim mam się przyjaźnić? Zresztą nawet ich nie znasz, więc...

— Nie muszę znać — przerwała jej Anna. — Wiem doskonale, że to samo zło. A od zła trzeba się trzymać z daleka. I pani też to radzę.

Tego już było dla Marii za wiele. Pomyślała o pomocy sąsiadek, przypomniała sobie opowieść Wandy o Grecie i Stachu...

— Tak, masz rację — powiedziała lodowatym tonem. — Posłucham twojej rady i będę się trzymała z daleka. Od ciebie, Aniu. Bo zła nie ma ani w moich sąsiadkach, ani w Grecie. Ono jest w tobie, w twoim sercu.

I nie bacząc na zaspę, ominęła dawną uczennicę, nawet nie mówiąc jej „do widzenia”.



Martyna zatrzymała auto przed białym domkiem. Jeden samochód już tam stał.

— Tamara też na nas czeka — stwierdziła z uśmiechem Diana.

Popatrzyły na siebie i nie musiały nic mówić. Obie cieszyły się na tę wizytę.

Dziennikarka od razu zgodziła się na wyjazd do Jagodna. Ona również nie oparła się urokowi starego dworku, hrabianek i oczywiście babci Róży. Polubiła Tamarę, Łukasza i pozostałych mieszkańców uroczej wioski niedaleko Kielc.

— Trochę mi wstyd, że nie odezwałam się do nich od czasu kręcenia materiału — wyznała teraz.

— Czuję to samo — pocieszyła ją Diana. — Ale tu nikt nikogo nie ocenia, więc nie obawiaj się wyrzutów.

— Ciekawe, co u nich słychać.

— Zaraz się dowiemy.

Wysiadły z auta, przeszły przez podwórze i zapukały do drzwi.

— Zapraszamy! Otwarte! — usłyszały wesoły okrzyk.

W kuchni babci Róży było ciepło i przytulnie. Zofia kręciła się przy piecu, a sama gospodyni siedziała przy stole w towarzystwie Marzeny i Tamary. Ta ostatnia zerwała się na widok przybyłych.

— Nareszcie! Już nie mogłyśmy się was doczekać!

A potem nastąpiło serdeczne powitanie.

— No, pokażcie się, moje dzieci — poleciła babcia Róża. — Niech wam się przyjrę.

Obydwie młode kobiety posłusznie stanęły przed seniorką i obdarzyły ją serdecznym uśmiechem.

Babcia Róża wyraźnie schudła i jakby zmaląła. Siatka zmarszczek na twarzy pogłębiła się, ale oczy staruszka wciąż miała takie jak dawniej — pełne dobroci, mądrości i zrozumienia.

— Piękne, jak zawsze — oceniła z uśmiechem. — Ty, Dianko, chyba troszkę się zaokrągliłaś, ale dobrze ci z tym. Ostatnio, gdy cię widziałam, byłaś chuda jak patyk. A teraz, proszę, zdrowa i apetyczna młoda kobieta.

— Nie wiem, czy powinnam się cieszyć — roześmiała się Diana. — Ale tylko babcia potrafi tak uroczo wypomnieć dodatkowe kilogramy.

— Ja nie wypominam — zaprzeczyła staruszka — tylko chwałę. Skóra i kości to dobre może dla tych modelek z telewizji, ale nie dla normalnej, zdrowej osoby.

— To ciocia Wanda tak ją karmi — wtrąciła Martyna. — Gotuje obłędnie, po prostu nie można się oprzeć jej smakowitym daniom i ciastom.

— Ciocia Wanda? — zainteresowała się babcia Róża.

— Zaraz wszystko opowiem — obiecała Lisowska. — Ale Martyna ma rację: ciocia jest znakomitą gospodynią. Zresztą zaraz będziecie mogły się o tym przekonać. — Wyjęła z torby pakunek i położyła na stole. — To rogaliki z kruchego ciasta z powidłami śliwkowymi. Powidła z kolei są dziełem mojej sąsiadki, pani Marii. Obie przesyłają je z pozdrowieniami dla wszystkich z Jagodna.

— Dziękujemy — odrzekła z uśmiechem Tamara. — I widzę, że nieźle się urządziłaś w tej Świętej Katarzynie. Rogaliki, domowe przetwory...

— U nas też niczego nie brakuje — włączyła się do rozmowy Zofia, stawiając na stole paterę z babeczkami. — I też mamy własne wyroby.

Młode kobiety roześmiały się głośno na ambicję Zofii i chęć podkreślenia, że Jagodno w niczym nie ustępuje Świętej Katarzynie.

— Pani Zofio, pani babeczki są najlepsze na świecie! — zapewniła Martyna. — Zakochałam się w nich od pierwszego spróbowania. Miałam nadzieję, że je pani upiecze.

Zofia wyglądała na udobruchaną tymi słowami. Podała jeszcze herbatę i usiadła z nimi przy stole.

— Jak tam Kocio? — zapytała babcia Róża, gładząc kocura, który schronił się przed gwarem na jej kolanach.

— Doskonale. Chyba odpowiada mu życie na wsi — odparła Diana. — Chociaż na zewnątrz nie wychodzi. Urósł, zrobił się dostojny i stateczny. Zupełnie jak jego brat. — Spojrzała na kociego rezydenta białego domku.

Martyna od razu sięgnęła po babeczkę.

— Przepraszam, ale dłużej nie mogę się opierać — powiedziała i wbiła zęby w ciasto.

— Jedz na zdrowie — ucieszyła się Zofia.

— W takim razie ty opowiadaj, Diana — zarządziła Tamara. — Mów zaraz, co to za ciocia Wanda i jak ci idzie z warsztatami. Bo my tu mamy dla ciebie niespodziankę. — Spojrzała porozumiewawczo na Marzenę.

Diana była ciekawa, co szykują dla niej dziewczyny, więc szybko opowiedziała historię znajomości z Wandą, powody przeprowadzki emerytowanej lekarki z Kielc do Wrzosowej Polany, nie omieszkała też wspomnieć o szczególnej więzi, jaka je połączyła.

— Stała mi się bardzo bliska — zakończyła z lekkim wzruszeniem.

Babcia Róża słuchała tej opowieści z uśmiechem.

— Cieszę się, drogie dziecko, że znalazłaś wreszcie rodzinne ciepło — powiedziała. — Byłam pewna, że tak będzie. Dobro prędzej czy później przyciąga dobro.

Potem Diana opowiedziała o warsztatach, oczywiście o sąsiadkach i swoim nowym pomieszczeniu.

— Nie macie pojęcia, jak się cieszę! Będę mogła prowadzić zajęcia także podczas ferii.

Tamara i Marzena wymieniły spojrzenia.

— Ale musisz najpierw zarezerwować w kalendarzu pięć terminów dla nas — powiedziała Marzenka. — I nie przyjmuję sprzeciwu. Trzy dla dorosłych i dwa dla naszych pensjonatowych gości.

— Dla dorosłych? — zdziwiła się Diana. — Jeszcze nigdy takich nie prowadziłam. Co prawda jedna z nauczycielek zachęcała mnie do tego, ale...

— Nie przyjmuję odmowy. — Marzena stanowczo pokręciła głową. — Oferta sprzedana, więc nie ma odwrotu.

— Dasz radę — zapewniła Martyna między jednym a drugim kęsem babeczki.

— Skoro tak mówicie... niech będzie — zdecydowała Diana. — Ale teraz wy opowiadajcie. Mnie już w gardle zaschło, a poza tym też chciałabym spróbować specjalności pani Zofii.

Tamara usadowiła się wygodniej na krześle.

— U nas właściwie wciąż coś się dzieje — zaczęła po krótkim namyśle. — Nie wiem, od czego zacząć...

— To ja krótko powiem, że u mnie miłość kwitnie — wtrąciła Marzena. — Janeczek rozwija biznes i już przestał wspominać o powrocie do Londynu. Chyba wreszcie naprawdę uznał Polskę za swój kraj. — Uśmiechnęła się.

— Nic dziwnego. W tej sytuacji... — powiedziała Tamara i od razu zakryła usta dłonią. — Oj, chyba nie powinnam...

Martyna czujnie podniosła głowę.

— Mój dziennikarski nos wyczuwa jakąś sensację — stwierdziła i odłożyła niedojedzony wypiek. — I chyba, proszę państwa, za chwilę się o niej dowiemy!

Wszystkie oczy skierowały się na Marzenkę, która lekko poczerwieniała.

— Przepraszam, wyrwało mi się... — bąknęła Tamara.

— Nie szkodzi — uspokoiła ją przyjaciółka. — I tak nie chciałam już dłużej tego ukrywać. Zaczął się już czwarty miesiąc i lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku, więc...

— Jesteś w ciąży! — Zofia klasnęła w ręce.

Marzenka pokiwała głową. Posypały się gratulacje i uściski.

— Jeszcze nie potrafię sobie tego do końca uświadomić, ale jestem bardzo szczęśliwa — wyznała Marzena, gdy znowu zajęły miejsca przy stole. — A Janeczek to po prostu oszalał. Podobnie jak senior Leszczyński i mój tata. Muszę uciekać z domu, bo zagłaskaliby mnie na śmierć. — Udawała, że narzeka, ale oczy jej się śmiały.

Babcia Róża popatrzyła na Zofię znacząco.

— Z takiej okazji to chyba musimy wyjąć coś specjalnego.

Zofia od razu wiedziała, o co chodzi, i po chwili na stole pojawił się słoiczek konfitur z fiołków.

— W tym roku zrobiłam tylko kilka. Sił mi już brak — westchnęła Róża — i gdyby nie pomoc Zofii, nie byłoby ich wcale. Ale są i możemy uczcić tak ważną nowinę. Kolejne dziecko pojawi się na świecie. — Otarła oczy wierzchem sękatej dłoni.

— Teraz to niczym nie przebiję tej rewelacji — zagadnęła szybko Tamara. — Ale i tak zdam wam krótką relację z tego, co u mnie. Od razu mówię, że kolejnej ciąży nie ma. — Mrugnęła z uśmiechem.

— Mnie najbardziej ciekawi, co u panny Zuzanny — dociekała Martyna. — Uwielbiam ją po prostu! Chciałabym właśnie taka być za kilkadziesiąt lat.

— Już jesteś — zauważyła Diana. — Tylko kapeluszy ci brakuje.

— Panna Zuzanna całkiem nieźle się ma po operacji nogi i rehabilitacji — odparła Tamara. — Co prawda, nie może już tak dużo chodzić jak dawniej, ale wciąż pojawia się w kuchni, a obie kucharki truchleją na jej widok. Dzięki temu utrzymujemy wysoką jakość posiłków — roześmiała

się. — Poza tym Zuzanna opiekuje się oczywiście Julią, która, niestety, już zupełnie straciła wzrok.

— Oj, to przykre — zasmuciła się Martyna.

— Tak, ale Julia zachowuje optymizm. Często każe się zawozić do salonu i rozmawia z gośćmi. Najbardziej jednak lubi kontakt z dziećmi. I one też ją kochają. Czytają jej książki, starsze wożą na spacer i opowiadają, co widzą.

— A co u ciebie? U Łukasza? — dopytywała Diana.

— Właściwie nic spektakularnego. Prowadzimy Stację Jagodno i pochłania nam to większość czasu. Skończyliśmy kolejne skrzydło, więc możemy teraz przyjąć jednocześnie ponad trzydzieści osób. To już duże wyzwanie, więc musieliśmy zatrudnić dwie panie do sprzątania i wydawania posiłków oraz mężczyznę do cięższych prac, bo Łukasz też już nie nadążał ze wszystkim.

— To chyba dobrze, że biznes kwitnie — zauważyła Martyna.

— Tak, jasne — potwierdziła Tamara. — Różyczka też rośnie, na szczęście nie choruje, ale o to już dba moja mama. Razem z Adamem szaleją za wnuczką i gdyby nie nasze interwencje, to rozpuściliby ją strasznie.

— Takie prawo dziadków — zauważyła pani Zofia. — Ja swoim też niczego nie żałuję.

I tak rozmawiały, degustując konfitury z fiołków i słodkie babeczki. Martyna opowiadała o swoim programie, Tamara o innych mieszkańcach Jagodna. Diana od czasu do czasu spoglądała na babcię Różę, która słuchała w milczeniu. Staruszka przymknęła oczy i od dłuższej chwili nic nie mówiła.

— Czy babcia dobrze się czuje? — zapytała szeptem siedzącą obok Tamarę.

— Na pewno jest już zmęczona. Cóż, ma swoje lata. — Kobieta uśmiechnęła się smutno. — Jest coraz słabsza, nic się na to nie poradzi...

— To może my już pojedziemy? — zaproponowała Diana. — Będzie mogła się położyć, odpocząć...

— Nie, posiedźcie jeszcze chwilę — poprosiła Tamara. — Babcia tak bardzo czekała na wasz przyjazd. Byłoby jej przykro, gdyby poczuła, że przez nią skracacie wizytę. Poza tym ostatnio nie ma zbyt wielu rozrywek, a wiesz, jak bardzo lubi kontakt z ludźmi. Dajmy jej się nacieszyć, na odpoczynek będzie miała czas.

Diana skinęła głową, ale poczuła, że robi jej się smutno. Nie mogła wyobrazić sobie Jagodna, w ogóle całego świata, bez obecności babci Róży.

— Nie myśl o tym. — Tamara jakby odczytała jej myśli. — Babcia mówi, że człowiek żyje tak długo, jak długo ktoś o nim pamięta. Nie zatrzymamy czasu, ale ona będzie w naszych sercach zawsze. A teraz zamiast się smucić, cieszymy się, że jeszcze z nami jest.



Diana weszła do domu i nawet nie zdejmując butów, podeszła do Wandy i uścisnęła ją mocno.

— Coś się stało? — Lekarka była zaskoczona tym niespodziewanym wybuchem czułości.

— Nic. Po prostu cieszę się, że jesteś — odparła młoda kobieta.

— I nigdzie się nie wybieram. Dlatego natychmiast zdejmij buty, bo naniósłś śniegu do kuchni. Zaraz będą tu kałuże.

Diana roześmiała się głośno.

— Jasne! Zaraz posprzątam.

Rozsznurowując trapery, pomyślała, że takie gderanie też może uszczęśliwiać.

Jak często nie doceniamy tego, że ktoś przy nas po prostu jest. Dopiero gdy go już nie ma, zdajemy sobie sprawę, jak bardzo go brak — uzmysłowiła sobie.

Wizyta u babci Róży sprawiła, że jeszcze mocniej odczuła, jak bardzo droga jest jej obecność Wandy.

Założyła kapcie, przyniosła z werandy mopa i z zapalonym zapałem zabrała się do wycierania podłogi. Tymczasem Wanda usiadła z kubkiem ziół w dłoni.

— Jak udała się wizyta? — zapytała z ciekawością.

Dużo słyszała o Jagodnie i była ciekawa opowieści o jego mieszkańcach.

— Wspaniale! Inaczej być nie mogło. U babci Róży zawsze jest tak... przytulnie — powiedziała Diana. Zerknęła na Wandę, przerwała sprzątanie

i uśmiechnęła się. — Mimo to nie ma jak w domu — dodała. — Cieszę się, że już wróciłam.

Widać było, że te słowa sprawiły starszej kobiecie przyjemność.

— A moje rogaliki smakowały?

— Nie mogło być inaczej — zapewniła Lisowska. — O, widzisz, przywiozłam dla ciebie babeczki pani Zofii. Zapakowała w podziękowaniu. Zaraz przyniosę, bo zostawiłam na werandzie.

— To ta Zofia, która mieszka z babcią Różą? Ta, co ma córkę Kasię? — Wanda pamiętała wcześniejsze opowieści Diany o mieszkańcach Jagodna.

— Tak, właśnie ta. Ale największa sensacja to ciąża Marzenki.

— Tej od Janeczka z Londynu, tak?

— Tak. Janeczek podobno przeszcześliwy.

Spojrzała na podłogę i uznała, że jest już sucha. Wyniosła więc mopa i wróciła z pakunkiem pełnym bułeczek.

— Będziesz miała poczęstunek do herbaty z panią Marią — powiedziała, podając go Wandzie.

— Och, dobrze, że mi o niej przypomniałaś! Właśnie miałam ci powiedzieć, że odwiedziła mnie dziś po południu.

— Jakoś mnie to nie dziwi. Ostatnio chyba codziennie się odwiedzacie i przyjaźń kwitnie. Nawet zastanawialiśmy się z Joanną, o czym wy tak rozmawiacie i czy czegoś nie knujecie — zażartowała Lisowska.

Wanda zmieszała się lekko, ale zaraz odzyskała rezon.

— Mamy za sobą wiele doświadczeń i wymieniamy się nimi. Jak trochę dłużej pożyjesz, to zrozumiesz.

— Dobrze, dobrze, przecież nie mam nic przeciwko temu. Wręcz odwrotnie: bardzo się cieszę.

— A dzisiaj na przykład — opowiadała starsza pani — rozmowa zeszła na temat Bożego Narodzenia. I pomyślałam, że Maria z Joanną będą siedziały same, podczas gdy u nas będzie dom pełen gości...

— Może je zaprosimy? — zaproponowała Diana. — Chyba zmieścimy jeszcze dwie osoby?

— Też tak pomyślałam — zgodziła się Wanda z miną niewiniątka. — I o tym, że na pewno nie wpadniesz na ten pomysł, więc uprzedziłam fakty i już to zrobiłam.

Projektantka ściągnęła brwi i położyła ręce na biodrach.

— Ach, więc mnie podeszłaś! Nie wiem, czy to w porządku...

— Diano, przecież i tak chciałaś...

— Ha! Udało się! Teraz ja cię nabrałam! — Triumfalnie popatrzyła na ciotkę. — Jest więc remis. A z tego, że je zaprosiłaś, naprawdę bardzo się cieszę. Tylko musimy pokombinować, jak wszystkich usadzić przy tym stole. — Spojrzała na drewniany blat. — Może dokupić jakiś rozkładany?

— Nie trzeba...

— Chyba jednak trzeba. Będziemy my, Martyna z Tobiaszem, Krzysztof, a teraz jeszcze sąsiadki. To siedem osób. Rozłożymy talerze i nie zostanie miejsca na potrawy — rozważała Diana.

— Próbuję ci powiedzieć, że ten problem już się rozwiązał — wtrąciła lekarka.

— Tak?

— Owszem. Kiedy powiedziałam Marii, kto będzie, sama zwróciła uwagę na brak miejsca i zaproponowała, żeby przenieść wieczerzę do nich. Uznałam, że to rozsądne. W ich salonie zmieścimy się bez problemu. Kuchnię także mają większą.

— A co niby my mamy tam robić? Przecież kucharki z nas żadne — zauważyła Diana.

— Toteż nie będziecie kucharkami, ale pomocami kuchennymi.

— O, czyli wyznaczycie nam pozycje na zmywaku?

— Nie tylko. Jeszcze przydadacie się do obierania i krojenia — odpowiedziała z powagą Wanda.

— Trudno, niech będzie — mruknęła Lisowska. — Przynajmniej nie będę musiała czyścić tutaj każdego zakamarka.

— Niby dlaczego?

— Skoro wieczerza u pani Marii, to...

— Świąteczne porządki trzeba zrobić i tak — przerwała jej niewzruszona starsza pani. — Nie wymigasz się, mowy nie ma.

— To już jest prawie niewolnictwo — zbuntowała się Diana. — Ale i tak wiem, że szkoda czasu na dyskusje. Gdy masz taką minę, zaczynam rozumieć, dlaczego byłeś świetnym chirurgiem, ciociu. Po prostu jesteś bezwzględna.

— Jeśli chcesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, to ci się nie uda. Lista zakupów już prawie gotowa, więc zrób porządek w bagażniku, bo będziesz potrzebować dużo miejsca, żeby wszystko zmieścić.

Diana zalała wrzątkiem kubek z ziołami i przykryła je talerzykiem, żeby się zaparzyły.

— Co do zakupów to specjalnie się nie martwię. Weź tę listę, ciociu, i podziel na trzy części.

— Nie rozumiem.

— Pierwszą wezmę ja, drugą wyślę Martynie, a trzecią Krzysztofowi. Raz-dwa i wszystko będzie załatwione.

— Chyba żartujesz! — zdenerwowała się Wanda. — Goście mają robić zakupy?! Absolutnie się nie zgadzam! To nie składkowa prywatka, tylko wieczerza wigilijna!

— Prywatka? — parsknęła Diana. — Nikt już dziś tak nie mówi.

— Ja mówię — odparła twardo ciocia. — I mówię też, że stać mnie na to, żeby ugościć tych, których zapraszam. Zwłaszcza w taki dzień.

— Ciociu, spokojnie. — Młoda kobieta uniosła dłoń w uspokajającym geście. — Rozmawiałam w drodze z Martyną. Do niej dzwonił Krzysztof. Razem ustalili, że chcą mieć wkład w to spotkanie. Ja też protestowałam, ale Martyna się uparła. Pozwólmy im na to, inaczej będą się źle czuli.

Wiesz, ja to rozumiem. Wiem, jak to jest, gdy po raz pierwszy spotyka cię dobro od innych. Trudno je przyjąć i ma się poczucie, że to litość. Ciociu, oni chcą mieć świadomość, że dołożyli się choć w minimalnym stopniu...

Nie wiedziała, jak to lepiej wyjaśnić, na szczęście nie musiała. Wanda zrozumiała.

— Podzielę listę na trzy części.



Martyna drgnęła, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Wrócił o tej porze? — zdziwiła się. — Jest dopiero po dwudziestej.

Wstała z fotela i wyszła do przedpokoju.

— Coś się stało w pizzerii? — zapytała zaniepokojona.

Tobiasza wyraźnie zaskoczyło to pytanie.

— Pierwszy raz zapytałaś o moją pracę — zauważył, wieszając kurtkę.

— Jesteś tak wcześnie, więc sądziłam, że coś się wydarzyło — wyjaśniła Martyna. — To źle, że zapytałam?

— Nie, skąd! — zaprotestował. — Tylko myślałem, że cię to nie obchodzi. Nie lubisz przecież ani pizzerii, ani tego, co robię.

— Masz rację — przyznała. — Nie lubię. Co nie znaczy, że mnie to nie obchodzi. W końcu dotyczy ciebie, prawda?

Po raz pierwszy od dawna spojrział na nią tak jak kiedyś — z sympatią i weselej.

— Nie martw się, wszystko w porządku. — Uśmiechnął się i wyciągnął z plecaka kilka grubych teczek. — Szef... a właściwie wspólnik — poprawił się — przyniósł mi papiery finansowe. Powiedział, żebym przejrzał i potem nie miał pretensji.

— Miło z jego strony. Ale to nie brzmi dobrze.

— Też tak pomyślałem. — Pokiwał głową. — Chociaż gdyby miał coś do ukrycia, to raczej by mi tego nie pokazywał. W każdym razie muszę się

w to wgrzyźć. A w pizzerii to raczej niemożliwe, więc uznałem, że posiedzę nad tym w domu.

— Dobra decyzja — przyznała. — Niestety, ja też się na tym nie znam, więc najwyżej mogę ci zrobić kawę.

— Dobrze i to — odparł. — Chociaż w głębi duszy liczyłem na ciebie. Wiesz, że nigdy dobrze mi nie szło ogarnianie pieniędzy.

— Bierzesz mnie na litość — roześmiała się Martyna. — W sumie mogłabym przejrzeć te papiery, ale myślę, że lepiej będzie, jeżeli zrobisz to sam. W końcu masz zamiar zająć się tym biznesem na poważnie, tak?

Ostatnie zdanie zabrzmiało trochę ironicznie i napastliwie, chociaż dziennikarka nie miała takiego zamiaru.

— Przepraszam, nie zamierzałam cię urazić — mruknęła.

— Spoko, rozumiem. Chociaż nadal nie pojmuję, dlaczego tak ci przeszkadza, że znalazłem coś, co mi pasuje. Nie musisz odpowiadać, to po prostu taka refleksja.

— Mówiłam ci już wiele razy — odparła. — Uważam, że stać cię na więcej. Że się marnujesz.

Tobiasz minął ją i wszedł do kuchni. Poszła za nim i obserwowała, jak robi sobie kawę, choć przecież wcześniej zaproponowała, że mu ją przygotuje.

— Stać mnie na więcej? — powiedział w końcu. — A co to znaczy „więcej”? Co to jest według ciebie? Tak, wiem, więcej to sława, kariera...

— Dlaczego nie?

— Pewnie, skoro ktoś tego chce, to jak najbardziej. Kłopot w tym, że ja nie chcę. Nigdy nie chciałem. I dobrze o tym wiesz.

— A czego chciałeś? — zapytała i zdziwiła się, że dotąd wcześniej nie zadała mu tego pytania.

Tobiasz stanął z filiżanką przy kuchennym oknie i popatrzył na rozświetlone okna budynków.

— Długo nie wiedziałem. Szukałem, próbowałem, robiłem rzeczy, które sprawiały mi chwilową radość — mówił powoli, jakby musiał dobierać odpowiednie słowa. — Nic mnie na dłużej nie interesowało. Chwytałem się wielu robót tylko po to, żeby zarobić na życie.

— Teraz jest inaczej?

— Tak. Po raz pierwszy poczułem, że chciałbym gdzieś zostać na dłużej. Rozumiesz? — Popatrzył na dziennikarkę. — Mieć coś stałego, zapuścić korzenie, coś budować. Mam dość ciągłej wędrówki, obcych miejsc, ludzi, których prawie nie znam i nie chcę poznać...

Martyna oparła się o framugę i przymknęła oczy. Czuła, że słowa Tobiasza płyną z głębi serca.

— Wiesz, do ogniska u Krzysztofa jeszcze się wahałem — wyznał. — Ale stało się coś, co mnie ostatecznie przekonało. — Popatrzył na kobietę i westchnął. — Martyna, my tu mamy prawdziwych przyjaciół. Zrozumiałem to, gdy pani Wanda i Diana zaprosiły nas na wigilię. Nikt nigdy tego nie zrobił. Nikt — powtórzył. — A one tak.

Dziennikarka głośno przełknęła ślinę.

— To właśnie ostatecznie rozwiało wszystkie moje wątpliwości — dodał Tobiasz. — Byłbym głupcem, gdybym nie zrobił wszystkiego, żeby zostać tam, gdzie są ludzie, którym na mnie naprawdę zależy. Chcę wreszcie zbudować spokojne i stabilne życie. Mam na to szansę i nie odrzucę jej. — Dopił kawę i wstawił filiżankę do zmywarki. — Zajmę biurko, okej? — zapytał, mijając Martynę.

— Pójdę z tobą — powiedziała. — Pomogę ci ogarnąć rozliczenia. Żebyś nie zaczął tej stabilizacji od jakiejś katastrofy. — Mrugnęła z bladym uśmiechem.

— Dzięki. Kochana jesteś.

Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział o tym, co dzieje się w mojej głowie — pomyślała Martyna.

Przed zaśnięciem długo zastanawiała się, co powinna zrobić. Czas na decyzję się kurczył i wiedziała, że za kilka dni będzie musiała dokonać wyboru.



Diana spędziła wieczór w pracowni.

— Mam ochotę posiedzieć przy kole — powiedziała cici. — Obiecywałam sobie, że zimą znajdę na to więcej czasu, a tu wciąż coś mi wypada.

— Idź, dziecko, idź — zachęciła Wanda. — A może zrobisz kubki dla Marii i Joanny? Bardzo im się podobały, na pewno byłyby zadowolone z takiej niespodzianki.

— A wiesz, że to dobra myśl? — podchwyciła Diana. — Zrobię dla wszystkich. Będziemy mieć takie same. Kubki z Wrzosowej Polany.

Pełna zapału zabrała się do pracy. Dotyk gliny i patrzenie na kręcące się koło zawsze sprawiały, że jej myśli układały się, a spokój ogarniał ciało.

Chyba mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwa — pomyślała, formując kawałek gliny i nadając mu kształt pękatego naczynia. — Nie tylko mogę robić to, co lubię, ale i mam dla kogo. Czego chcieć więcej?

A jednak gdzieś w głębi duszy czuła, że czegoś jej brakuje. Szybko odepchnęła tę myśl.

Diano, bądź rozsądna — przywoływała się do porządku. — Ciesz się z tego, co masz, bo niedawno marzyłaś tylko o spokoju. Niepotrzebne ci kolejne komplikacje.

Starła się kierować rozsądkiem, ale mimo to wzdychała głęboko raz po raz.

Skończyła robić kubki późno w nocy. Gdy wyszła z pracowni, Wanda już spała, a Kocio obok niej, rozciągnięty w nogach łóżka.

— Zdrajco! — szepnęła w stronę kocura. — Miałeś zawsze spać ze mną!

Cóż, koty robią zawsze to, na co mają ochotę, nie licząc się z tym, że łamią jakieś człowiecze serce. Jeśli oddaje się swoje kotu, trzeba liczyć się z jego niezależnością. Diana wybaczyła więc kocia zdradę, wsunęła się pod kołdrę i szybko zasnęła.



Następnego dnia skończyła sprzątanie garażu i przeniosła tam materiały i narzędzia, które kupiła wyłącznie dla uczestników warsztatów. Joanna zajrzała do niej rano, żeby przeprosić, że tego dnia jej nie pomoże.

— Obiecałam mamie, że pojedę z nią do lekarza.

— Źle się czuje? Może ją zawieźć? — zadeklarowała pomoc Diana.

— Nie trzeba, pojedziemy busem. Jest ładna pogoda, zrobimy sobie przy okazji zimowy spacer. To planowa wizyta, mama czekała ponad dwa miesiące.

— Skoro tak zdecydowałyście... Ale może mogłabyś wpaść po południu? Potrzebuję pomocy przy przeniesieniu stołów. Sama nie dam rady, blaty są dosyć ciężkie.

— Tak, po południu przyjdę — obiecała Joanna.

Do obiadu Dianie udało się przygotować całą resztę.

— Jestem właściwie gotowa na przyjmowanie grup — pochwaliła się cioci.

— Bardzo się cieszę. Rozesłałaś oferty?

— Chciałam mieć pewność, że ze wszystkim zdążę. Teraz już ze spokojem mogę czekać na chętnych.

— A co z Joanną?

— Właśnie nie wiem, nic nie mówi, a ja nie chcę naciskać. Mam nadzieję, że nie zrezygnowała.

— Cokolwiek zrobi, musisz pogodzić się z jej decyzją — zauważyła Wanda. — Może potrzebuje więcej czasu.

— Może... — westchnęła Lisowska. — Chociaż liczyłam na to, że jednak zdecyduje się zawalczyć.

— Walka to nie rzucanie się bezmyślnie na głęboką wodę, ale odpowiednie planowanie i strategia — odparła ciocia.

— Ja nie miałam strategii — przypomniała jej Diana.

— Za to miałaś odwagę i determinację. A Joanna jest raczej spokojną, cichą osobą. Może chce walczyć inaczej, na swój sposób?

— Jak zawsze mądrze mówisz, ciociu. — Diana popatrzyła na lekarkę z wdzięcznością. — Ja rzeczywiście jestem w gorącej wodzie kąpana. Ale naprawdę chciałabym, żeby Joanna nabrała wiatru w żagle. Cóż, muszę uzbroić się w cierpliwość.



Już wieczorem przekonała się, że na szczęście nie będzie musiała długo czekać.

Wanda wybrała się z Gretą w odwiedziny do Stacha i wróciły właśnie do Wrzosowej Polany, zaczerwienione od mrozu i spragnione gorącej herbaty.

— Ja zrobię. — Diana od razu podeszła do kuchni, żeby nalać wodę do czajnika. — A wy opowiadajcie, co słyhać u pana Stacha.

— Sama jestem zaskoczona jego postępami — zaczęła Wanda. — Już samodzielnie się podnosi, a dziś nawet zrobił kilka kroków z tą swoją laską z konara.

Widać było, że cieszy się z postępów starca.

— Ten młody chłopak ma na Stacha dobry wpływ — dodała zielarka. — I jakimś cudem potrafi go zmusić do posłuszeństwa.

— Daniel? Fizjoterapeuta? — upewniła się Diana. — Trudno uwierzyć.

— Mówiłam, że jest najlepszy — powiedziała z dumą Wanda.

— Ale nie wspomniałaś, że taki z niego czarodziej. Konkurencję mi robi — zażartowała Greta.

Popijały rozgrzewającą herbatę i rozmawiały o postępach Stacha, gdy rozległo się pukanie.

— Otwarte! — krzyknęła Diana. — Proszę wejść.

Do kuchni zajrzała Joanna.

— Dobry wieczór. Nie przeszkadzam? — Spłoszyła się nieco na widok zielarki.

— Wejdz, wejdz — zachęciła ją koleżanka. — Zupełnie zapomniałam, że miałyśmy przynieść stoły. — Popatrzyła na zegar. — Nie wiem, czy już nie za późno. Może przełożymy to na jutro, a dziś napijesz się z nami herbaty?

— Ale... myślałam, że wyjdziemy... — odparła niepewnym głosem Joanna. — Chciałam ci coś pokazać...

Diana dopiero teraz zobaczyła, że sąsiadka trzyma płócienną torbę.

— Bardzo chętnie zobaczę, co przyniosłaś. Pokaż tutaj — zaproponowała.

— Ale to nic wielkiego. — Joanna nie była przekonana. — Nie ma się za bardzo czym chwalić, to tylko takie próbki...

— Czy ja dobrze myślę? Czy masz tam mydełko?

Joanna skinęła głową.

— No to na co czekasz! Wyciągaj swoje dzieła! — Diana skinęła ręką, zapraszając Joannę do stołu.

Ta z wahaniem podeszła i zaczęła wyciągać na blat kolorowe mydlane kawałki.

— Te są zrobione w foremkach. — Pokazała na róże, misie i pieski. — Wybrałam takie kształty ze względu na to, że mają je robić dzieci, prawda? — Spojrzała pytająco na Dianę. — Zastosowałam naturalne barwniki i nietoksyczne olejki zapachowe. Te dziecięce pachną gumą balonową i ciasteczkami.

— Jakie cudne! — zachwyciła się Diana. — Już sobie wyobrażam zachwyt dzieciaków. To trudne do zrobienia?

— Nie, poradzą sobie na pewno — odparła Joanna.

— Doskonale! I o to chodzi!

— Myślisz, że to nie jest za słabe? Nie jestem fachowcem. — Joanna nie była pewna swoich umiejętności.

Nad stołem pochyliła się zielarka. Ją bardziej zainteresowały kwadratowe i prostokątne kawałki. Podniosła jeden z nich i powąchała, potem kolejny.

— Sama to zrobiłaś? — zwróciła się do Joanny.

— Tak, ale to dopiero próby. — Młoda kobieta nerwowo przygryzła wargę. — Te są naturalne, bez barwników, ale za to z ekologicznymi olejkami zapachowymi: lawenda, szałwia, rozmaryn, rumianek. Nie uczulają. Można je kroić na dowolne kawałki — wyjaśniała, z każdym słowem coraz bardziej zaangażowana. — Chciałam w nich zatopić rośliny, ale nie udało mi się na razie ich kupić.

Greta pokiwała głową.

— Jeżeli pani chce, proszę wziąć kawałek — zdobyła się na odwagę Joanna.

— A wiesz, że wezmę? — Zielarka się uśmiechnęła. — Zobaczą, ile to warte.



Samochód ruszył tak szybko, że koła zabuksowały na lodzie, który pokrywał jezdnię cienką warstwą. Woliński sprawnie poradził sobie z tym lekkim poślizgiem i wyprowadził auto na prostą.

— Dobry wóz — przyznał z uznaniem Tobiasz.

— Kupiłem go, gdy postanowiłem zamieszkać na wsi — odparł Krzysztof. — Ma wszystko, co trzeba, żeby radzić sobie w najtrudniejszych warunkach. — Skręcił, wrzucił kolejny bieg i ruszył w stronę Kielc. — Wiesz, gdy kupiłem ten dom w Świętej Katarzynie, to byłem pewien, że będę mieszkał w głuszy, niczym w Bieszczadach — oznajmił z uśmiechem. — Wcześniej całe życie spędziłem w mieście, w ogóle nie znałem wsi ani małych miasteczek. Byłem przekonany, że porywam się na coś niesamowicie trudnego.

— Taka chęć bycia drwalem w Bieszczadach ci się włączyła — domyślił się Tobiasz.

— Coś w tym stylu. Choć bardziej chyba celowałem w pioniera na Dzikim Zachodzie.

Roześmiali się obaj.

— Ale w sumie nie jest tu aż tak źle — zauważył Tobiasz.

— Pewnie, że nie. Mój dom właściwie niczym się nie różni od tego, który miałem w Kielcach. Wstyd przyznać, ale Diana podjęła się trudniejszego wyzwania — stwierdził samokrytycznie. — U niej w tej chałupce nie było

przecież nawet ogrzewania, tylko stary piec. Ja stanowczo przesadziłem z tymi przygotowaniami. — Poklepał kierownicę.

— Nie no, dzisiaj wóz się przydał — zauważył Tobiasz. — Swoją drogą, to ruszyłeś, jakby cię ktoś gonił.

— Powiem ci w sekrecie, że tak się właśnie czułem. Kiedy ciocia Wanda po raz kolejny wyjaśniała, że mamy kupić rodzynki sułtańskie, a nie zwykłe, to miałem wrażenie, że zaraz zwariuję.

— Co robić, kobiety tak mają. — Tobiasz wzruszył ramionami.

— Już trochę od tego odwykłem. Jakiś czas mieszkam samotnie, więc przyzwyczaiałem się do ciszy. A one się zebrały, wszystkie pięć, i każda w tym samym czasie musiała mówić. Szaleństwo!

— Ja się trochę zdążyłem oswoić, pracuję z trzema kelnerkami. Też gadają w każdej wolnej chwili.

— Mieszkasz z kobietą, więc pewnie i w domu musiałeś się przyzwycząić. — Woliński zerknął na Tobiasza.

— Akurat Martyna nie należy do tych, które wciąż mówią — odparł Tobiasz. — Ona jest raczej milcząca, czasami nawet trudno z niej coś wyciągnąć. No chyba że się wkurzy. Wtedy to jakby tornado przeszło.

— Po prostu ma temperament.

— I to jaki! — potwierdził montażysta. — Nie raz jej mówiłem, że trzeba wiele wyrozumiałości i cierpliwości, żeby z nią wytrzymać. Jak się na coś uprze, to koniec.

— Ale gdyby nie te cechy, to nie osiągnęłaby sukcesu — zauważył rzeczowo Woliński. — Ja akurat bardzo ją cenię za te właśnie cechy: upór w dążeniu do celu, niezależność, bezkompromisowość — wyliczał.

— Przecież nie mówię, że to źle — poprawił się Tobiasz. — Po prostu czasami bywa ciężko.

— Jednak jakoś z nią wytrzymujesz — stwierdził Krzysztof.

— A mam inne wyjście? — mruknął żartobliwie Tobiasz.

— Zawsze jest inne wyjście — odparł kierowca. — Zresztą tak się mówi, ale gdyby przyszło co do czego, to przecież nie pozwoliłbyś jej się wyprowadzić, prawda?

— Gdyby podjęła taką decyzję, to nie miałbym nic do gadania, uwierz.

— I nie poszedłbyś za nią?

— To zależy, co przyszłoby jej do głowy. Widzisz, Martyna czasami bywa... postrzelona. Szybciej działa, niż myśli. Do tego, gdy sobie coś postanowi, to nie uznaje odwrotu. Więc gdyby powiedziała, że na przykład wyjeżdża na Alaskę, żeby tresować renifery, to pojechałaby i już. Nie zastanawiałaby się, czy z nią pojedę, czy nie. I nie powstrzymałbym jej.

— Chyba przesadzasz. — Myślę, że bierze pod uwagę twoje zdanie i nie podjęłaby żadnej decyzji bez konsultacji z tobą.

— Wątpię — roześmiał się Tobiasz. — Zresztą nawet bym tego nie chciał. Martyna to wolny duch, artystka, niepokorna osoba. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym miał ją w jakikolwiek sposób blokować.

— Czyli pojechałbyś z nią na tę Alaskę? — Krzysztof rzucił Tobiaszowi krótkie spojrzenie.

— Teraz na pewno nie. Mam zamiar rozwijać pizzerię. Ale życzylibym jej powodzenia, serio. I mocno trzymałbym kciuki, żeby zrealizowała swoje marzenie.

Jechali w ciszy aż do granicy miasta.

— A myślisz, że jest coś, co mogłoby sprawić, że Martyna zrezygnowałaby z tego wyjazdu na Alaskę? — zapytał nieoczekiwanie biznesmen.

Tobiasz zmarszczył brwi i spojrzał zaskoczony na towarzysza.

— Jeżeli coś takiego miałoby się zdarzyć, to tylko z miłości — odparł po krótkim namyśle. — Ale ja bym jej to odradzał. Bo jeśli dla miłości pozostawi się swoją pasję lub marzenia, to uczucie nie przetrwa. Zresztą jeśli zmusza do takiej rezygnacji, to nie jest prawdziwe. Przynajmniej ja tak uważam.

Tym razem Woliński spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Fajnie to powiedziałeś — stwierdził. — Tylko czy to nie egoistyczne podejście? Mieć swoje potrzeby ponad potrzeby tego, kogo kochamy?

— Ale działa w obie strony. Ja nie zmuszam i oczekuję, że mnie też nikt nie będzie naciskał. Szanuję i chcę, żeby ktoś też szanował. Miłość to równość, partnerstwo, a nie poświęcenie i cierpienie.

— Czyli ty nie zrezygnowałbyś ze swojej pasji dla uczucia?

— Oczywiście, że bym zrezygnował. Ze mnie w głębi duszy jest straszny romantyk. Tylko udaję takiego macho.

Woliński nie wiedział, czy jego towarzysz żartuje, czy mówi poważnie. I chociaż bardzo chciał się dowiedzieć, jaka będzie reakcja Tobiasza na propozycję, którą otrzymała Martyna, to nadal mu się to nie udało.

Tobiasz spostrzegł, że Wolińskiemu nagle zmienił się nastrój.

— Co tak zmarkotniałeś? Boisz się, że pomylisz rodzyнки sułtańskie ze zwykłymi?

— Nawet mi nie mów! — mruknął biznesmen. — To mogłoby nas kosztować życie. Pani Wanda wygląda mi na taką, co nie bierze jeńców.



Wanda kolejny raz wyjrzała przez okno.

— Po śmierć ich posłać, do tego się nadają — mruknęła. — Wtedy miałabym pewność, że będę żyć co najmniej sto lat.

— Spokojnie, Wandziu. — Maria położyła jej rękę na ramieniu. — Na pewno zaraz przyjadą. Zresztą mamy dużo czasu, zdążymy ze wszystkim.

— Że my zdążymy, w to nie wątpię. Ale wyraźnie im powiedziałam, że mają się pospieszyć.

Diana szturchnęła Joannę w bok.

— Wyjechali całkiem szybko — szepnęła scenicznym szeptem.

— Ale nie zdziwię się, jeżeli nie wrócą w ogóle — zachichotała Joanna.

— Co wy tam tak szepczecie? — zainteresowała się Wanda.

— Myślimy, że może nie potrafia znaleźć tych rodzynek sułtańskich, ciociu. — Diana ledwie powstrzymywała śmiech.

Lekarka spojrzała na nią podejrzliwie.

— Myślisz, że niezbyt dokładnie im wytłumaczyłam? Mogą mieć wątpliwości?

— Ten trzeci raz był nieco niejasny. — Projektantka ściągnęła usta w dzióbek. — Ja nie byłabym pewna...

Wanda zrozumiała, że młoda kobieta sobie z niej żartuje.

— No, moja panno, tobie się wydaje, że to bez znaczenia. — Zgromiła ją wzrokiem. — Ale ja robię sernik wyłącznie z sułtańskimi. I jeśli ich nie przywiozą, to sernika nie będzie. — Ostentacyjnie zaplotła ręce na biuście.

— Wandziu, na pewno będą — uspokajała Maria.

— Ciociu, święta bez sernika? — Diana pokręciła głową. — Nie wiem, co goście na to powiedzą...

Wanda posłała jej groźne spojrzenie.

— Już ty mnie gośćmi nie szantażuj — powiedziała. — To nikt inny, tylko właśnie oni od półtorej godziny nie wracają.

Joanna odłożyła nóż i podeszła do okna.

— Żeby tylko się nie okazało, że pierwsza gwiazdka szybciej zaświeci, niż panowie przywiozą zakupy.

— A mówiłam, żeby nie zostawiać na ostatnią chwilę. — Wanda była coraz bardziej zdenerwowana.

— Ciociu, dajmy już spokój tym rodzinom — zaproponowała Martyna, oblizując palec. — Niech mi ciocia lepiej powie, czy ja dobrze kroję te daktyle.

Lekarka pochyliła się nad deską.

— Jakbym ja tak chciała ludzi kroić, to żaden pacjent by nie przeżył — orzekła z powagą. — Takie kostki to gościom w gardłach staną. Drobniej krój, dużo drobniej!

Dziewczyny spojrzały po sobie.

— Przecież ciocia pacjentów w kostkę nie kroila — zauważyła Diana.

— Ale gdybym chciała, tobym potrafiła — odparowała lekarka. — I pamiętajcie, że anatomię doskonale znam, więc wiem, jak kroić, żeby bolało, ale nie zabiło. Więc proszę się skupić na pracy i wykonywać polecenia z uwagą.

Martyna spojrzała na nią z uznaniem.

— No, powiem, że mi ciocia teraz zaimponowała. A miałam ciocię za taką dobrą i miłą osobę...

— Bo taka jestem — odparła. — Dopóki mnie ktoś ostatecznie z równowagi nie wyprowadzi.

Joanna zerknęła na sąsiadkę z lekkim niepokojem. Na szczęście Diana znała już Wandę i wiedziała, że seniorka żartuje.

— Nie przejmuj się. — Poklepała Joasię po ramieniu. — Ciocia tylko tak straszy. Muchy by nie skrzywdziła.

— Może byście, moje panny, już zakończyły te dyskusje i zajęły się cebulą? — przywołała je do porządku Wanda. — Potrzebujemy jej mnóstwo do śledzi.

— Świetnie sobie radzisz jako szefowa kuchni — zauważyła Maria, gdy młodsze pokolenie poszło do spiżarni po warzywa.

— Musiałam zapanować nad całą zgrają młodych lekarzy, głównie mężczyzn — wyjaśniła Kowalowa. — Każdy z nich uważał, że zjadł wszystkie rozumy, a większość żyła w przekonaniu, że kobieta nie nadaje się ani na chirurga, ani na ordynatora. To była dobra szkoła, zapewniam.

— Wyobrażam sobie. — Sąsiadka pokiwała głową.

— Na szczęście to już za mną. A doświadczenie się przydaje. Tylko, jak widzisz, z dziewczynami jakoś się udaje, a mężczyźni znowu sprawiają problemy.

— Wróć, wróć — zapewniła Maria. — Wiesz, oni pewnie niezbyt dobrze się czują w tym kuchennym zamieszaniu i dlatego trochę przedłużają swoją nieobecność.

Wanda machnęła ręką i mruknęła z przekąsem:

— A tyle się mówi o równouprawnieniu. Tymczasem panowie jakoś się do garów nie garną.

— Co zrobisz, takie życie — skwitowała z uśmiechem Maria.

Do kuchni wróciły dziewczyny. Niosły w rękach po kilka cebul i wciąż któraś im wypadła. Podnosiły je wśród śmiechu i wzajemnych przepychanek.

— Te też małego rozumu dostały — westchnęła zrezygnowana Wanda. — Roboty po uszy, a one tylko chichoczą.

— Coś mi się wydaje, że znalazły gąsior z winem porzeczkowym — domyśliła się Maria.

— Nawet mi nie mów... — Lekarka podeszła do młodych kobiet, które próbowały ułożyć cebule na stole. — Masz rację — zwróciła się do nauczycielki. — Zapach jak z winiarni. Zupełny brak odpowiedzialności!

Diana zachichotała i podniosła cebulę, która przed chwilą stoczyła się ze stołu.

— Niech się ciocia nie martwi, my tylko po łyeczku — zapewniła. — Zaraz cebulkę pokroimy.

— W drobną kosteczkę — dodała Martyna.

Joanna także zaśmiała się i szybko zakryła usta dłonią.

— Nie gniewaj się, mamó — powiedziała do Marii. — Chciałam tylko poczęstować dziewczyny. Naprawdę nie wypiliśmy dużo. To po prostu jakaś przedświąteczna głupawka...

Maria uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

— Wiesz, Wandziu, one niech lepiej już nam nie pomagają — powiedziała. — Coś mi się wydaje, że więcej z nich tu będzie szkody niż pożytku.

Wanda skinieniem głowy oznajmiła, że zgadza się z sąsiadką.

— Idźcie do nas — powiedziała. — I tam sobie chichoczcie nawet do rana. Tylko już mi w drogę nie wchodźcie.

Gdy dziewczęta wyszły, Maria poprosiła:

— Nie gniewaj się na nie. Joasia była taka szczęśliwa. Jak w dzieciństwie...

— Chyba podpita — sprostowała Wanda. — Ale niech im będzie. Może potrzeba im tego, żeby mogły poczuć się jak dzieci. Wszystkie zasługują na chwilę beztroski. Tylko my będziemy miały więcej pracy — westchnęła i wskazała na rozstawione wszędzie wiktuały.

— Poradzimy sobie. Byle te rodzinke sułtańskie dojechały. — Maria zrobiła zmartwioną minę.

— I ty też przeciwko mnie?! — roześmiała się Wanda. — Nie licz na to, że i ciebie stąd pogonię. Jeszcze taka głupia nie jestem, żeby sama z tym wszystkim zostać.



Oczywiście Wanda i Maria stanęły na wysokości zadania i następnego dnia, kilka godzin przed wieczerzą, wszystkie potrawy były gotowe. Seniorzki z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku popatrzyły na posprzątaną kuchnię.

— Gotowe — oświadczyła z dumą Wanda. — I niech mi ktoś powie, że starzy są nikomu niepotrzebni. Co ci młodzi by bez nas zrobili?

Maria podzielała zdanie sąsiadki.

— Teraz chyba nasza kolej na odpoczynek. Przebieramy się i będziemy rezydować przy stole. Obsługą niech się zajmą inni.

Jak na komendę zdjęły fartuszki i starannie odwiesiły je na haczyki zamontowane na kuchennych drzwiach. W tej samej chwili usłyszały zamieszanie w hallu. To Joanna z Dianą wróciły ze spaceru. Roześmiane i zadowolone wkroczyły do kuchni.

— O! Jaki tu porządek! — zdziwiła się projektantka.

— I mamy nadzieję, że taki będzie, kiedy wieczerza się skończy — odparła Wanda. — Ale to już wasze zmartwienie.

— Tak, my swoje zadanie wykonałyśmy — dodała Maria.

Młodym kobietom zrobiło się trochę wstyd.

— Ale my chciałyśmy pomóc... — zaczęła Joanna.

— Okej, zawaliłyśmy — stwierdziła samokrytycznie Diana. — Nie popisałyśmy się, trzeba przyznać. Ale nadrobimy. Pani Mario, ciociu, idźcie do salonu i odpocznijcie. My zajmiemy się resztą.

— I to rozumiem. — Wanda się uśmiechnęła.

Kiedy seniorki wyszły, Diana rozejrzała się po kuchni.

— Musimy się zrehabilitować. Mam nadzieję, że wiesz, gdzie trzymacie zastawę, sztućce i obrus. — Spojrzała pytająco na Joannę.

— Jasne. Tylko z rozłożeniem stołu będzie problem. Oporny jest. Zawsze tata się tym zajmował, a po jego śmierci nie musiałyśmy, bo wystarczało miejsca dla nas dwóch...

— W takim razie poczekamy, aż przyjedzie Krzysztof. Albo Tobiasz z Martyną. A potem raz-dwa ogarniemy sytuację — zdecydowała Diana.

— Chyba już są. — Joanna wskazała na samochody, które właśnie parkowały przed bramą.

— No i super! W samą porę!

Joanna ruszyła do drzwi, żeby otworzyć gościom. Tymczasem zamiast nich pierwsza w progu pojawiła się... ogromna choinka. Lekko zasapany Krzysztof wpychał się z drzewkiem do środka.

— Z drogi, z drogi! — pokrzykiwał wesoło. — Proszę mnie kierować, przez te gałęzie nic nie widzę.

Joanna roześmiała się głośno.

— W prawo, bardziej w prawo. Nie, za bardzo! Teraz w lewo.

Wreszcie drzewko znalazło się w salonie, budząc zachwyt Wandy i Marii.

— Jaka piękna!

— Dobrze, że są tu wysokie sufity — zauważyła gospodyni. — Jest naprawdę ogromna!

— Pomyśleliśmy, że nie ma co się ograniczać — oznajmiła Martyna, gdy wkroczyła do salonu. — Niech to będą prawdziwe święta. — Uśmiechnęła się szeroko.

— Dobrze, że Krzysztof ma takie wielkie auto. — Tobiasz dołączył do towarzystwa. — I bagażnik na dachu. Całą drogę się zastanawiałem, co będzie, jeśli nas patrol zatrzyma, bo ten czubek wystawał sporo przed maskę.

— Mam nadzieję, że macie stojak — zagadnął Woliński, który cały czas trzymał choinkę. — Jeśli nie, to spędzę cały wieczór jako podpórka do świątecznego drzewka...

— Powinien być gdzieś w piwnicy — zastanowiła się Maria. — Joasiu, idź poszukać — poprosiła córkę.

Rzeczywiście, stojak się znalazł, a Krzysztof dosyć sprawnie osadził w nim choinkę.

— Nie tak to sobie wyobrażałam. — Martyna krytycznie spojrzała na jego dzieło.

— A co? Krzywo jest?

— Prosto. Tylko jakoś tak...

— Bo nie ma ozdób — zauważyła przytomnie pani Maria.

— No tak! — Dziennikarka klepnęła się dłonią w czoło. — Potrzebne bombki i światełka!

— Obawiam się, że w tym względzie nie mamy zbyt wiele do zaoferowania — zastrzegła gospodyni. — Tak dużego drzewka nie było u nas od kilkadziesiąt lat. A ostatnio zadowalałyśmy się maleńką, symboliczną choinką.

— W takim razie poradzimy sobie inaczej. — Diana postanowiła nie dopuścić do tego, żeby ktokolwiek pogrążył się w smutku. — W końcu są tu same kreatywne osoby, coś wymyślimy.

— Byle szybko, bo za dwie godziny będą tu Greta i Stach, musimy być ze wszystkim gotowi — przypomniała Wanda.

Nikogo to nie zdziwiło, choć do tej pory nie wiedzieli o dodatkowych gościach. Ale obecność zielarki i starego rzeźbiarza wydała się wszystkim zupełnie naturalna.

— Może trzeba po nich pojechać? — zaproponował Tobiasz.

— Nie trzeba, to już załatwione. — Wanda podziękowała uśmiechem. — Wy lepiej zajmijcie się tym, żebyśmy mogli usiąść przy nakrytym stole

i pięknej choince. No, bardzo jestem ciekawa, jak sobie poradzicie. A my, staruszki, będziemy się temu uważnie przyglądać.

— Tylko nie staruszki — wtrąciła Maria z udawaną urazą, budząc tym wesołość towarzystwa.

— Skoro ciocia stawia nam wyzwanie, pokażemy, na co nas stać. — Martyna od razu nabrała ochoty do działania. — Robimy szybkie zebranko w kuchni, zapraszam. — Skinęła na pozostałych.

— Myślisz, że dadzą radę? — zafrasowała się Maria.

— Jestem pewna — odparła z przekonaniem Wanda. — Czy ty nie widzisz, że to wspaniali ludzie?! Dajmy im się wykazać. Siedzmy spokojnie i czekajmy na efekty.

Tymczasem młodsze pokolenie rozpoczęło realizację ustalonego w kuchni planu. Sprawnie podzielili zadania i przystąpili do pracy. Panowie rozłożyli stół, a Joanna zajęła się wyjmowaniem talerzy, półmisek i odświeżonych sztućców, które Martyna z Dianą szybko wytarły i ułożyły na stole.

— Trochę tu pusto — oceniła dziennikarka.

Szybko podeszła do choinki i urwała kilka drobnych gałązek. Diana zaś pobiegła do swojego domu. Wróciła nie tylko ze wstążkami, ale przyniosła jeszcze pudełko glinianych figurek.

— Zostało trochę po mikołajkowych warsztatach — oświadczyła. — Niestety, to te mniej udane...

Rzeczywiście, większość glinianych mikołajów miała braki: niektóre były bez brody, inne bez ręki lub nogi. Renifery nie prezentowały się lepiej — w większości pokracczne i krzywe.

— Dla mnie bomba! — Martyna klasnęła w ręce. — Są bardzo autentyczne. Tak brzydkie, że aż piękne! Dawaj te wstążki, niech wszyscy przewlekają przez dziurki i wieszają na choince.

— To może my zrobimy papierowy łańcuch? — zaproponował Tobiasz. — Bo tych figurek to ja się boję dotknąć. Nie jestem zbyt delikatny...

— Łańcuch się przyda — zgodziła się Diana. — Tylko z czego? Bo chyba nie mamy kolorowego papieru.

— Za to mamy w piwnicy dużo gazet — włączyła się Joanna. — Mama kiedyś zbierała kobiece pisma. Mamo, możemy? — zwróciła się do Marii.

— Oczywiście.

— Szkoda, że nie ma żadnych światełek. Trochę mało kolorowa ta nasza choinka. I żadnych słodyczy... — marudziła Diana.

— W tym metalowym pudełku w kuchennej szafce są lukrowane pierniczki — podpowiedziała Maria. — Co prawda, to miała być niespodzianka...

Joanna podbiegła do matki i pocałowała ją w policzek.

— Kochana jesteś! Dziękuję!

W Marii serce rosło, gdy widziała córkę tak szczęśliwą.

Joanna wróciła z pierniczkami i płócienną torbą.

— Nie wiem, co wy na to, ale może moje mydełka dodałyby choince trochę koloru — zaproponowała nieśmiało. — Wiem, że to dziwny pomysł, jednak skoro nie ma nic innego...

— Pewnie, że tak! — podchwyciła Diana i szeroko się uśmiechnęła. — Będą w sam raz!

I znowu podzielili się zadaniami. Woliński za pomocą przyniesionego z samochodu śrubokrętu robił dziurki w mydełkach, Tobiasz ciął gazety na paski, a Diana, Martyna i Joanna nawlekały wstążeczki i wieszały gotowe ozdoby na jodłowych gałązkach.

— Widzisz, jak im dobrze idzie? — wyszeptała Wanda do ucha sąsiadki. — I jak świetnie się przy tym bawią!

— W życiu nie widziałam dziwniejszej choinki — odparła szeptem Maria. — Ale mam wprawę w chwaleniu nawet najbrzydszych uczniowskich prac, więc i tym razem dam radę. Najważniejsze, że są zadowoleni.



Ciała piątka stanęła przed przystrojoną choinką.

— Całkiem nieźle to wyszło — ocenił Tobiasz. — Powiem nieskromnie, że łańcuch dodaje drzewku wiele uroku.

— Gdyby nie pani Wanda, która podpowiedziała ci, że można przygotować klej z mąki, to mógłbyś z tych gazetowych pasków co najwyżej anielskie włosy zrobić — przypomniała mu Martyna.

— Fakt, ale to tylko dobrze o mnie świadczy. Potrafię czerpać z doświadczenia starszych. — Mężczyzna nie dał sobie odebrać zadowolenia z dzieła.

— I co? Daliśmy radę? — zwróciła się Diana do senierek.

Te popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się.

— Dobrze się spisaliście — pochwaliła Maria. — Trzeba przyznać, że kreatywności wam nie brakuje.

— Zgadzam się — potwierdziła Wanda. — Prawdę mówiąc, stawiałam na to, że wsiądziecie w auta i pojedziecie do Kielc po ozdoby.

— Ale numer! — roześmiała się głośno Martyna. — Na to nie wpadliśmy! A przecież to było najprostsze rozwiązanie!

— Tylko że wtedy nie mielibyśmy takiej oryginalnej choinki — zauważyła Joanna.

— I nie byłoby zabawy — dodał Tobiasz. — Nie wiem jak wy, ale ja czułem się jak dzieciak i bardzo mi się to podobało.

Dzwonek do drzwi przerwał zachwyty nad świątecznym drzewkiem.

— To chyba nasi ostatni goście. — Maria wstała i poprawiła pasek sukienki. — Chodź, Wandziu, dzisiaj obie jesteśmy tu gospodyniami. Razem ich przywitamy.

Podkreślenie jej roli w wigilijnej wieczerzy wzruszyło lekarkę.

— Dziękuję, Mario. — Głos lekko jej zadrżał. — To dla mnie zaszczyt.

Ramię w ramię poszły do hallu, żeby otworzyć drzwi.

— Prawdziwe damy. — Martyna była pod wrażeniem ich dystynkcji.

Tymczasem przy wejściu zrobiło się zamieszanie.

— Witajcie, Greto, Stachu.

— Dzień dobry państwu — dołączyła Maria. — Bardzo się cieszę, że zgodziliście się przyjąć nasze zaproszenie.

Starzec spojrział na zielarkę.

— Mówiłem ci, że to nie dla mnie — powiedział tubalnie. — Ja się do pałaców nie nadaję. Trzeba było mnie zostawić w mojej chałupie.

— Stachu, nie narzekaj — przywołała go do porządku Greta. — Może przywitaj się, jak należy.

— Dzień dobry — powiedział mężczyzna. — A właściwie chyba dobry wieczór...

— Rzeczywiście, pan ma rację. — Maria wiedziała, że dobra gospodyni przede wszystkim stara się, aby goście dobrze się czuli. — Chyba przyjęliśmy zbyt oficjalne formy. Zapewne to dlatego, że jeszcze się dobrze nie znamy. Mam jednak nadzieję, że dziś się to zmieni. Jestem Maria.

Greta lekko się uśmiechnęła.

— Dobra energia zawsze bierze górę — powiedziała. — Mówiłam ci, Stachu, że będzie dobrze.

— Pożyjemy, zobaczymy — mruknął starzec.

— Panie Stachu, niech pan poda mi kurtkę. — Do rozmowy włączył się młody mężczyzna, który do tej pory stał z boku. — Rozumiem, że chce pan utrzymać swój image, ale...

— Mógłbyś chociaż w towarzystwie udawać, że odnosisz się do mnie z szacunkiem, młody człowieku — zirytował się Stach.

— Jak tylko pan przestanie udawać, że się nie cieszy z tej wizyty. — Chłopak wcale nie przejął się połajanką. — Pan Stach mocno pracował, żeby móc tu dzisiaj dotrzeć. Ćwiczyliśmy intensywnie i się udało — oznajmił pozostałym.

— Ależ z nas gospodynie! — Wanda pokręciła głową. — Trzymamy was w drzwiach, a Stach przecież powinien usiąść.

— Przecież się nie skarzę — oburzył się starzec, opierając się mocniej na grubym konarze.

— Panie Danielu, proszę pomóc Stachowi przejść do salonu.

— Nie trzeba — zaprotestował rzeźbiarz. — Poradzę sobie sam.

Powoli, stawiając krok za krokiem, ruszył przed siebie. Wanda z niepokojem spojrzała na fizjoterapeutę, ale ten uspokajająco pokiwał głową.

— Nie musicie wstrzymywać oddechu — rzucił starzec przez ramię. — I nie róbcie ze mnie widowiska.

Greta szybko zdjęła kozuch i podążyła za Stachem. Podeszła do niego i ujęła go pod ramię.

— Skoro już jesteśmy w pałacu, to może wprowadzisz mnie na salony? — zażartowała.

Wanda ze wzruszeniem spojrzała na ten nienachalny sposób pomocy. Wiedziała, że ramię Grety wspiera Stacha, ale zielarka zadbała o to, żeby mężczyzna mógł zachować dumę i poczucie, że doskonale sobie radzi.

— To ja już będę jechał. — Daniel przypomniał im o swojej obecności. — Pani Wando, o której mam wrócić po pana Stacha?

— Panie Danielu, bardzo dziękuję, że zechciał pan nam pomóc w taki dzień — odparła lekarka. — Nie chciałabym pana fatygować po raz drugi. Mamy tu kilka samochodów, ktoś Stacha odwiezie. A pan na pewno chciałby spędzić wigilię z najbliższymi.

— Jak pani uważa, pani Wando, ale dla mnie to naprawdę nie problem. Rodzice wyjeżdżają do mojej starszej siostry, więc planujemy tylko życzenia i może jakiś wspólny śledzik przed ich wyjazdem.

— A pan nie jedzie z rodzicami? — zafrasowała się Maria.

— Niestety, nie mogę. Mam pod opieką dzieciaka, który wymaga codziennej rehabilitacji, więc muszę zostać — wyjaśnił.

— W takim razie może siądzie pan z nami do wieczery? — zaproponowała spontanicznie Wanda.

— Nie chciałbym państwu przeszkadzać. — Daniel pokręcił przecząco głową. — To rodzinne święta, a ja przecież...

— Pani Wandzie się nie odmawia — wtrąciła się nieoczekiwanie do rozmowy Joanna, która stanęła za matką i przysłuchiwała się rozmowie.

Daniel popatrzył na nią i widać było, że zrobiła na nim wrażenie, choć starał się to ukryć. Nie mógł jednak oderwać od niej wzroku.

— Pan Daniel jest umówiony z rodzicami — wyjaśniła lekarka. — Nie możemy go do niczego zmuszać, Joasiu.

— Właściwie to mam jeszcze trochę czasu — zmienił nagle zdanie Daniel. — Tylko naprawdę nie chciałbym...

— Doskonale! — ucieszyła się Maria. — W takim razie proszę wejść. Joasiu, wstawiajcie z dziewczynami wodę na pierogi — poleciła.

Joanna skinęła głową i poszła do salonu, a młody fizjoterapeuta odprowadził ją wzrokiem, co nie uszło uwadze Marii.

— Zapraszamy, panie Danielu — zachęciła jeszcze raz.

— Może przy okazji zdradzi nam pan, jakim sposobem udało się panu okiełznać naszego Stacha — dodała Wanda. — Głowię się nad tym od dłuższego czasu.

Fizjoterapeuta zdjął kurtkę i w towarzystwie senierek wkroczył do salonu, gdzie przy nakrytym białym obrusem stole siedzieli już pozostali goście.

— To pan Daniel — przedstawiła go Maria. — Żywy dowód na to, że dodatkowe nakrycie naprawdę może się przydać.

— Zapraszamy! — rozległy się przyjazne okrzyki.

Stach skinął na niego ręką.

— Przy mnie usiądź, młody człowieku. Będę pilnował, żebyś mi wstydu nie narobił, bo lubisz czasami coś palnąć bez zastanowienia, a tutaj są damy, więc trzeba delikatnie i z wyczuciem.

Nastąpiło przekładanie nakryć i zmiana krzeseł, aż w końcu przy stole zapanował porządek i każdy znalazł swoje miejsce.

— W takim razie czas podzielić się opłatkiem — zdecydowała Maria.



Wieczera w willi Marii trwała dłużej, niż którykolwiek z gości mógłby przypuszczać. Okazało się, że seniorki przygotowały tyle wigilijnych potraw, że nawet mężczyźni musieli się poddać.

— Ja już nic nie wcisnę — oznajmił Krzysztof, klepiąc się po brzuchu. — Moja asystentka będzie załamana. Cała jej konsekwencja w chowaniu przede mną ciasteczek poszła na marne!

— Też czuję, że po świętach będę musiał odnowić karnet na siłowni — westchnął Tobiasz. — Z pewnością po tej uczcie przybyło mi kilka kilogramów.

— Jako przyszły właściciel lokalu gastronomicznego chyba nie musisz się przejmować. Będziesz żywą reklamą swojego biznesu — zażartowała Diana.

— Tak uważasz? — Tobiasz uniósł brwi. — W takim razie może wcisnę jeszcze kawałek makowca?

— Bierz, bierz — zachęciła Wanda. — Nie po to stałyśmy tyle godzin przy kuchni, żeby teraz miało się zmarnować.

— O, to byłoby straszne! — Tobiasz udał przerażenie. — Skoro tak ciocia mówi, to nie odmówię. — I sięgnął po ciasto.

Po kilku godzinach biesiadowania, wspólnych rozmów i po odśpiewaniu kolęd goście nieco przycichli. Stach przesiadł się na sofę, obok niego usadowiła się Greta, a potem dołączyła do nich Maria. Rozmawiali o czymś z zapałem, a przechodząca obok Diana usłyszała, że opowiadają o okolicy.

Na pewno wiele wiedzą na ten temat — pomyślała. — Wszyscy żyją tu przecież od lat. Dobrze, że odnowili znajomość.

Martyna z Joanną zajęły się zmywaniem.

— Nie znoszę prac domowych — wyznała dziennikarka. — Dlatego zmywarka była pierwszym sprzętem, o który zapytałam przy wynajmowaniu mieszkania.

— A ja nawet lubię — odparła Joanna, polerując szklanekę do napojów. — Tylko że dla samej siebie to nie zawsze się chce. Zresztą widzę to nawet po mamie. Gdy tata żył, często piekła ciasta, robiła zawsze obiad z dwóch dań i różne przetwory. A teraz rzadko. W sumie to rozumiem, bo trzeba mieć dla kogo...

— Znajdź sobie faceta — podpowiedziała Martyna.

— Co ty mówisz?! — Joanna była zaskoczona tym pomysłem.

— Fajna jesteś, urody ci nie brakuje, a na dodatek jeszcze masz chęć bawić się w dom. Każdy facet powinien być wdzięczny losowi, że go wybierzesz. Nie to, co ja: ciągle poza domem, zakręcona, ze wstrętem do odkurzacza i żelazka.

Joanna popatrzyła na nią spod oka i nic nie powiedziała.

— No chyba się nie obraziłaś? — Martyna przyjacielsko ją szturchnęła. — To były komplementy, serio. Poza tym choćby ten Daniel. Widziałaś, jak na ciebie patrzył?

— Bez przesady...

— Właśnie z przesadą — zażartowała dziennikarka. — Oczu nie odrywał. Chyba chętnie by się zajął twoją rehabilitacją — roześmiała się z własnego dowcipu.

Joanna się zaczerwieniła, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na szczęście z niezręcznej sytuacji wybawiła ją Diana.

— Czy wy wiecie, która jest godzina? Już po dwudziestej trzeciej! Wyobrażacie sobie!

— Naprawdę?! — zdziwiły się koleżanki.

— Tak. Pani Wanda już dzwoniła po Daniela, bo ten się uparł, że odwiezie pana Stacha. Co prawda, mógłby to zrobić Krzysztof, zupełnie nie rozumiem, po co Daniel ma specjalnie przyjeżdżać z Kielc...

— A ja chyba rozumiem. — Martyna mrugnęła do Joanny. — Może idź poprawić makijaż? — zaproponowała.

— O czym wy mówicie? — Diana była wyraźnie zdezorientowana.

— Już my wiemy o czym — odparła dziennikarka. — W każdym razie zmywanie skończone i możemy wracać do salonu.

— No i trzeba się zbierać do domu — dodała Diana. — Nasi seniorzy są już chyba zmęczeni. Dużo wrażeń dziś mieli.

Zarządzono więc koniec wigilijnej kolacji.

Pani Maria i ciocia Wanda postanowiły jeszcze przygotować wałówki dla Greta, Stacha, Martyny i Krzysztofa. Na nic zdały się protesty — panie były nieubłagane i wkrótce każdy z gości otrzymał stosowny pakunek pełen słoików i pudełek ze smakołykami.

Światła samochodu podjeżdżającego pod willę były sygnałem, że właśnie zjawił się Daniel. Wszyscy wyszli przed dom, żeby pomachać rzeźbiarzowi i Grecie, którą fizjoterapeuta także zaoferował się odwieźć.

— To była naprawdę udana wieczerza — powiedziała zielarka, żegnając się z Marią i Wandą. — Nie na siłę, bo wypada, ale wspólnota ludzi, których wiele różni, ale potrafili na ten czas wznieść się ponad różnice. Tak, były przy tym stole prawdziwie dobra energia i magia Bożego Narodzenia. Dziękuję, że mogłam tu być.

— To my dziękujemy — odparła Maria. — I pamiętaj, co ci powiedziałam, Greto. Drzwi mojego domu są zawsze dla ciebie otwarte i będzie mi bardzo miło, jeśli zechcesz mnie odwiedzić.

Uścisnęły się i zielarka miała zamiar podążyć za Stachem, który — podtrzymywany przez Daniela — był już prawie przy aucie. Nieoczekiwanie od strony furtki rozległ się okrzyk pełen radości. Jakaś

mała postać biegła przez odśnieżoną ścieżkę wprost do grupy zebranej u szczytu schodów.

— To Julia! — zawołała Lisowska.

— Wesółych świąt. — Dziewczynka zatrzymała się przed nimi i dygnęła.

— Wesółych świąt — odparła Diana. — A co ty tutaj robisz o tej porze? Jesteś sama?

— Nie, z mamą. — Mała wskazała na kobietę stojącą w mdłym świetle latarni po drugiej stronie ulicy. — Idziemy na pasterkę.

— Ach, z mamą... — Zielarka podniosła wzrok i spojrzała na kobietę za płotem.

— Poznałam panią z daleka — Julka popatrzyła na Dianę — i powiedziałam, że chcę złożyć życzenia. Dzisiaj wigilia, wszyscy to robią, prawda?

— Tak, masz rację — przytaknęła Maria. — W dzisiejszą noc wszyscy życzą sobie dobrze.

— Szkoda, że tylko w dzisiejszą — mruknęła Wanda pod nosem.

— Dobrze z ciebie dziecko — odezwała się nieoczekiwanie milcząca dotąd Greta. Potem zdjęła jeden ze swoich naszyjników i założyła go na szyję dziewczynki. — To prezent świąteczny dla ciebie.

— Ale ja nie mam nic dla pani — zasmuciła się Julka.

— Nie szkodzi. — Greta pogładziła zaróżowiony od mrozu policzek. — A teraz wracaj do mamy, pewnie już się niecierpliwi.

— Dziękuję! Wesółych świąt! — powiedziała jeszcze raz dziewczynka i pobiegła z powrotem.

— Kto to był? — zagadnął Woliński. — Bardzo rezolutne dziecko.

— Córka jednej z tutejszych — wyjaśniła Diana. — Jest wnuczką poprzedniego właściciela Wrzosowej Polany. Ale matka nie pozwala jej na przyjmowanie prezentów, więc pewnie, niestety, i tego naszyjnika nie pozwoli jej zatrzymać.

Zielarka odprowadziła wzrokiem odchodzącą kobietę i jej córkę.

— Skoro pozwoliła jej do nas przyjść, to pozwoli też zatrzymać prezent
— stwierdziła spokojnie. — W dzisiejszą noc wszyscy życzą sobie dobrze
— powtórzyła w zamyśleniu.

A potem odeszła do samochodu, gdzie czekał Stach z Danielem.



W pierwszy poświęteczny dzień o poranku Tobiasz zapukał do drzwi Wrzosowej Polany. Otworzyła mu Wanda.

— A co ty tutaj robisz tak wcześnie? — zdziwiła się.

— Później idę do pracy, dlatego przyjechałem teraz — wyjaśnił. — Diana jeszcze śpi?

— Już wstała, ale jest w łazience. Wejdz, poczekasz.

Mężczyzna usiadł przy stole, a Kocio natychmiast wskoczył mu na kolana. Tobiasz podrapał go pod brodą.

— Masz u niego specjalne względy — stwierdziła z uśmiechem Wanda. — Zwykle z dystansem podchodzi do gości.

— Czuję się zaszczycony. Względy kota to naprawdę zaszczyt.

— Żebyś wiedział. One podobno doskonale wyczuwają ludzkie charaktery. — Wanda postawiła przed nim talerzyk i dodała: — Zaraz zrobię coś do jedzenia. Jestem pewna, że wyjechałeś bez śniadania.

— Dziękuję, ciociu, nie trzeba. — Tobiasz pokręcił głową. — Nadal trawię to wszystko, co z panią Marią nam dałyście w Wigilię.

— Dobrze, dobrze. — Nie miała zamiaru słuchać jego protestów. — Śniadanie jest niezwykle ważne, daje energię do działania. Można zrezygnować z kolacji, ale poranny posiłek to podstawa. Trochę wędliny, sałatka — wyliczała, wyjmując z lodówki plastikowe pudełka i stawiając je na stole. — Częstuj się, proszę.

Tobiasz uległ smakowitym zapachom i napełnił talerz. Diana zastała go pałaszującego w najlepsze kanapki.

— O! Co za niespodzianka! Zateśniłeś za czymś innym niż pizza? — zażartowała.

— Próbowałem się oprzeć, ale mam słabą silną wolę. — Rozłożył ręce. — Ale nie myśl, że przyjechałem tylko po to, żeby was objadać. Mam ważniejszą misję.

— Nie bardzo rozumiem, ale na pewno zaraz mi powiesz.

Diana zajęła miejsce obok niego i sięgnęła po plasterek domowego pasztetu.

— Joanna napomknęła mi coś o stołach do przeniesienia, więc pomyślałem, że mogę się przydać.

— Fakt, od kilku dni zamierzamy się tym zająć, ale przedświąteczna gorączka pokrzyżowała nam plany. — Poradziłybyśmy sobie, Joasia nie musiała cię kłopotać. Masz na pewno mnóstwo pracy w lokalu.

— Otwieramy dopiero w południe, więc przez całe poranki leniuchuję — zaśmiał się. — Poza tym muszę spalić poświęteczne kilogramy. Nie mówiąc już o tym, że przy okazji zabiorę gazowe ogrzewacze. Tobie już nie będą potrzebne, a ja może zorganizuję zimowy ogródek w pizzerii, bo zaczyna nam brakować stolików.

— Ach, więc przyjechałeś po prostu zabrać, co twoje! — udała oburzenie Lisowska. — I ukrywasz prawdziwe intencje pod pozorem pomocy.

— A więc mnie rozgryzłaś! Cóż, trudno, słowo się rzekło, więc przeniosę te stoły. Niech już będzie moja strata.

Wanda przysłuchiwała się tym przekomarzaniom z zadowoleniem. Miło było widzieć młodych ludzi, przyjemnie być częścią ich życia...



Joanna przysiadła na drewnianej skrzynce.

— Teraz to już chyba wszystko jest gotowe — oceniła.

— Tak, Tobiasz świetnie się spisał. A ten pomysł zrobienia ze starych palet foteli dla opiekunów jest genialny!

Rzeczywiście, mężczyzna nie tylko wymyślił, jak wykorzystać palety, ale też od razu je skręcił, więc im pozostało tylko pomalowanie ich i dokupienie kilku poduszek na siedziska.

— Po południu pojedziemy do Kielc i zrobimy ostatnie zakupy. Co ty na to? Masz czas? — zaproponowała Diana.

— Czas to może i mam — odparła Joanna — ale za to nie mam pieniędzy. — Widać było, że to wyznanie przyszło jej z trudem.

— Niedługo pojawią się zamówienia na warsztaty — pocieszyła ją Lisowska.

— Mam nadzieję — westchnęła koleżanka. — Bo moja ostatnia pensja już się skończyła i będę teraz siedzieć u mamy na garnuszku. A to niezbyt komfortowe, chyba rozumiesz.

— W życiu różnie się układa. Ja też nie raz się bałam, że nie będę miała za co żyć, ale zawsze jakoś się udawało. Tobie też się ułoży, zobaczysz!

Joanna popatrzyła smutno na Dianę.

— Podziwiam twój optymizm. Ja nie mam go aż tyle. I trochę obawiam się nawet myśleć pozytywnie. Ostatni czas pokazał mi, że lepiej nie mieć planów...

— Nic podobnego! Trzeba mieć cel. I marzenia — zaprotestowała z przekonaniem Diana. — To one dają siłę do pokonania przeciwności. Wiem, co mówię, naprawdę!

— Może masz lepsze doświadczenia. — Joanna nie dała się przekonać.

Diana popatrzyła na nią pytająco. Nie chciała nalegać na zwierzenia, ale czuła, że Joanna potrzebuje wyrzucić z siebie złe wspomnienia. I była gotowa jej wysłuchać. Nie pomyliła się. Sąsiadka przez chwilę milczała, a w końcu zdecydowała się mówić.

— Wyjechałam z domu na studia, a zaraz po dyplomie na drugi koniec kraju. Zakochałam się i byłam pewna, że dla miłości warto zrobić wszystko.

Diana ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Niestety, okazało się, że to tylko moje przekonanie. — Joanna uśmiechnęła się smutno. — Nie będę cię zanudzać szczegółami, zresztą to już dawno przebolełam. Krótko mówiąc: zostałam sama, z kredytem na mieszkanie. Na szczęście miałam pracę, którą naprawdę lubiłam. Co prawda, nauczyciele nie zarabiają wiele, ale w domu nikt na mnie nie czekał, więc brałam dodatkowe godziny, prowadziłam też kółka zainteresowań w lokalnym domu kultury, a w wakacje i ferie wyjeżdżałam jako opiekunka na kolonie i obozy. Radziłam sobie.

— No widzisz! — ucieszyła się Diana.

— Wydawało mi się, że powoli wrastam w tamtą społeczność, znałam wielu ludzi, sądziłam, że jestem lubiana... — Zawahała się. — Ależ byłam naiwna! — Opuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę. — Nie zamierzałam nikomu tutaj opowiadać, co się wydarzyło. Sądzę jednak, że ty powinnaś wiedzieć. Zwłaszcza że mamy razem pracować. Musisz poznać moją historię, tego wymaga uczciwość. A jeśli wieści dotrą i tutaj, także ty możesz odczuć tego skutki — zakończyła fatalistycznie.

Jakiż to sekret ukrywa? — pomyślała Diana. — Przecież to dobra dziewczyna. Nie wierzę, że mogła zrobić coś złego!

— Powiem ci, jak było. Powiem prawdę. Czy uwierzysz? To już twoja decyzja, ale pogodzę się z każdą. — Joanna wyprostowała się, jakby szykowała się do walki. — Uczyłam w liceum. Lubiłam swoich uczniów, starałam się w atrakcyjny sposób przekazywać wiedzę, wciąż się szkoliłam, aby wykonywać pracę jak najlepiej. Owszem, wymagałam sporo od licealistów, ale uważałam, że to mój obowiązek. Nie, nie należałam do tych nauczycieli, którzy uznają swój przedmiot za najważniejszy. Po prostu miałam uczciwe podejście: ja wiele daję z siebie, oni powinni opanować wiedzę, w którą jestem zobowiązana ich wyposażyć. Sądziłam, że to rozumieją, bo relacje z uczniami miałam dobre.

Diana poczuła, że to dopiero wstęp do właściwej opowieści. Słuchała w milczeniu, wzrokiem dodając otuchy Joannie, która cicho ciągnęła:

— W ubiegłym roku w jednej z klas trafił mi się szczególnie trudny uczeń. Chłopak był zdolny, ale bardzo leniwy. Mówiąc wprost: nie chciało mu się uczyć. Wolał imprezowanie, a że miał dużo uroku osobistego, udawało mu się unikać większych problemów w szkole. Tu się uśmiechnął, tu ładnie poprosił i na dopuszczający jakoś wychodził. Koleżanki dla świętego spokoju dawały mu promocję. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, też może postąpiłabym tak samo... — westchnęła. Emocje, które nią targały były tak silne, że wstała ze skrzynki i zaczęła nerwowo chodzić między stołami. — Chciałam być w porządku wobec siebie i swoich zasad. Uważałam, że mógł się nauczyć przynajmniej minimalnego zakresu materiału. On jednak nie podjął najmniejszego wysiłku, nawet się nie starał. Zrobiłam więc to, co uznałam za słuszne: postawiłam jedynekę. Byłam pewna, że uczeń napisze podanie o egzamin poprawkowy, ale nie miałabym pretensji, to jego prawo.

Diana skinęła głową na znak, że rozumie.

— I owszem, napisał — powiedziała gorzko Joanna. — Ale nie podanie, a zawiadomienie do prokuratury. Na mnie. Że próbowałam go uwieść. Że chciałam z nim... no wiesz... A gdy się nie zgodził, z zemsty postanowiłam

postawić mu jedynekę. Dowiedziałam się o tym, gdy dostałam wezwanie na przesłuchanie. Nie masz pojęcia, co ja przeżyłam!

Diana była zszokowana tym, co usłyszała.

— Ale przecież to była nieprawda! Chyba zrobili jakieś dochodzenie?! — wydukała.

— A tak, zrobili. — Joanna gwałtownie pokiwała głową. — I umorzyli postępowanie. Tyle że już było za późno. W niewielkiej miejscowości wieści roznoszą się szybko. Wystarczyło kilka dni, a wszyscy wiedzieli, że jestem tą, która uwodzi nieletnich uczniów. Wyobrażasz sobie?!

— Przecież okazało się, że to bzdura, prawda?

— To nie miało dla nikogo znaczenia. W ich oczach byłam winna. Znajomi zaczęli mnie unikać. Obcy ludzie na ulicy pluli mi pod nogi. Ekspedientki w sklepie udawały, że mnie nie widzą. — Młoda kobieta nerwowo rzucała krótkie zdania. — Łudziłam się, że to minie, ale nie miało. Chodziłam do pracy, starając się nie widzieć uśmiezków uczniów i zmieszania koleżanek. Musiałam przecież za coś żyć, spłacać kredyt... — Otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. — Wreszcie któregoś dnia wezwał mnie dyrektor. W sumie był całkiem miły, nie mogę mieć zastrzeżeń. Powiedział, że nie może mnie zwolnić, ale rodzice ogromnie na niego naciskają, nie chcą, żeby ich dzieci uczyła niemoralna osoba. I że on wie, jak jest, ale ja też wiem. Dlatego sugeruje, abym złożyła wypowiedzenie. „Dla dobra wszystkich”, tak powiedział. — Joanna pociągnęła nosem i popatrzyła na Dianę ze smutkiem. — Oczywiście zrobiłam to, o co prosił. Nie miałam już siły na dalszą walkę. Czułam się zaszczuta, skazana za niewinność. Wróciłam do mieszkania, spakowałam walizkę i przyjechałam tutaj. Teraz wiesz już wszystko. I możesz sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli jakieś plotki o mnie dotrą do Kielc czy Świętej Katarzyny. Cała twoja praca może pójść na marne, jeżeli ludzie zaczną kojarzyć warsztaty we Wrzosowej Polanie z niemoralną uwodzicielką nieletnich. — Skrzywiła się przy ostatnich słowach.

Diana zerwała się ze skrzynki i podbiegła do koleżanki. Uścisnęła ją z całych sił.

— Nic mnie nie obchodzi, co ludzie gadają! — zapewniła. — Dziękuję, że mi zaufałaś. Bardzo ci współczuję tego, co przeżyłaś, bardzo! Ale to już przeszłość. Jestem pewna, że uda ci się zacząć od nowa, a ja ci w tym pomogę — zapewniła. — I nie martw się, masz wokół ludzi, którzy nie wierzą w plotki i złe ludzkie języki. Tu jest Wrzosowa Polana. Tutaj nie będziesz sama!



Wspólne herbatki stały się już dla Wandy i Marii codziennością. Obydwie panie spotykały się na zmianę w starej willi i domku Diany. Bardzo sobie ceniły swoje towarzystwo. Im lepiej się poznawały, tym przyjemniej im się rozmawiało. A tematów nigdy nie brakowało. Opowiadały sobie o przeszłości, obie ciekawe życia rozmówczynie, zwierzały się z problemów i chwil szczęścia, sukcesów i porażek. Nie brakowało też planów na przyszłość. Obie lubiły zastanawiać się, jak potoczą się losy Diany i Joanny, miały nadzieję, że młode kobiety będą wiodły szczęśliwe i dostatnie życie.

Trzeba też szczerze powiedzieć, że zdarzało się starszym paniom również poplotkować — choć oczywiście wiadomo, że damy nie plotkują, a jedynie wymieniają informacje. Tak czy inaczej, Maria często dopytywała o nowych znajomych: Martynę, Tobiasza i Wolińskiego. Dziś szczególnie ten ostatni stał się tematem rozmowy.

— Wandziu, a czym ten Krzysztof się zajmuje? Wiem, że ma swoją firmę. Ale co konkretnie robi?

— Prawdę mówiąc, to dokładnie nie wiem — przyznała Wanda. — Ale sprzedał Dianie piec do ogrzewania na bardzo korzystnych warunkach, więc chyba właśnie te piece produkuje.

— Wygląda na zamożnego człowieka — oceniła Maria. — Ma takie duże auto i kupił jeden z najpiękniejszych domów w Świętej Katarzynie.

— Myślę, że nie brakuje mu pieniędzy — zgodziła się emerytowana lekarka. — Zatrudnia przecież Dianę do pielęgnowania ogrodu, więc skoro stać go na takie ekstrawagancje, to zapewne na brak środków do życia nie może narzekać.

Nabrała herbatę na łyżeczkę, podmuchała i wypła. Wiedziała, że to nieeleganckie, ale już dawno ustaliły z Marią, że w ich wieku i z dala od oczu innych mogą pozwalać sobie na drobne grzeszki przeciwko zasadom *savoir-vivre*'u.

— Jednak dla mnie najważniejsze jest to, że dobry z niego człowiek — dodała Wanda. — Nie wywyższa się, jest bardzo miły i kulturalny. I nigdy nie odmawia pomocy. To więcej warte niż stan konta, nie sądzisz?

— Oczywiście, masz rację.

— A co ty tak o niego wypytyujesz? — Wanda zerknęła na sąsiadkę. — Może myślisz, że on byłby odpowiedni dla twojej córki, co?

— Skądże! — zaprzeczyła Maria. — Joasia w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Zresztą teraz to raczej nie ma głowy do romansów. Poza tym mnie się wydaje, że ten Woliński to nie bez przyczyny tak często organizuje towarzyskie spotkania. — Cmoknęła znacząco.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Sama pomyśl. Załatwił piec, mówiłaś, że robi ogniska, przyjechał na wigilię — wyliczała. — Myślisz, że taki biznesmen nie miałby innych sposobów na spędzanie czasu?

— Nigdy tak o tym nie myślałam — powiedziała po namyśle Wanda. — Ale może jest coś na rzeczy... Uważasz, że tu w grę wchodzi sprawy sercowe?

— Takie mam przeczucie — potwierdziła Maria. — A Diana coś o nim mówi?

— Sądzisz, że o nią chodzi? — Wanda była zaskoczona tym pomysłem.

— O kogoś musi, prawda? — Maria się uśmiechnęła.

— Diana chyba nie interpretuje w ten sposób jego zachowania. Traktuje go raczej jako uprzejmego przyjaciela.

— To może warto zadbać o to, żeby zmieniła podejście?

— Do miłości nikogo nie zmusisz — odparła filozoficznie Wanda.

— Ale można pomóc w tym, żeby się narodziła. — Sąsiadka zmrużyła oczy. — W odpowiedniej sytuacji...

— Chyba nie będziemy bawić się w swatki? — Wanda się skrzywiła. — Nie mogłabym pchać Diany w związek, do którego nie jest przekonana. Już dość wycierpiała przez nieodpowiedniego partnera.

— Przecież ja nie mówię, żeby ją zmuszać, Wandziu. Myślałam raczej o tym, żeby miała więcej okazji do tego, żeby spotykać Krzysztofa. A on będzie miał szansę na okazanie jej swojego zainteresowania.

— Czuję, że masz jakiś pomysł — domyśliła się Wanda.

— Owszem. Co powiesz na prywatkę sylwestrową? Wieczera wigilijna nam się udała, więc...

— Diana twierdzi, że już nie używa się określenia „prywatka”. Ale sam pomysł nie jest zły. Okoliczności możemy zorganizować, ale nic więcej. Diana sama powinna decydować o swoim życiu.

— Oczywiście, tylko okoliczności — zapewniła Maria. — Trzeba tylko w odpowiedni sposób im o tym powiedzieć, żeby... — Nie dokończyła, bo w tym momencie do willi weszły młode kobiety.

— O czym wy tak ciągle rozmawiacie? — roześmiała się Diana.

— Chyba coś knują. — Joanna pogroziła matce palcem. — Słyszałam ostatnie zdanie. O czym chcecie nam w odpowiedni sposób powiedzieć?

Maria spojrzała na córkę i dostrzegła, że dziewczyna wygląda inaczej. Jakby rysy twarzy jej złagodniały. Zniknęły poziome zmarszczki, które miała na czole od dnia przyjazdu, a kąciki ust już nie opadały.

Znajomość z Dianą i wspólne działanie dobrze jej robią — pomyślała z radością.

— Skoro słyszałaś, to z podstępny nici — powiedziała z uśmiechem. — Musimy wam wyznaczyć prawdę. Otóż postanowiłyśmy, że zorganizujemy zabawę sylwestrową dla młodych. Tutaj, w naszej willi. — Zatoczyła ręką krąg. — Miejsca na tańce jest dużo, przygotujemy wam jakieś przekąski, ale muzyką musicie zająć się sami, bo my od jakiegoś pół wieku nie jesteśmy na bieżąco — zażartowała.

— Czy ty to słyszysz, Joanno?! Świat się kończy! Staruszki organizują imprezę dla młodych!

— Tylko nie staruszki! — oburzyła się Wanda.

— W sumie to dobry pomysł — stwierdziła Joanna. — Ostatnio dobrze się bawiliśmy. Uważam, że i wy — popatrzyła na seniorki — powinnyście z nami powitać nowy rok.

— Dobrze, skoro tak, to zadzwonię do reszty towarzystwa — podsumowała Diana. — Zobaczymy, jakie mają plany.



Ostatecznie miały odbyć się dwie imprezy sylwestrowe.

— Doszliśmy z Marią do wniosku, że jednak mamy nieco inne preferencje, jeśli chodzi o witanie nowego roku — poinformowała Dianę Wanda.

— Zabrzmiało to, ciociu, bardzo poważnie i... staro. — Projektantka nie mogła powstrzymać się od tego żarciku, który tak irytował lekarkę.

Tym razem jednak Wanda nie udawała urażonej.

— Nazywajcie to sobie, jak chcecie. My nadal nazywamy spotkania przy muzyce prywatkami, więc może i jesteście stare. W każdym razie młodzież będzie bawiła się u Marii, a my tutaj, we Wrzosowej Polanie.

— Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu — zapewniła Diana. — Tylko czy nie będzie wam smutno tak we dwie?

— A kto powiedział, że we dwie? — obruszyła się ciocia. — Zapraszamy też Gretę i Stacha. Nasza zielarka obiecała, że przyniesie coś specjalnego.

— Hej! Tylko uważajcie, żebyście zbytnio nie odlecieli — parsknęła śmiechem młoda kobieta. — Kto wie, jakie grzybki ona znajduje w naszej jodłowej puszczy.

— Czasami się zastanawiam, jakim cudem uznałam cię za rozsądną osobę — odparła z dezaprobatą lekarka. — Naprawdę uważasz, że potrzebujemy takich... podniet? Za naszych czasów nie było takich używek i wszyscy świetnie się bawili.

— Oj, ciociu, ja nie wnikam. Jesteście... — mrugnęła filuternie — ... dorośli i możecie robić, co wam się podoba. — Odłożyła telefon, w którym przed chwilą płaciła rachunki, i sięgnęła po kubek z kawą. — A tak poważnie, to napisz, co wam kupić. Organizujemy wypad do Kielc na zakupy, więc zrobimy i dla was. A co z panem Stachem? Krzysztof ma po niego pojechać?

— To mamy już umówione, Daniel go przywiezie. A z propozycji zakupów chętnie skorzystamy. Ustalę z Marią menu i dam ci znać.

— No to macie — zerknęła na zegar — jakieś pięć godzin. Woliński podjedzie po mnie o siedemnastej.



Ostatni wieczór starego roku zapowiadał się znakomicie. Śnieg nadal się utrzymywał, więc sceneria powitania nowych trzystu sześćdziesięciu pięciu dni była bajkowa. Czapy białego puchu na gałęziach jodeł pięknie odcinały się na tle ciemnego nieba pokrytego iskierkami tysiąca gwiazd.

— I po co jechać gdzieś daleko, do Zakopanego czy w jakieś Alpy — westchnęła Diana, patrząc na widok za oknem. — Tutaj tak pięknie...

Joanna chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo właśnie pod furtkę podjechało auto fizjoterapeuty.

— Chodźmy ich przywitać. — Diana ruszyła w stronę drzwi.

— Po co? Na pewno wyjdzie im naprzeciw pani Wanda...

— A może trzeba będzie pomóc? No, ruszaj się! — Pociągnęła Joannę za rękę.

Doszły do auta w momencie, gdy pan Stach stanął, opierając się o drzwiczki.

— Miło pana widzieć! — przywitała go Diana. — I to w coraz lepszej formie! Świetnie pan dzisiaj wygląda.

— Za stary jestem, żeby mnie mamić komplementami. — Stach udawał, że nie obchodzą go słowa młodej kobiety, ale wyprostował się dumnie.

— Diana ma rację, naprawdę wygląda pan jakos... inaczej — poparła koleżankę Joanna.

— Namówiłem pana Stacha, żeby trochę podciąć brodę — włączył się do rozmowy Daniel. — Oczywiście wyłącznie ze względów higienicznych — dodał z porozumiewawczym uśmiechem. — Zabiegi pielęgnacyjne z laską sprawiają nieco kłopotu.

— Tak, wyłącznie ze względów higienicznych — mruknął rzeźbiarz. — Z czasem odrośnie i znowu będę wyglądał jak człowiek.

Musiały przyznać, że skrócona i równo przycięta broda zupełnie zmieniła oblicze Stacha. Prezentował się młodziej, a już na pewno bardziej elegancko.

Dobrze wygląda — pomyślała Diana. — Choć dla mnie i tak zawsze będzie człowiekiem lasu. Takim go poznałam. Na szczęście ludzie wewnątrz się nie zmieniają. To znaczy w tym wypadku na szczęście.

Z krótkiego zamyślenia wyrwały ją radosne okrzyki. Nadjechali pozostali goście.

— Hello! — krzyknęła Martyna, opuściwszy szybę w aucie. — Zabrałam po drodze Krzysztofa i oto jesteśmy!

Zatrzymali się przy Wrzosowej Polanie i wysiedli, żeby się przywitać. Dziennikarka od razu zauważyła zmianę u pana Stacha.

— Wygląda pan teraz jak model. Mógłby pan zarobić furę kasy, jest moda na siwych starszych mężczyzn — mówiła, co myśli, nie siląc się na grzeczności.

— Nie każdy potrzebuje fury kasy, niektórzy wolą spokój — skonstratował starzec. — Młody człowieku — zwrócił się do Daniela — zaprowadź mnie do środka, tam są bardziej zrównoważone kobiety.

Martyna roześmiała się głośno.

— Uwielbiam pana cięte riposty! I chętnie pomogę. — Ujęła rzeźbiarza pod drugie ramię. — Poczekajcie na mnie! — zawołała do reszty towarzystwa.

— A ty dziś nie pracujesz? — zapytała Diana Tobiasza. — Nie macie imprezy w pizzerii?

— Impreza jest, ale wynajęto tylko lokal. Nie chcieli pizzy, wzięli własny catering. Ale zaręczam, że w przyszłym roku to się nie powtórzy!

— Rozumiem twoje rozczarowanie, ale w sumie to się cieszę. — Uśmiechnęła się do mężczyzny. — Przynajmniej jesteś tu z nami.

— Ja też jestem — przypomniał o swojej obecności Woliński. — I mam nadzieję, że ktoś się cieszy z tego powodu.

— Wszyscy, jestem tego pewna — roześmiała się Diana.

Martyna z Danielem zaraz wrócili i podeszli do czekającej przy furtce grupki.

— To ja będę jechał — powiedział rehabilitant i uniósł dłoń w pożegnalnym geście. — Miłej zabawy!

— A ty dokąd się wybierasz? — zagadnął Tobiasz. — Jakiś bal czy domówka?

— Jednoosobowa domówka przed telewizorem. Mam kilka seriali do nadrobienia.

— Nie spędzasz sylwestra z dziewczyną? — wyrwało się nieoczekiwanie Joannie. — Taki ideał, wszyscy cię chwalą i nie masz z kim iść się pobawić? — dodała szybko, starając się nadać głosowi ironiczny ton.

Daniel spojrzał jej prosto w oczy.

— Tak się jakoś złożyło. Widać nie ma chętnych na ideały.

Martyna zareagowała natychmiast.

— W takim razie zostajesz z nami! I nawet nie próbuj protestować. — Podniosła dłoń. — To już postanowione. A kiedy ja coś postanowię, to nie uznaję odmowy. Zapytaj, kogo chcesz.

— Fakt, ja bym nie próbował się jej sprzeciwić — rzucił Krzysztof.

— Martyna ma rację, zostań z nami — dołączyła Diana. — Nie daj się prosić! Im nas więcej, tym weselej.

— Byłbym głupcem, gdybym odmówił. Jeżeli tylko nie przeszkadza wam, że nie jestem w galowym stroju, to chętnie zostanę — skapitulował bez walki Daniel.

— Rozsądna decyzja. — Martyna uniosła kciuk. — To co? Idziemy do środka? Bo już mi nogi zaczynają marznąć.



Siedzieli przy stole we czworo, każde z kubkiem ziół zaparzonych przez Gretę. Mimo zamkniętych okien słyszeli muzykę dobiegającą z sąsiedniego domu.

— Czy oni trochę nie przesadzają? — niepokoila się Maria.

— Daj się młodym wyszaleć — uspokoił ją Stach. — Od kilkadziesiątu lat nikt się nie bawił w tej okolicy.

— Dobrze widzieć, że wreszcie zawitała tu radość — dodała Greta.

— Raczej słyszeć — poprawiła skrupulatna Wanda.

— Zastanawia mnie twoja konsekwencja w zajmowaniu się nieistotnymi drobiazgami. — Zielarka wbiła przenikliwe spojrzenie w lekarkę. — Czy to potrzeba kontroli, a może bycia idealną?

— A ty jesteś czarownicą czy psychologiem? — odgryzła się Wanda.

— Oho, kobiety się kłócą, będzie ciekawie. — Stach poklepał się po udach. — Że też wam się chce. — Pokręcił głową.

— Uspokójcie się! — przywołała ich do porządku Maria. — Jeszcze tego brakowało, żebyśmy się sprzeczali w sylwestra. Może i my włączymy jakąś muzykę?

— Mamy tylko telewizor, ale tam raczej nie znajdziemy dziś przebojów sprzed czterdziestu lat — skwitowała Wanda.

— Na to akurat może będę mógł coś poradzić. — Rzeźbiarz z uśmiechem wyjął z kieszeni kamizelki harmonijkę.

— To ty umiesz na tym grać? — zdziwiła się Maria.

— Coś tam potrafię. W zimowy czas trzeba się czymś zająć, więc kiedy miałem dość rzeźbienia, dmuchałem w organki.

— W takim razie pokaż, czego się nauczyłeś — zachęciła Wanda.

Greta posłała starcowi zachęcające spojrzenie, a on przyłożył harmonijkę do ust. Kuchnia Wrzosowej Polany wypełniła się dźwiękami skocznej improwizacji. Kobiety podchwyciły rytm i zaczęły klaskać do taktu.

— Nieźle ci idzie! — pochwaliła lekarka. — Aż nogi rwą się do tańca.

— To tańcz! — zachęciła ją Greta.

— Nie wiem, czy potrafię. Tak dawno tego nie robiłam...

— Nas nie musisz się wstydzić — zapewniła Maria.

A co mi szkodzi — zdecydowała Wanda i wstała od stołu.

Pierwsze kroki wykonała niepewnie, zerkając na swoich gości. Zobaczyła w ich oczach przyzwolenie i zachętę, więc nabrała odwagi. Po krótkiej chwili z zapalem wywijiała na drewnianej podłodze ku radości przyjaciół.

Po kwadransie zmęczona opadła na krzesło. Stach też zrobił sobie przerwę.

— W ustach mi zaschło — powiedział. — Dajcie, proszę, jakiegoś kompotu.

— Proszę bardzo. — Maria nalała mu pełną szklanę. — Wandeczko, ty świetnie się ruszasz — pochwaliła koleżankę.

Lekarka, choć już zaczerwieniona od tańca, jeszcze bardziej pokraśniała z dumy.

— To prawda. Gdybym był sprawny, sam porwałbym cię w tany — skomentował Stach.

— Jeszcze trochę i będziesz mógł zrealizować ten plan. — Greta uśmiechnęła się ciepło. — A ja chętnie zobaczę, jak tańczysz. Nie posądzałam cię o zamięłowanie do takich rozrywek.

— O, bo jeszcze wiele o mnie nie wiesz. — Rzeźbiarz spojrzał na nią przekornie — Kiedy byłem młody, często chodziłem na zabawy. Dopiero potem odechciało mi się spotkań z ludźmi — westchnął. — Choć i tak

ostatnio jestem bardzo towarzyski. Najpierw wigilia, teraz sylwester — wyliczał. — Niby nie mogę chodzić, a tymczasem...

— Jak to się życie ciekawie układa. — Greta pokiwała głową.

— To prawda. Ja też nie podejrzewałam, że akurat z wami będę spędzała święta i witała nowy rok — wyznała Maria.

— Z czarownicą i dziwakiem spod lasu? — zadrwił Stach. — I nie boisz się, co ludzie powiedzą, jak się to rozejdzie? Życ ci nie dadzą.

Maria spoważniała i popatrzyła starcowi prosto w oczy.

— To nie ci ludzie byli ze mną w trudnej chwili, ale wy. A ja nigdy nie wstydzę się swoich przyjaciół.

W oczach Grety zamigotały przyjazne błyski.

— Stachu, chyba nie zamierzasz zepsuć nam zabawy? — powiedziała. — Graj jeszcze, niech Wanda się wytańczy, a młodzi niech wiedzą, że my też potrafimy świętować.



Tymczasem w willi Martyna zadbała o balony, confetti i maleńkie zabawne czapeczki, do których włożenia zmusiła wszystkich uczestników zabawy.

— Mam nadzieję, że nie kupiłaś żadnych fajerwerków — stropiła się Diana.

— W tym względzie jestem świadoma — uspokoiła ją przyjaciółka. — I z całego serca popieram przeciwników tego huku. Mnie trudno go wytrzymać, a co dopiero biednym zwierzętom. Już ta głośna muzyka wzbudza we mnie lekkie wyrzuty sumienia, w końcu jesteśmy tuż przy puszczy.

— Najważniejsze, że nie będziemy strzelać. — Diana odetchnęła z ulgą.

Impreza rozkręcała się z każdą godziną. Na szczęście panów nie trzeba było zachęcać do tańca, więc nikt nie siedział zbyt długo przy stole. Martyna i Diana wywijały na przemian z Krzysztofem i Tobiaszem, a Daniel do każdego kolejnego utworu prosił Joannę.

— Wydaje mi się, że coś z tego będzie. — Dziennikarka znacząco spojrzała na parę obracającą się przy spokojnej muzyce.

Diana się uśmiechnęła. Co prawda, Joasia przewracała oczami, gdy widziała, że koleżanki na nią patrzą, ale nie odmawiała młodemu fizjoterapeucie, a przy wolnych tańcach pozwalała dość mocno się przytulać.

Tuż przed wybiciem północy całe towarzystwo wyszło na taras.

— Dziewczyny, włożcie kurtki. — Krzysztof wyniósł okrycia dla koleżanek. — Jesteście spocone, przeziębicie się na tym mrozie.

Panowie chwycili za butelki z szampanem i zaczęło się odliczanie.

— Cztery!

— Trzy!

— Dwa!

— Jeden!

— Mamy to!!!

Musujący alkohol polał się po szyjkach butelek, a potem wypełnił kieliszki. Nadeszła pora życzeń.

Krzysztof podszedł do Martyny.

— Życzę ci spełnienia marzeń i realizacji planów — powiedział z ciepłym uśmiechem.

— Dziękuję, ale nie wiem, czy to się uda...

— Nadal nie rozmówiłaś się z Tobiaszem? — domyślił się mężczyzna.

Pokręciła przecząco głową.

— I nie podjęłaś decyzji?

— Ona chyba za chwilę sama się podejmie. — Dziennikarka wzruszyła ramionami. — O takich ofertach ludzie marzą latami. Sama marzyłam. Tam, w stolicy, nikt nie będzie czekał w nieskończoność.

— Martyna, nie możesz pozostać bierna — tłumaczył Woliński. — Do końca życia będziesz miała o to pretensje do siebie. Musisz zdecydować, a nie pozwolić ponieść się nurtowi.

Jak on mnie dobrze rozumie — pomyślała dziennikarka.

— Dziękuję, że tak mnie wspierasz. — Uśmiechnęła się smutno. — Wszystkiego dobrego w nowym roku.

Stuknęli się kieliszkami, choć Martyna poczuła, że wolałaby się do Krzysztofa po prostu przytulić.

Diana stanęła z Tobiaszem po drugiej stronie tarasu.

— Niech ci się wiedzie w nowym biznesie — życzyła mu z całego serca.

— Dziękuję, przyda się dobra energia — odparł. — Każde wsparcie jest nie do przecenienia.

— Na pewno możesz liczyć na Martynę.

— Akurat ona nie jest zadowolona z moich planów. — Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. — Jakoś nie możemy się w tej sprawie dogadać.

Diana z obawą popatrzyła ponad ramieniem Tobiasza, w stronę, gdzie dziennikarka rozmawiała z Wolińskim. Było coś niepokojącego w ich wzajemnych spojrzeniach. Niby wyglądali na znajomych, ale Lisowska wyczuwała między nimi dziwne napięcie.

Czy Tobiaszowi to nie przeszkadza? — pomyślała. — Może jeszcze nie zauważył. A swoją drogą, Martyna nie powinna się tak zachowywać. To nie w porządku, nawet jeżeli między nią a Tobiaszem nie jest najlepiej.

Towarzysz Diany podążył spojrzeniem za jej wzrokiem i chyba zrozumiał, o czym myśli.

— No tak, oni tak zawsze. Na pewno rozmawiają o jakichś biznesowo-telewizyjnych sprawach. Jak już zaczną, to nie mogą skończyć. Zapewne Martyna chce zaangażować Krzysztofa w pozyskanie kolejnych sponsorów.

Obyś miał rację — westchnęła Diana w myślach.

— To co? Wypijmy za szczęśliwy nowy rok — zaproponował Tobiasz.

— Oby nie był gorszy niż ten mijający — odparła.



Dwa tygodnie stycznia minęły szybko. Przez pierwsze dni wszyscy żyli jeszcze wspomnieniami sylwestra, a potem Diana z Joanną ostro wzięły się do roboty. Joasia z zapalem ćwiczyła robienie mydeł i eksperymentowała z nowymi kolorami i zapachami. Przynosiła je wszystkie do Wrzosowej Polany i żądała oceny efektów swojej pracy.

— Wszystkie są śliczne — odpowiadała niezmiennie Wanda. — Mnie jednak najbardziej podobały się te naturalne, w nierównych kawałkach, pachnące jałowcem albo lawendą.

— Też bardzo je lubię — zgadzała się z nią Joanna. — Tylko że dzieciom raczej nie będą się podobać. Maluchy wolą kolory i zapach wanilii, pomarańczy albo ciasteczek. Tak samo jest z kształtami: dzieciaki będą bardziej zadowolone, gdy zabiorą ze sobą misia albo samochodzik.

— Tak, to rozsądne. Musisz dopasować ofertę do odbiorcy. Już Diana mi to tłumaczyła.

Gdy Joasia starała się doskonalić w praktycznej znajomości tematu swoich warsztatów, Diana zaczęła intensywnie rozsyłać oferty. Poprosiła też o pomoc Monikę, żonę instruktora nauki jazdy, która już kiedyś wsparła jej działania. Monice spodobała się nowa oferta i ucieszyła się z lepszych warunków lokalowych do prowadzenia zajęć.

— Zrobię, co będę mogła — obiecała.

I słowa dotrzymała.

— Joaśka! Mamy dwa pierwsze zamówienia! — Diana wpadła do garażu, gdzie sąsiadka właśnie mieszała mydlaną masę z niebieskim barwnikiem.

Natychmiast przerwała to zajęcie.

— Na moje też?

— Tak. Dwie grupy, które będą na zimowisku w Wólce Milanowskiej, przyjadą na warsztaty łączone: glina i mydełka.

— Cudownie! — Joanna miała w oczach łzy radości. — Nareszcie coś zarobię.

— No z tym to jeszcze nie tak prędko. — Diana musiała sprowadzić ją na ziemię. — Warsztaty będą dopiero za trzy tygodnie, a potem jeszcze co najmniej czternaście dni na płatność, więc realnie możemy liczyć na kasę na początku marca.

Joannie zrzęda mina.

— To już gorzej. — Oparła się o drewniany blat. — Strasznie mnie frustruje brak dochodu — wyznała. — Mama nic nie mówi, ale przecież nie może mnie tak długo utrzymywać. Poza tym będę jeszcze musiała pożyczyć od niej pieniądze na materiały do warsztatów.

— Na pewno zrozumie i poczeka jeszcze chwilę.

— Wiem, ale głupio mi. Drugi miesiąc płaci też ratę mojego kredytu. Wystawiłam już mieszkanie na sprzedaż, dałam całkiem atrakcyjną cenę, ale nie ma zbyt wielu chętnych na kawalerkę w małym miasteczku. — Joanna potarła dłonią czoło. — Gdyby się udało, to spłaciłabym kredyt i jeszcze miała spory zapas, ale na razie...

— Nie smuć się, ważne, że masz jakąś perspektywę — tłumaczyła Diana. — No i sama widzisz, że warsztaty też powoli się rozkręca, jestem tego pewna. Słuchaj, może wpadniesz do mnie na kawę, popatrzymy dokładnie na to zamówienie i zaplanujemy sobie wszystko? — zaproponowała, gdyż nie chciała, żeby Joanna została znowu sama z niewesołymi myślami.

— Chętnie, ale może jutro, dobrze? Bo teraz jestem już umówiona... — Sąsiadka zaczerwieniła się lekko.

— A dokąd się wybierasz?

— Jadę do Kielc, mama ma zamówione leki, muszę je odebrać.

Oj, to nie z powodu wizyty w aptece tak się rumienisz — domyśliła się Diana.

— To może cię zawieźć? — zaproponowała, choć czuła, jaka będzie odpowiedź.

— Nie trzeba. Daniel jest dziś u pana Stacha i powiedział, że mnie zabierze, gdy będzie wracał.

A więc jednak! — ucieszyła się Diana.

— Jasne, rozumiem — powiedziała jak gdyby nigdy nic. — To miło z jego strony.

— Tak.

— W takim razie bawcie się dobrze w tej aptece. — Diana mrugnęła porozumiewawczo. — I wpadnij do mnie rano, opowiesz, jak było. A teraz dokończ mieszanie, bo zaraz zaschnie i będziesz miała mydło w niebieskie paski.

Poklepała koleżankę po ramieniu i wyszła.



Diana bardzo się cieszyła, że Joanna zacieśnia znajomość z Danielem. Nie spodziewała się po sąsiadce tak szybkiego zaangażowania, ale doszła do wniosku, że to fizjoterapeuta jest bardziej aktywną stroną w tej relacji i aranżuje kolejne spotkania, a kobieta przyjmuje jego uwagę.

Może tego właśnie jej potrzeba — zastanawiała się, odpoczywając w sypialni.

Do Wandy przysłała Greta, więc Lisowska zostawiła kobiety w kuchni, a sama oddała się błogiemu lenistwu.

Na pewno wszystkie traumatyczne wydarzenia mocno zachwiały jej poczuciem własnej wartości — rozmyślała o młodej sąsiadce. — A męskie zainteresowanie może pomóc je odbudować. Mam tylko nadzieję, że Daniel nie okaże się lekkoduchem w kwestiach prywatnych. Ciocia bardzo go chwali jako fachowca, ale czasem co innego praca, a co innego życie osobiste.

Na razie jednak wydawało się Dianie, że może być spokojna. Natomiast bardziej martwiło ją to, co Joasia mówiła o swoich finansach. Rozumiała, że koleżanka może czuć się niekomfortowo i że brak własnych pieniędzy ją frustruje, stresuje. Bardzo chciała pomóc młodej nauczycielce i nad tym właśnie mocno się zastanawiała.

Aż wreszcie wpadła na pomysł. Nie czekając ani chwili, chwyciła za telefon.

— Tamara? Cześć! Mam do ciebie sprawę — powiedziała. — Trzeba pomóc pewnej dziewczynie.

— O, widzę, że naprawdę zabrałaś kawałek Jagodna do Świętej Katarzyny — roześmiała się Tamara. — Co? Kolejna zbłąkana kobieta, którą przygarnęłaś pod dach Wrzosowej Polany?

— W pewnym sensie. To sąsiadka, wróciła po latach nieobecności i ma problemy.

— W takim razie mów, co mogę zrobić.

Diana szybko wyłuszczyła sprawę.

— Brzmi sensownie — skomentowała Tamara. — Daj mi chwilę, oddzwonię do ciebie.

Lisowska niecierpliwie czekała na telefon. Wreszcie po dwóch kwadransach zadzwonił.

— I co? — zapytała bez zbędnych wstępów.

— Załatwione — poinformowała Tamara. — Małgosia nawet się ucieszyła i wcale nie musiałam jej namawiać. Nie ma jeszcze mydełek w ofercie. Prosiła tylko, żeby były oryginalne i najlepiej takie eko, wiesz?

— Tak, nie ma problemu, Joasia robi takie.

— Doskonale! Zróbcie zdjęcia dobrej jakości i takie, że tak powiem, sprzedażowe. Podeślij je do mnie, ja podam dalej, a ewentualne zamówienia będziecie już potem przekazywać sobie bezpośrednio.

— Jesteś kochana! — Diana nie kryła radości.

— Jestem z Jagodna — odparła. — A tu się pomocy nie odmawia. Zróbcie dobrą sesję tym mydełkom i działamy. Pa!

Diana w podskokach wbiegła do kuchni.

— Ha! Nie ma to jak kobieca solidarność! — krzyknęła radośnie.

— Co się takiego stało? — Wanda spojrzała z zaciekawieniem na ten wybuch radości.

— Chyba udało mi się znaleźć rozwiązanie problemów finansowych Joanny.

— To ona ma i takie kłopoty? Maria nic o tym nie wspominała.

Diana zagryzła wargę.

— Nie wiem, czy nie powiedziałam za dużo.

— Skoro już zaczęłaś... to usiądź i opowiadaj po kolei. — Wanda wskazała jej krzesło.

— Chodzi o to, że Joanna źle się czuje z tym, że matka ją utrzymuje. Tylko proszę, ciociu, nie mów o tym pani Marii, dobrze? W każdym razie dziewczyna chciałaby zarabiać.

— Mówiłaś, że ma już oferty na warsztaty — przypomniała lekarka.

— Tak, ale tylko na dwa i dopiero za jakiś czas. A Joasia s płaca też kredyt... W każdym razie wymyśliłam, co zrobić, i chyba się uda.

Opowiedziała kobietom o swoim pomysle.

— Małgorzata z Jagodna to żona wójta. Prowadzi kawiarnię ze sklepikiem, która nazywa się Kolorowy Szalik. Ma też sklep internetowy, w którym sprzedaje rękodzieło. Właśnie tam umieści ofertę Joasi. Uważam, że jej mydełka powinny znaleźć nabywców i w ten sposób uda jej się podreperować budżet.

— Bardzo dobry pomysł! — pochwaliła Wanda. — Od dawna jej powtarzałam, że właśnie te naturalne mydła, takie nierówno krojone, są oryginalne i nimi powinna się chwalić. Cieszę się, że jej w tym pomogłaś. — Popatrzyła na Dianę z dumą. — Masz dobre serce, dziecko. Zawsze to mówiłam.

— A właściwie dlaczego ta Joanna nie może pracować w swoim zawodzie? Maria wspominała, że córka, tak jak ona, jest nauczycielką — odezwała się milcząca dotychczas Greta. — Maria była dyrektorką szkoły, zna większość osób w gminie, wielu to jej uczniowie. Na pewno mogłaby sprawić, żeby Joanna dostała pracę w naszej szkole. Miałaby stałą pensję, jeśli na tym jej zależy.

— Joanna nie chce już pracować w szkole — oświadczyła stanowczo Diana. — Nie mogę powiedzieć dlaczego, bo zwierzyła mi się w zaufaniu,

ale jestem tego pewna. Ludzie zrobili jej wiele krzywdy i niesprawiedliwie potraktowali. Straciła wiarę nie tylko w swój zawód, ale we wszystko. Ja wiem, jak to jest, i dlatego jej pomagam. A te mydełka to jej nadzieja. Tak jak moja były kubki. A teraz idę do Joanny powiedzieć jej, że musimy zrobić sesję zdjęciową.



C ofnęła się kilka kroków i popatrzyła na rozłożone na stole materiały. Kilka misek, pudełka i torebki ze składnikami, formy, buteleczki z olejkami i barwnikami.

To wszystko, co mam. — Odgarnęła kosmyk, który opadł na policzek. — Czy naprawdę na tym mogę zbudować swoją przyszłość?

Poprzedniego wieczora nie mogła zasnąć. Była podekscytowana nowiną, którą przyniosła jej Diana, i bardzo wdzięczna sąsiadce za kolejną formę pomocy. Jednak radość szybko zagasiły pojawiające się wątpliwości.

Czy ktokolwiek zechce kupić moje mydełka? Są przecież osoby, które zajmują się tym od dawna, tworzą bardzo oryginalne formy, mają renomę. A ja? Dopiero zaczynam — zastanawiała się, przewracając z boku na bok.

Spała krótko, niespokojnie i obudziła się z bólem głowy, którego nie zmniejszyła nawet tabletki. Niepewność także nie dodawała jej energii. Mimo to poszła do pracowni, żeby zająć się produkcją mydeł do sesji zdjęciowej.

Teraz patrzyła na przygotowane akcesoria i zastanawiała się, co chciałaby zrobić. Niestety, choć pomysłów miała wiele, wciąż targały nią wątpliwości.

Tak bardzo chciałabym, żeby moje wyroby spodobały się ludziom — westchnęła. — Ale z podstawowych produktów nic oryginalnego nie stworzę, a już na pewno nic takiego, co na fotkach będzie dawało efekt „wow”, o którym mówiła Diana.

Tak, Joanna bardzo chciała nie zawieść zaufania koleżanki, która tyle dla niej zrobiła — i to także skutecznie ją blokowało.

Zawiodłam już mamę, choć ona nigdy tego nie powie, ale wiem, że inaczej wyobrażała sobie życie córki. — Niewesołe myśli wciąż kłębiły się w głowie Joanny. — A teraz zapewne rozczaruję ludzi, którzy we mnie uwierzyli.

Pomyślała o Danielu. Wieczorem, pod wpływem emocji, napisała do niego wiadomość, bo bardzo chciała podzielić się nową szansą. Mężczyzna odpisał, że gratuluje i że jest pewien sukcesu. Wtedy ją to ucieszyło, ale teraz wyrzucała sobie, że zbyt wcześnie się pochwaliła.

Powinnam poczekać. A jeżeli to będzie kłapa?

Pochłonięta rozmyślaniami nie usłyszała skrzypienia drzwi.

— Dzień dobry.

Nieoczekiwany głos wystraszył Joannę. Gwałtownie drgnęła i szybko odwróciła się w stronę, z której dobiegał.

— Ach, to pani. — Odetchnęła z ulgą na widok zielarki stojącej w progu pracowni.

Kobieta podeszła bliżej i Joanna poczuła, że pachnie jakąś nieokreślona mieszanką lasu, mroźnego powietrza i słodkości.

— Jaki piękny zapach — powiedziała bez namysłu.

— Tak pachnie natura — odparła spokojnie Greta. Minęła dziewczynę i stanęła przy stole. — Widzę, że jeszcze nie zaczęłaś pracy — zauważyła.

— Jakoś nie mogę się zebrać... Nie wiem, czy potrafię zrobić to, czego ode mnie oczekują — wyznała, zaskoczona własną szczerością.

— Tak, jeżeli celem jest spełnienie ludzkich oczekiwań, trudno stworzyć cokolwiek wartościowego. — Zielarka pokiwała głową. — Może lepiej byłoby odrzucić ten ciężar?

— Łatwo powiedzieć... trudniej zrobić.

Zielarka badawczo popatrzyła Joannie w oczy.

— Owszem. Ale żyć nie swoim życiem jest dużo trudniej. Ludzie i tak nie docenią tego poświęcenia, i tak osądzą bezlitośnie. Podobno wiesz coś o tym...

— Wiem. I dlatego się boję.

— A po co? Pamiętaj, że to ty decydujesz, co cię dotyka. Ty dajesz przyzwolenie na to, żeby cię ranić. W chwili, gdy zrozumiesz, że ludzkie opinie to nie prawda o tobie, zyskasz wolność.

Mądre oczy zielarki zdawały się promieniować jakimś niesamowitym światłem, które sprawiało, że Joanna poczuła, jak jej ciało napełnia się nową energią.

— Prawdę o sobie nosisz w sercu. Kieruj się nim, a znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba. Także siłę, żeby poradzić sobie z trudnościami. To da ci pełnię życia i poczucie spełnienia.

Joanna chłonęła słowa starszej kobiety, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał, a w pracowni działa się magia.

Greta uśmiechnęła się lekko i sięgnęła do płóciennej torby, którą miała przełożoną przez ramię. Wyjęła kilka lnianych woreczków i położyła je na drewnianym blacie.

— Przyniosłam ci trochę suszonych ziół. Jest tu lubczyk, kwiaty rumianku, nagietka, mniszka — wyliczała spokojnie. — Pomyślałam, że mogą ci się przydać.

Dziewczyna od razu zaczęła wyjmować rośliny z woreczków i oglądać je z zainteresowaniem.

— Niesamowite! Właśnie o tym myślałam! Skąd pani wiedziała?! — Oczy Joanny rozszerzyły się ze zdumienia. — Będą pięknie wyglądać w bezbarwnym mydle. Jak prawdziwa ziołowa łąka... — Oderwała wzrok od kwiatów i przeniosła go na kobietę. — Ile jestem pani winna? — zapytała niepewnie. — Bo jeżeli są drogie, to... — Zawahała się.

— Nie sprzedaję moich ziół — odparła Greta. — Daję je tym, którzy ich potrzebują. Żeby leczyły ciało... lub duszę. Przyjdź do mnie, jeżeli będziesz potrzebowała więcej.

— Dziękuję! Nie wiem, jak się pani odwdzięczę! — Joanna ponownie sięgnęła po ususzone kwiaty i powąchała je.

Gdy się odwróciła, zielarki już nie było.



Wanda zdjęła okulary i odłożyła książkę na blat nocnej szafki. Odgłos otwieranych drzwi i hałasy na werandzie były sygnałem, że Diana wróciła.

Ciekawe, jak im poszło — zastanawiała się lekarka, wsuwając stopy w ciepłe kapcie, które dostała od Martyny pod choinkę.

Niewiele pamiętała z lektury, właściwie tylko wpatrywała się w zadrukowane strony, bo nie mogła się skupić na tekście. Wciąż myślała o tym, co dzieje się w garażu za płotem, gdzie odbywały się pierwsze wspólne warsztaty Diany i Joanny.

Wanda bardzo kibicowała dziewczynom i stresowała się nie mniej niż one same. Musiała uzbroić się w cierpliwość. Diana miała prowadzić zajęcia jako pierwsza, lecz od razu powiedziała, że zostanie z Joanną, żeby ją wspierać i pomagać, gdyby sąsiadka miała jakiś problem.

Lekarka szybko poszła do kuchni i od razu wstawiła wodę na herbatę. W samą porę, bo Diana właśnie weszła do pomieszczenia. Jeden rzut oka na dziewczynę wystarczył, żeby Wandzie spadł kamień z serca. Od razu było widać, że Diana jest zadowolona.

— I jak poszło? — zapytała lekarka, bo wiedziała, że na to czeka młoda kobieta.

— Świetnie! — Radość w oczach Diany właściwie wystarczyłaby za odpowiedź. — Powiem ci, że to ja powinnam uczyć się od Joanny, a nie ona ode mnie. Jest znakomitym pedagogiem, natychmiast łapie kontakt

z dziećmi, a one uwielbiają ją od pierwszego słowa — perorowała z zapalem, jednocześnie rozglądając się za czymś do jedzenia.

— Zaraz podgrzeję pomidorową. — Wanda uśmiechnęła się do Diany, w lot pojmując, o co chodzi. — Tę z wczoraj, bo dzisiaj jakoś nie miałam głowy do gotowania.

— Nie mów, że się stresowałaś, ciociu?!

— Teraz mogę powiedzieć, że tak.

— Nie wierzyłaś w nas?

— Oczywiście, że wierzyłam! — zapewniła emerytka. — Ale bardzo chciałam, żeby poszło jak najlepiej. W końcu dla ciebie to pierwszy raz w nowym miejscu, a dla Joasi debiut w nowej roli...

— Joanna to stara wyjadaczka, lata przy tablicy dały jej niesamowicie wiele doświadczenia. A robienie mydeł ma we krwi, więc nie mogło być lepiej. Dzieciaki zachwycone, mydełka we wszystkich kolorach tęczy, a największym wzięciem cieszył się oczywiście zapach gumy balonowej — roześmiała się Diana.

— Chyba wreszcie w pełni uwierzy, że odkryła swoją pasję a na dodatek może dzięki niej osiągnąć sukces — ucieszyła się Wanda.

— Mam nadzieję. U Małgosi jej mydła schodzą jak świeże bułeczki. Genialny był ten pomysł z zatapianiem ziół w naturalnej, niebarwionej masie mydlanej! — Diana wyjęła z szafki talerze i rozłożyła je na stole, nie przerywając mówienia: — Małgosia poprosiła, żeby Joanna kolejną partię zrobiła większą, bo przed Dniem Kobiet liczy na jeszcze więcej zamówień — dodała, zajmując miejsce przy stole.

— Ciekawe, czy Maria już o tym wie — zastanawiała się Wanda. — Chyba pójdę do niej na herbatę. Stresowała się jeszcze bardziej niż ja.

— Tylko daj im trochę czasu. Na pewno teraz Joasia dzieli się z matką wrażeniami.

— Przecież nie biegnę teraz. Najpierw zjemy zupę. Od rana nie mogłam nic przełknąć z tych nerwów, a teraz czuję, że jestem głodna jak wilk. Ach,

jak się cieszę, że wszystko poszło dobrze!

Kochana ciocia — pomyślała Diana. — Ma złote serce, choć nie lubi się do tego przyznawać.



Woliński podpisał ostatni dokument i z ulgą odsunął stertę papierów na skraj biurka. Właściwie nie powinien narzekać, wszak duża liczba umów i faktur świadczyła o tym, że jego firma funkcjonuje doskonale. Oczywiście, Krzysztof cieszył się z tego, ale nie wykluczało to zmęczenia i poczucia monotonii.

Do niedawna zadowalały go spokojne życie, uregulowany rytm powtarzalnych czynności i spokój samotnych wieczorów, gdy mógł robić to, na co miał ochotę. Szczególnie po rozwodzie, gdy zamieszkał sam w nowym domu, wydawało mu się, że właśnie osiągnął szczęście.

Od jakiegoś czasu jednak miał poczucie, że jego wielki dom jest pusty, a wieczory przy książce lub przed telewizorem co prawda dają spokój, ale już nie cieszą tak jak wcześniej. Brakowało mu rozmowy, nie miał z kim podzielić się tym, jak minął mu dzień. Jak każdy człowiek, Krzysztof też czasem potrzebował porady albo po prostu świeżego spojrzenia na problem, z którym musiał się mierzyć. A coś takiego można otrzymać tylko od drugiego człowieka, który myśli podobnie, rozumie i potrafi słuchać.

Woliński był dojrzałym mężczyzną i dawno już osiągnął taki poziom samoświadomości, że nie próbował oszukiwać samego siebie. I w tym wypadku także nie zamierzał udawać. Przynajmniej nie przed tym, któremu patrzył w oczy każdego ranka przy goleniu. Czuł, wiedział, że spotkał taką osobę. Kogoś, z kim chciałby dzielić wieczory i — nie bał się tego przyznać — także poranki. Jednak wiedział też, że ona ma swoje sprawy,

własne życie. Nie był pewien, czy jest w nim miejsce dla niego i choć często miał poczucie, że powinien spróbować, to wciąż coś go przed tym powstrzymywało.

Gdyby choć raz dała jasny sygnał, że jest mną zainteresowana... — zżymał się, przekładając w palcach długopis. — Wtedy nie wahałbym się ani chwili. Nie chcę robić sobie złudnych nadziei, nie potrzebuję więcej zawirowań uczuciowych. Dotychczasowe już zbyt wiele mnie kosztowały.

Woliński był człowiekiem czynu. Potrafił stawić czoła przeciwnościom, brał się za bary z życiem i podejmował ryzyko. Gdyby tak nie robił, nie osiągnąłby sukcesu w biznesie. Nie był jednak pewien, czy ta sama strategia zapewni mu sukces także na gruncie osobistym.

Muszę zaryzykować albo się poddać — pomyślał. — Raz kozie śmierć!

Długopis pękł z głośnym trzaskiem, więc Krzysztof szybkim ruchem wrzucił go do kosza na śmieci i sięgnął po telefon.

— Cześć, Martyna. Możesz rozmawiać?

— Hej! Jak najbardziej. Dzisiaj mam dzień wystawiania rachunków, więc mogę zrobić sobie przerwę. Co tam, Krzysiu?

— Też siedzę w papierach, więc znam ten ból — odparł. — I właśnie w trakcie przerwy przyszło mi do głowy, że moglibyśmy sobie zrobić imprezę walentynkową.

— My?! — zdziwiła się dziennikarka.

— To znaczy ty, Diana, Tobiasz, ja, może jeszcze Joanna, ta sąsiadka Diany — wyliczał szybko Woliński. — I oczywiście nasi seniorzy.

— Jakaś dziwna wizja walentynek — zauważyła Martyna. — To raczej ma być święto zakochanych, nie?

— A w czym to przeszkadza? — upierał się Krzysztof. — Każda okazja jest dobra, żeby się pobawić. Poza tym chciałbym się jakoś zrewanżować za te wszystkie spotkania, gdzie byłem gościem. I do ciebie się z tym zwracam, bo miałem nadzieję, że jesteś otwarta na nieco szalone pomysły. Ale skoro uważasz, że to bez sensu...

— A czy ja powiedziałam, że bez sensu? Przeciwnie, masz rację, każda okazja do zabawy jest dobra.

Krzysztof się uśmiechnął. Miał nadzieję, że jego strategia przyniesie dobry skutek, i nie mylił się. Znalazł najlepszego sprzymierzeńca do swoich planów.

— To co? Namówisz towarzystwo? — upewnił się. — Ja zajmę się resztą.

— Nie ma sprawy. Załatwione!

Woliński z zadowoleniem odchylił się w fotelu i założył ręce za głowę.

Będzie kolejne spotkanie — pomyślał. — Może tym razem coś się wydarzy...



Znała drogę. Kiedy była nastolatką, często chodziła tędy na spacer, jednak zawsze z daleka omijała niewielki domek pod lasem. Słyszała wiele opowieści o czarownicy, która tam mieszka. Co prawda, matka zawsze powtarzała, że z tymi czarami to bzdury i Joanna nie wierzyła w takie rzeczy, ale mimo wszystko wolała zachować bezpieczny dystans.

Znała też historię zielarki, wiedziała o wszystkim, bo miejscowi między sobą często przywoływali tamte wydarzenia, żeby jeszcze bardziej podkreślić i usprawiedliwić niechęć do mieszkanki domu za wsią.

Tym razem Joanna nie ominęła małej chaty pod lasem. Zmierzała prosto do Grety. Zatrzymała się na chwilę przed furtką. Popatrzyła na smugę białego dymu wydobywającą się z komina, a w oknie ozdobionym szydełkową firanką zobaczyła czarnego kota, który z ciekawością się jej przyglądał.

Chatka czarownicy jak nic — pomyślała. — A może ona specjalnie tak robi, żeby ludzie dali jej spokój?

Śmiało pchnęła drewnianą bramkę, podeszła do drzwi i zapukała.

— Otwarte! — usłyszała.

Rozejrzała się niepewnie po kuchni, w której panował półmrok, a drobinki kurzu unosiły się w powietrzu, widoczne w nielicznych promieniach światła wpadających przez okno. Buteleczki, słoiki, pęki ziół wiszące pod powalą, to wszystko wprowadziło Joannę w lekki niepokój.

Gdyby wiedziała, że Diana przy pierwszej wizycie u Greta czuła się podobnie, pewnie byłoby jej łatwiej.

— Co cię sprowadza? — dobiegł ją głos gospodyni i dopiero wtedy dostrzegła Gretę siedzącą na krześle przy kaflowym piecu. — Potrzebujesz więcej ziół?

— To też. — Skinęła głową.

Tutaj nie dało się ukrywać niczego.

— Są gotowe. Leżą tam, na stoliku pod oknem. Dołożyłam jeszcze kwiatów nasturcji i leśnych fiołków. Powinny się spodobać. — Uśmiechnęła się nieznacznie.

Skąd ona wiedziała, że przyjdę? — przemknęło Joannie przez myśl.

Podeszła do stolika i sięgnęła po pakunek, ale cofnęła rękę.

— Przede wszystkim to chciałam panią przeprosić. — Odwróciła się i popatrzyła Grecie w oczy.

Zielarka spojrzała uważnie na dziewczynę, jakby czekała na coś jeszcze.

— Byłam wobec pani niesprawiedliwa. — Joanna uznała, że skoro zaczęła, to musi dokończyć. — Słuchałam tego, co gadają ludzie, i wierzyłam w to... częściowo. Nie zadałam sobie trudu, żeby panią poznać, dowiedzieć się, jaka pani jest naprawdę.

Greta nadal milczała.

— No dobrze, wiem — westchnęła Joanna. — Zrozumiałam to dopiero, gdy na własnej skórze odczułam, ile krzywdy mogą zrobić plotki i obmowy. Ale nie dlatego przepraszam.

— A dlaczego?

— Bo zrozumiałam, że byłam taka sama jak tamci. I jest mi wstyd — wypaliła jednym tchem.

— Weź te zioła i dobrze wykorzystaj — powiedziała zielarka cichym, spokojnym głosem. — A potem przyjdź po następne. Zawsze będą na ciebie czekały.

Joanna chwyciła pakunek.

— Dziękuję, pani Greto. I jeszcze raz przepraszam. Do widzenia!

— Wstydzić się powinni ci, którzy nie rozumieją. Ty nie musisz. Do widzenia!

Młoda kobieta wracała do domu lekkim krokiem. Słowa zielarki po raz kolejny sprawiły, że poczuła ciepło w sercu i ogromną ulgę.



Maria z niepokojem popatrzyła na malutki zegarek, który nosiła na przegubie dłoni.

— Nie wiem, gdzie ona tak spaceruje po ciemku. Powiedziałam, żeby zaszła do was, gdy będzie wracała, a ciągle jej nie ma.

— Bez obaw — powiedziała Diana uspokajająco. — Mówiła mi, że zna tu każdą leśną ścieżkę.

— To wiem. Od dziecka biegała po lesie. Tylko teraz takie czasy, że nie wiadomo, kogo się na tych ścieżkach spotka.

— A może ona poszła na randkę? — zastanawiała się Wanda.

— Na randkę? A niby z kim? — Maria zmarszczyła brwi.

— Mario, ty to jednak mało spostrzegawcza jesteś — roześmiała się lekarka. — Nie zauważyłaś, że Joasia ostatnio poweselała i ma takie radosne oczy? A co to znaczy u kobiety? No, pomyśl!

Nauczycielka machnęła ręką.

— A nie, to nie to, co myślisz! Joasia cieszy się po prostu, że te warsztaty tak dobrze jej idą. I że mydła się sprzedają. Stąd to wszystko.

— Matki niby uważnie patrzą, a tak naprawdę niczego nie widzą. — Wanda poklepała sąsiadkę po ręce. — Moja droga, a nie sądzisz, że nasz fizjoterapeuta coś często zagląda do was?

— Co ty mówisz, Wandeczko! Był może ze trzy razy. Zawiózł Joasię do Kielc, bo mu było po drodze.

Lekarka przewróciła oczami.

— Ciociu, daj spokój — poprosiła Diana. — Przecież na pewno niczego nie wiemy. To, że się kilka razy spotkali, jeszcze nic nie znaczy. Owszem, widać, że Joanna podoba się Danielowi, ale co ona na to, nie wiadomo. Ja też mam przecież kolegów i przyjaciół, choćby Tobiasza czy Krzysztofa. I jakoś nikt mi od razu zakochania nie wmawia.

Wanda jednak wiedziała swoje.

— Pożyjemy, zobaczymy — mruknęła.

Pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

— O, to pewnie ona! — ucieszyła się Maria.

Ale Diana wprowadziła do kuchni zupełnie innego gościa.

— Widzę, że mam tu prawie komplet — stwierdziła Martyna radośnie. — Dobry wieczór paniom! Dobrze się składa, bo mam dla was propozycję nie do odrzucenia.

— Jak cię znam, to szykujesz coś szalonego. — Wanda spojrzała podejrzliwie. — To spojrzenie...

— Owszem, ma ciocia rację — zgodziła się bez oporów dziennikarka. — Choć to nie ja szykuję. Ale zgodziłam się na współudział. — Mrugnęła do zebranych kobiet. — Przygotujcie się, moje panie, bo w najbliższą sobotę mamy u Krzysztofa imprezę walentynkową. Strój balowy nie obowiązuje, stan zakochania również nie jest obowiązkowy. Po prostu będziemy się dobrze bawić!

— Dziękuję za zaproszenie, ale zostanę w domu — odparła Wanda. — Nie uznaję tego dziwnego święta, zawsze mnie ono drażniło.

— Ciociu, niech ciocia mi tego nie robi. — Martyna złożyła ręce w błagalnym geście. — Obiecałam Wolińskiemu, że was namówię...

— Martynko, wydaje mi się, że Wandzia ma rację. — Maria stanęła po stronie lekarki. — Naprawdę nie dla nas takie imprezy. Idźcie wy, młodzi. Joasia na pewno się ucieszy. A my sobie posiedzimy u nas, porozmawiamy.

Diana dostrzegła zawód na twarzy przyjaciółki.

— Nic się nie martw. Ja pójdę — obiecała. — Joanna na pewno też. A ciocia i pani Maria mogą zrobić równoległe spotkanie jak w sylwestra. Zaproszą Gretę i pana Stacha. Słyszałam, że on nieźle przygrywa cioci do tańca...

— A kto o tym powiedział?! — oburzyła się Wanda.

— Nieważne, wiem i już. Poprosimy Daniela i przywiezie wam muzykanta — zażartowała.

— W takim razie może i jego zaprosimy? — Dziennikarka odzyskała zapał. — Joasia na pewno się ucieszy.

— Ty też bawisz się w swatkę? — zdziwiła się Diana. — Oczywiście, że możemy go zaprosić, tylko nie wpychajcie Joanny siłą w jego ramiona.

— Sama w nie wskoczy — roześmiała się Martyna. — Najważniejsze, że impreza się odbędzie! A nawet dwie!



Krzysztof tym razem poszedł na całość. Udekorował całą willę mnóstwem czerwonych baloników w kształcie serduszek, a w salonie ustawił ogromny podświetlany napis *LOVE*.

— Znalazłem firmę, która wypożycza to na wesela — oznajmił z dumą.
— Podobno zdjęcia przy tym napisie robią furorę w mediach społecznościowych.

— Dla mnie bomba! — Martyna klasnęła w ręce. — Kwintesencja kiczu, idealnie wpisuje się w klimat walentynek.

— A mnie się naprawdę podoba — stwierdziła Joanna. — Chociaż wolałabym, żeby było po polsku.

— Pewnie trudno zrobić te kreseczki nad „ś” i „ć” — domyśliła się Diana. — Ale ja też zdjęcia przy tym sobie robić nie zamierzam.

— Och, jakie panie są estetycznie wymagające — zażartował Tobiasz. — Zobaczymy, co będzie za kilka godzin.

Miał rację. Gdy zabawa już się rozkręciła, we wszystkich telefonach znalazło się mnóstwo zdjęć z wielkim napisem w tle. Robili je pojedynczo, w grupie, z balonikami, ze śmiesznymi minami i obowiązkowo z dzióbkami.

— No, musze przyznać, że Krzysztof zadbał o każdy szczegół. — Diana podniosła ze stołu confetti w kształcie aniołka z łukiem.

— Rzeczywiście, tak właśnie wyobrażam sobie imprezę ku czci zakochanych. — Roześmiana Martyna sięgnęła po babeczkę z białym

kremem ozdobioną czerwono lukrowanym serduszkiem. Ugryzła spory kęs i część kremu została jej na brodzie. Otarła ją palcem, który natychmiast oblizwała. — I chyba będziesz musiała przyznać mi rację — powiedziała triumfalnie.

— W jakiej sprawie?

— Popatrz tam! — Wskazała palcem. — Wygląda na to, że jednak mamy tu zakochanych.

Diana spojrzała we wskazanym kierunku. W kącie salonu, na ogromnej skórzanej kanapie, siedział Daniel. A na jego kolanach Joanna, która właśnie karmiła go czerwoną galaretką. Śmiała się przy tym głośno, natomiast fizjoterapeuta patrzył na nią z zachwytem.

— Skoro tak, to niech będą szczęśliwi! W końcu mówią, że miłość jest najważniejsza — podsumowała z uśmiechem Diana.

— Tak uważasz?

Woliński niezauważony podszedł z tyłu i objął ramionami obie kobiety.

— A ty myślisz inaczej?

— Skąd! Absolutnie się z tobą zgadzam i...

— Och, Krzysiu, nie sądziłam, że jesteś takim romantykiem — przerwała mu Martyna. — Nie słyszałeś, że kobiety wolą typ macho? Teraz modni są *bad boys*, źli chłopcy.

Woliński chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo nagle umilkła muzyka. Wszyscy rozejrzeli się zaskoczeni. Przy wieży stał Daniel, a obok niego Joanna.

— Będzie się oświadczał? — zachichotała Martyna. — Ależ mają tempo! Jednak poważna mina Joanny sprawiła, że dziennikarka zamilkła.

— Przed chwilą dzwoniła moja mama — powiedziała Joanna. — Powiedziała, że jest pożar. Pali się we Wrzosowej Polanie.

— Co?! — krzyknęła Diana. — Mój dom się pali?! Muszę tam bieć!

Rzuciła się w kierunku drzwi, ale Tobiasz był szybszy. Złapał ją wpół i przytrzymał.

— Zostaw mnie! Puść! — krzyczała, próbując się wyrwać. — Muszę do domu, rozumiesz?! Puszczaj mnie!

— Uspokój się — poprosił stanowczo mężczyzna. — Nie będziesz przecież biegła w nocy po śniegu. No, uspokój się! Nie piłem, bo miałem jechać do Kielc, żeby zamknąć lokal. Zawiozę cię do Wrzosowej Polany. Tylko przestań się szarpać, proszę — przemawiał łagodnie, aż do Lisowskiej dotarł sens jego słów i stanęła spokojnie.

Tobiasz podał jej kurtkę, założył swoją i wyszli.

— Zaraz do was dojdziemy! — krzyknęła za nimi Martyna.

Zebrani popatrzyli w milczeniu na fruwające pod sufitem balony i resztki jedzenia na talerzykach.

— Zabawa skończona — powiedziała Joanna, a jej głos rozbrzmiał w ciszy jak wyrok.

— Co się mogło stać? — zachodził w głowę Woliński.

— To na pewno Mateo postanowił ostatecznie się zemścić — stwierdziła Martyna. — Albo ta szurnięta nauczycielka, która podrzucała jej anonimy. — Powiodła wzrokiem po zebranych. — Musimy tam natychmiast iść. Diana nie może teraz zostać sama. Trzeba ją wspierać, Wrzosowa Polana to wszystko, co ma.

— Ja też nie piłem — wtrącił Daniel. — Miałem przecież odwiedzić pana Stacha. Zbierajcie się, pojedziemy moim autem.



Już z daleka usłyszeli wycie strażackiej syreny i dostrzegli czerwonopomarańczową łunę. Diana siedziała sztywna i milcząca, ale w pewnej chwili nie potrafiła już powstrzymać emocji.

— Szybciej! Jedź szybciej!

Tobiasz posłał jej pełne troski spojrzenie. Nawet nie potrafił wyobrazić sobie, co teraz czuła.

— Staram się, ale jest ślisko — odparł. — Niepotrzebny nam jeszcze wypadek.

Wzruszyła ramionami.

Mężczyzna dodał gazu, ale gdy samochód niebezpiecznie zakołysał się na oblodzonej drodze, znowu zwolnił.

— Zaraz będziemy — powiedział tylko.

Skrećili w uliczkę i ich oczom ukazał się obraz niczym z filmu. Dwa wozy strażackie migają niebieskimi światłami, a wokół biegali strażacy, rozwijając długi wąż. Nieco z boku zaparkowało policyjne auto, a dwaj funkcjonariusze pilnowali, aby zbierający się gapie nie podchodzili zbyt blisko i nie utrudniali akcji gaśniczej.

To się nie dzieje naprawdę — przemknęło Dianie przez głowę. — To niemożliwe...

A jednak. Płomienie wzbijały się ku niebu.

Tobiasz zatrzymał auto w miejscu, gdzie stał jeden ze strażaków. Diana nie czekała ani chwili. Od razu otworzyła drzwi, wysiadła i pędem pobiegła

w stronę domu.

— To właścicielka — poinformował Tobiasz strażaka. — Co się pali? Dom?

— Na szczęście tylko stodoła — odparł mężczyzna. — Chłopaki robią, co mogą, żeby ogień nie przeniósł się dalej.

— Dzięki za informację. — Tobiasz skinął mu głową i poszedł szukać Diany.

Zobaczył ją z daleka. Stała przy płocie i patrzyła na płomienie. Usłyszał dźwięk klaksonu, odwrócił się i zobaczył, że nadjeżdża auto Daniela. Po krótkiej chwili wszyscy dołączyli do niego.

— Jest bardzo źle? — Głos Martynty drżał.

— Nie, na szczęście nie — odparł Tobiasz. — Tylko stodoła.

Dziennikarka głośno odetchnęła.

— Dobrze, że wszystko już przeniosłyśmy do garażu. — Joanna patrzyła z przerażeniem, jak przepalone belki spadają i zapada się dach.

— Chciała robić remont tej stodoły — powiedział głucho Tobiasz. — To dla niej ważne miejsce.

— Najważniejsze, że dom się nie zajął — stwierdził rozsądnie Krzysztof. — Ta stodoła to była tylko kupa starych desek.

Tobiasz popatrzył na niego ze smutkiem.

— Nic nie rozumiesz. — Pokręcił głową. — Nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze. Są jeszcze inne wartości.

— Ale przynajmniej będzie miała gdzie mieszkać — zauważyła Martyna.

— Jesteście tacy sami. — Tobiasz się skrzywił. — Idę do niej.



Na uliczce zebrało się mnóstwo gapiów. Wszyscy z okolicznych domów stali na swoich podwórkach, a ci, którzy mieszkali dalej, ustawili się wzdłuż chodnika i w grupkach na ulicy, obserwując akcję strażaków.

Pożar został opanowany i pozostało tylko dogaszanie pogorzeliska. Ludzie patrzyli w milczeniu, a ciszę przerywały tylko okrzyki strażaków wydających komendy.

Greta szła powoli, patrząc przed siebie. Na jej widok zebrani wymieniali znaczące spojrzenia i rozstępowali się, jakby nikt nie chciał dotknąć jej nawet przypadkiem. Ona jednak nie zwracała na nikogo uwagi. Szła dumnie wyprostowana, z kolorową chustą na ramionach. Tuż za nią, ramię w ramię, kroczyły Wanda i Maria.

Zielarka podeszła do płotu, gdzie stała kobieta trzymająca za rękę dziewczynkę. Dziecko spojrzało na Gretę w milczeniu.

— Co za szczęście, że to nie dom — wyszeptała zielarka. — Co za szczęście...

— Pani płacze? — Dziewczynka podniosła na nią błękitne oczy.

— To tylko błyski od tych świateł — odparła Greta, ukradkiem ocierając łzę.

Wanda, która stała za Gretą, zaczepiła przechodzącego strażaka.

— Proszę pana, jak to się mogło stać? — zapytała.

— To już ustalą odpowiednie służby — odparł, ocierając spocone czoło.
— Ale na moje oko to było podpalenie.

Poprawił hełm, który trzymał pod pachą i odszedł do samochodu.

— Podpalenie — powtórzyła za nim Greta. — Kto...?

Kobieta stojąca obok mocniej ścisnęła dłoń dziewczynki.

— Ty się dziwisz? — powiedziała głośno. — Ty naprawdę się dziwisz?

Zielarka spojrzała na nią oczami pełnymi bólu.

— Nie mów nic. Słów nie da się cofnąć — szepnęła ledwie słyszalnie.

— Tak byłoby łatwiej, prawda? — zdenerwowała się kobieta. — Nic nie mówić. Tylko że to niczego nie zmieni. To twoja wina! — Oskarżycielsko wymierzyła w nią palec.

Greta opuściła głowę.

— Twoja wina i dobrze o tym wiesz! Na wszystkich sprowadzasz nieszczęście i teraz przynosisz je kolejnym ludziom!

Wanda chciała zainterweniować, ale Maria chwyciła ją za rękaw i pokręciła przecząco głową.

— Co ty masz w sobie, że przez ciebie wciąż ktoś cierpi?! — Kobieta popatrzyła na zielarkę ze złością. — Jeszcze ci mało?! Jak ci nie wstyd... mamo! — Ostatnie słowo wypowiedziała takim tonem, że zabrzmiało jak policzek.

A potem pociągnęła dziecko za sobą i odeszła szybkim krokiem.

Greta nie podniosła głowy. Stała jeszcze przez chwilę przy płocie, a potem bez słowa ruszyła w głąb uliczki. Ludzie rozstępowali się przed nią, ale ona nikogo nie widziała.



Wanda przez dłuższą chwilę nie mogła wydusić słowa. Potrzebowała czasu, aby w pełni zrozumieć scenę, która przed chwilą rozegrała się na jej oczach.

— Wiedziałaś. — Spojrzała z wyrzutem na Marię.

— Wiedziałam — potwierdziła sąsiadka.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nauczycielka popatrzyła w dal, ponad pogorzelskiem.

— Pójdę za nią — zdecydowała Wanda. — Nie powinna teraz zostać sama.

— Myślę, że tego właśnie chce. — Maria ją powstrzymała. — Potrzebuje samotności. To nie osoba, która okazuje słabość. Jest jak dzikie zwierzę, które w samotności wylizuje rany. Zawsze tak było.

Wanda została.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — ponowiła pytanie.

— Myślę, że Greta sama powinna zdecydować, co, kiedy i komu powie — odparła spokojnie Maria. — Jeżeli chcesz coś wiedzieć, powinnaś ją o to zapytać.

— Tak zrobię. — Wanda skinęła głową. — I żałuję, że nie zdobyłam się na to wcześniej.

— Na wszystko przyjdzie czas. A teraz zabierzmy młodych do mnie, zrobimy herbatę. Wszyscy wiele przeszliśmy tej nocy, ktoś musi

zaprowadzić spokój i dać poczucie bezpieczeństwa. To nasza rola, Wandziu, bez względu na nasze emocje.



Gapie rozeszli się do domów, strażacy zwinęli węże, schowali sprzęt i odjechali. Martyna, Krzysztof, Joanna i Daniel poszli do willi na herbatę.

— Ja jeszcze zostanę — zdecydowała Diana. — Idźcie. Chcę побыć chwilę sama.

Tobiasz jednak nie posłuchał. Został i stanął kilka kroków za nią.

Lisowska popatrzyła na dymiące resztki. To tutaj zaczęła budować swoją samodzielność, wśród dziurawych ścian zyskała pewność siebie i zrozumiała, że pasja może stać się jej sposobem na życie.

A teraz została z tego tylko sarta popiołu — pomyślała. — I niewiele brakło, a straciłabym też dom. Jakże to wszystko ulotne i niepewne...

Nawet nie poczuła, że łzy płyną jej po policzkach. Tobiasz dostrzegł te błyszczące kropelki smutku i żalu. Podszedł do Diany i objął ją ramieniem.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział miękko. — Spaliły się tylko deski, ale dusza tego miejsca pozostała. Nie da się zniszczyć tego, co jest w sercu. To zawsze ocaleje. A resztę można odbudować.

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała cicho.

— Tak. Wierzę, że tak właśnie jest. Odbudujesz wszystko, będzie jeszcze piękniejsze.

— Tylko czy znajdę na to siłę...?

— Jeżeli chcesz, to ci pomogę — zapewnił.

— Dziękuję. Dobrze jest mieć takiego przyjaciela. — Uśmiechnęła się przez łzy.

— Jeżeli tylko zechcesz, mogę stać się kimś więcej.

Pochylił się i ich usta spotkały się w pocałunku.

Diana odskoczyła i popatrzyła na mężczyznę szeroko otwartymi oczami, jakby nie do końca rozumiała, co się dzieje. A potem ile sił pobiegła w stronę willi.

Tym razem Tobiasz nie poszedł za nią. Wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając Wrzosową Polanę za sobą.

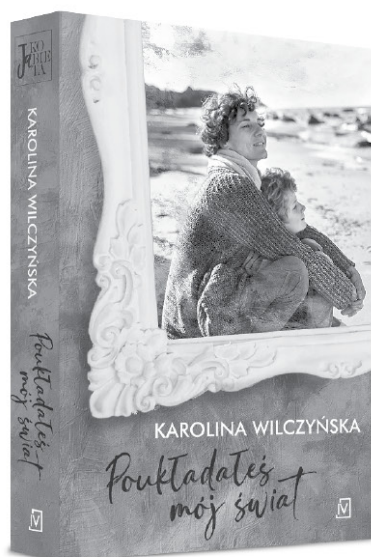
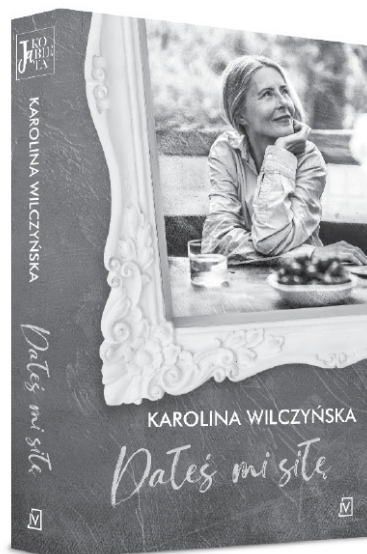
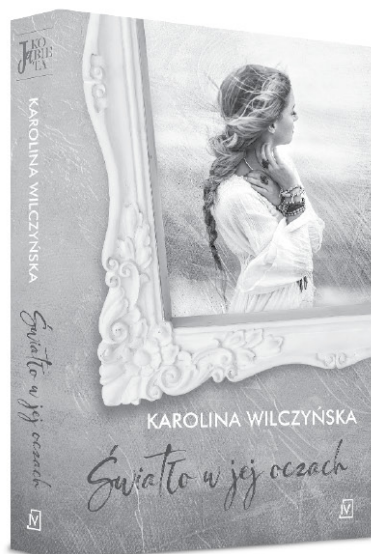


**że spodobała Ci
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

www.wydajenamsie.pl

*Poznaj historie,
które napisało życie*



SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona przedtytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[* * *](#)

[Polecamy również](#)